Piątek 3.07.2026 | Nr 152 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT) | www.gazetawroclawska.pl | Nr ISSN 2353-6152 | Nr indeksu 350-206

Gazeta WROCŁAWSKA

Nasz **Pociąg Marzeń** ruszył już w swą coroczną trasę, by spełniać dziecięce sny o pięknych wakacjach. Dołączysz? W zeszłym roku wspólnie podarowaliśmy dzieciom mnóstwo radości – sprawmy znów razem, aby nowa edycja okazała się sukcesem!

Twój mały gest ma wielką moc: wesprzesz nie tylko wakacje, ale też rehabilitację, zakup sprzętu medycznego i inne świadczenia.

Przystąp do naszej wyjątkowej akcji i dołącz swój wagonik dobra. **Szczegóły znajdziesz wewnątrz wydania, na stronie 13**

9 772353 615057 27

eprasa.pl 88eb43e386

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA ● *przy* **SOBOCIE** tłumaczy, radzi, bawi...
PONIEDZIAŁEK ● **DODATEK SPORTOWY** Wyniki, tabele i analizy
WTOREK ● **PULS BIZNESU** Przepisy prawne, opinie
ŚRODA ● **MAGAZYN ZDROWIE** Jak zadbać o siebie i bliskich
CZWARTEK ● **POD PARAGRAFEM** Historie kryminalne
PIĄTEK ● **PULS POLSKI** Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA" z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. **71 72 76 237**, e-mail: **bok.prenumerata@polskapress.pl**

Janusz Michalczyk

UŚCISKI NA POKAZ JUŻ NIEPOTRZEBNE

Kilka dni temu przechodziłem przez jezdnię w drodze na przystanek tramwajowy, tuż przede mną maszerował starszy mężczyzna, a kilka kroków przed nim dziewczyna. Zauważyłem, że facet kręci głową zerkając na nią, wykrzywia w złości twarz, z ust płyną ciche przekleństwa. Jego zachowanie było dla mnie zagadkowe, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że wyprzedzająca obu nas dziewczyna mówi głośno po ukraińsku, rozmawiając z kimś przez słuchawki smartfona. W sekundę mnie zmroziło.

Politycy lekceważą fatalne skutki, jakie mogą wywołać ich słowa i decyzje, najważniejsze są dla nich słupki poparcia w sondażach i walka o władzę. Można też przypuszczać, że raczej niewielu Polaków i Ukraińców weźmie sobie do serca apel o niepodgrzewanie nastrojów, który wystosowało wspólnie kilka dni temu trzech naszych kardynałów i dwóch duchownych zza naszej wschodniej granicy. Niechęć będzie narastać.

Niewykluczone, że Wołodymyr Zełenski skończy jak Winston Churchill, który poprowadził Brytyjczyków do zwycięstwa nad niemieckim faszyzmem, ale rodacy mieli go po dziurki w nosie i krótko po wojnie odesłali na emeryturę. Nie ma się jednak co łudzić, że wtedy w relacjach polsko-ukraińskich zapanuje sielanka. Wielu naszych analityków wskazuje, że - oprócz wspólnego wroga w postaci imperialnej Rosji - mamy wiele sprzecznych interesów ekonomicznych, zaś ocena tragicznych wydarzeń z przeszłości będzie nas długo dzielić.

Najwyraźniej ukraińskie elity nabrały przekonania, że mogą rozmawiać z Berlinem, Paryżem i Londynem bez oglądania się na polskie władze. Sytuacja zmieni się radykalnie, gdy na froncie zapanuje cisza. Zgadzam się z tymi komentatorami, którzy przekonują, że w czasach pokoju to my będziemy mieć mocniejsze karty i Kijów wcześniej czy później spuści z tonu. Ukraińcy potrafią się bić, jednak nie pokazali zdolności do zbudowania silnego, demokratycznego państwa.

Wcale nie będzie źle, jeśli na poziomie rządowym zapanuje chłodny rachunek korzyści i strat. Nikomu nie są już potrzebne uściski na pokaz i poklepywanie się po plecach z udawaną sympatią. Natomiast wyzwaniem dla każdego rozsądnego człowieka pozostaje, jak kontrolować się na tyle, by nie ulegać odruchom niechęci w codziennych, zwykłych kontaktach.

”

Niemal wszystkie dzieci na świecie są narażone na zagrożenia klimatyczne. 1,8 mld najmłodszych odczuwa skutki ekstremalnych susz

Raport UNICEF

W każdy piątek koncert w bazylice Świętej Elżbiety

FOT. UM WROCŁAW

Odbudowane organy Englera, od stycznia 2022 r. znów zachwycają swoim brzmieniem

Redakcja
Wrocław

Dziś rusza tradycyjny letni cykl koncertów organowych w bazylice św. Elżbiety. W programie dzieła twórców barokowych.

Piątkowe koncerty organowe rozpoczynają się o g. 19. Na organach Englera grają muzycy z Wrocławia, ale też z innych miast. Koncerty odbywają się dzięki współpracy Miasta Wrocław, Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu oraz Parafii Garnizonowej pw. św. Elżbiety. Kierownictwo artystyczne sprawuje dr hab. Piotr Rojek z Akademii Muzycznej. - Poprzez cykl letnich koncertów w bazylice św. Elżbiety, Wrocław dał ludziom możliwość regularnego i bezpłatnego obcowania z kulturą wysoką. Te recitale mają już swoich stałych bywalców, ale zapraszamy szczególnie tych, którzy w piątkowy wieczór jeszcze nigdy w Elżbiecie nie byli - mówi prezydent Jacek Sutryk.

Program koncertów:
3 lipca - Charles Balcer, Wrocław oraz uczestnicy Akademii Letnich Tonów, klasy dr. hab. Piotra Rojka, prof. AMKL,
10 lipca - Przemysław Mazurek, Wrocław,
17 lipca - Piotr Pawlik, Poznań,
24 lipca - Jan Michniewicz, Wrocław,
31 lipca - Maciej Żórawik, Wrocław,
7 sierpnia - Bogumiła Kutacha, Gdańsk,
14 sierpnia - koncert specjalny z okazji Święta Wojska Polskiego,
21 sierpnia - Jakub Moneta, Poznań-Świdnica,
28 sierpnia - Przemysław Kojs, Wrocław,
4 września - Yana Rechkina, Warszawa,
11 września - Damian Szczypka, Katowice,
18 września - Szymon Czapik, Kraków,
25 września - Jan Surma, Wrocław (koncert specjalny z udziałem chóru z drezdeńskiego Frauenkirche).

KUP I WESPRZYJ

Na rogu ul. Roosevelta i Chłapowskiego w Legnicy działa wyjątkowy butik. To sklep z przedmiotami powstałymi podczas Warsztatów Terapii Zajęciowej. Kupimy tu rękodzieła wykonane przez podopiecznych Fundacji Pomocy Dzieciom Specjalnej Troski. Wśród nich są prawdziwe perełki. m.in.: biżuteria, obrazy, osłonki na doniczki, dekoracyjne misy, lampy, małe meble, świece, torby z nadrukami, miedziane zakładki do książek, deski do krojenia, drewniane szkatułki, stroiki okolicznościowe, notatniki...
Klaudia Korfanty

FOT. KLAUDIA KORFANTY

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dzień sprzyja odważnym decyzjom. Horoskop dzienny zapowiada, że spotkanie przyniesie nową inspirację.
Ryby (19.02 - 20.03)
Spokój i cierpliwość okażą się dziś największym atutem. Horoskop na dziś wróży, że przed Tobą dobry moment na ważną rozmowę.
Baran (21.03 - 19.04)
Czeka Cię ciekawa wiadomość. Horoskop dzienny na piątek stanowczo radzi otworzyć się na nowe pomysły i nie bać się zmian.
Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą dzisiaj Twoim przewodnikiem. Horoskop dzienny radzi znaleźć chwilę na odpoczynek.
Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś radzi wykorzystać okazję, by zrobić kolejny krok naprzód.
Rak (22.06 - 22.07)
Wróci harmonia. Horoskop dzienny na piątek radzi wysłuchać kogoś, kto ma dla Ciebie dobrą radę.
Lew (23.07 - 22.08)
Energii będzie Ci można tylko pozazdrościć. Horoskop dzienny radzi skupić się na priorytetach – osiągniesz dzięki temu więcej niż zwykle.
Panna (23.08 - 22.09)
Los sprzyja odważnym planom. Horoskop na dziś stanowczo podpowiada, by nie odkładać decyzji, które mogą otworzyć nowe możliwości.
Waga (23.09 - 22.10)
Wytrwałość przyniesie efekty. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że ktoś doceni Twój wysiłek i zaproponuje ciekawą współpracę.
Skorpion (23.10 - 21.11)
Kreatywność będzie Twoją siłą. Horoskop dzienny radzi podzielić się pomysłami i zaufać własnym możliwościom.
Strzelec (22.11 - 21.12)
Intuicja wskaże właściwy kierunek. Horoskop na dziś zapowiada, że dzień zakończy się miłym akcentem i dobrymi wiadomościami.
Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wszystko będzie układać się po Twojej myśli. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że niektóre osoby trochę Ci tego pozazdroszczą...

eprasa.pl 88eb43e386

nasz REGION

JAWOR
Policjanci odnaleźli mężczyznę w kryzysie emocjonalnym
Dyżurny odebrał telefon od kobiety z zagranicy, że znajomy chce odebrać sobie życie. Policjanci błyskawicznie odnaleźli 28-latka w parku. Trafił pod opiekę lekarzy.

WROCŁAW
W recepcji centrum handlowego pojawił się 6-latek...
Policjanci ustalili, że przyjechał tramwajem. Okazało się, że 6-latek z Mongolii odszedł w innym centrum od mamy i ona też go poszukiwała. Cała historia zakończyła się szczęśliwie.

FOT. POLICJA

WROCŁAW
Rower elektryczny bez pedałów, z mocnym silnikiem
22-latek jechał pojazdewm, który przypominał rower. Ale mógł pędzić 70 km/h. Miał też zbyt mocny silnik. Pojazd odholowano, a właściciel zapłacił 2 tys. zł kary.

KRÓTKO

POWIAT LWÓWECKI

Minister środowiska zapowiada kontrolę po katastrofie na Bobrze

FOT. PPG

Wiele ton ryb wymarło podczas spuszczania wody z Jeziora Pilchowickiego, którego tama jest remontowana. Paulina Hennig-Kloska, ministra klimatu i środowiska zapowiedziała w TVP Info, że ministerstwo zbada, co doprowadziło do katastrofalnej sytuacji przy zaporze w Pilchowicach. – Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska rozpoczyna kontrolę, czy wydane warunki przeprowadzenia tzw. decyzją naturową zostały przez inwestora wypełnione. Był wyraźny nakaz: odłowić wszystkie osobniki, zanim woda zostanie spuszczona. Oglądając zdjęcia w internecie, można gołym okiem ocenić, że ten warunek nie został dopełniony, ale ja jako organ muszę to stwierdzić w wyniku kontroli - zapowiedziała Paulina Hennig-Kloska.
Według Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska na razie nie ma informacji, aby w wyniku zdarzenia ucierpiały gatunki chronione. Ale wędkarze są innego zdania. Apelują do spacerujących wzdłuż brzegów Bobru poniżej zbiornika, że jeżeli zauważą martwe gatunki chronione (minóg strumieniowy, minóg rzeczny, koza, piskorz, głowacz, troć, śliz pospolity) to powinni zrobić zdjęcia, najlepiej na tle rzeki.
Mirosława Karpińska z Tauronu przekazała PAP, że łącznie odłowiono 15 ton martwych ryb. Do utylizacji przekazano 11 ton. Podała też, że poprawiły się parametry tlenu w Bobrze poniżej zapory. - Natlenienie zdecydowanie wzrosło. Rozpoczęliśmy też budowę zapory, która ma ograniczyć przepływ osadów ze zbiornika do rzeki. Rozpoczynamy również pracę aeratorów, które będą napowietrzać wodę - powiedziała.
Sanepid nie zaleca korzystania z wszystkich akwenów zasilanych przez Bóbr na terenie powiatu lwóweckiego, do czasu uzyskania wyników badania jakości wody.
Do katastrofy doszło 28 czerwca, podczas końcowego etapu spuszczania wody z Jeziora Pilchowickiego.
Alina Gierak

Nie ma bidy w ochronie zdrowia. Tłuste zarobki szefów szpitali

Remigiusz Biały
Wrocław

Rekordzistą we Wrocławiu okazał się dyrektor szpitala onkologicznego przy Hirszfelda. Adam Maciejczyk zarobił ponad milion złotych, czyli miesięcznie 97 tys. zł. Ale ma też inne dochody.

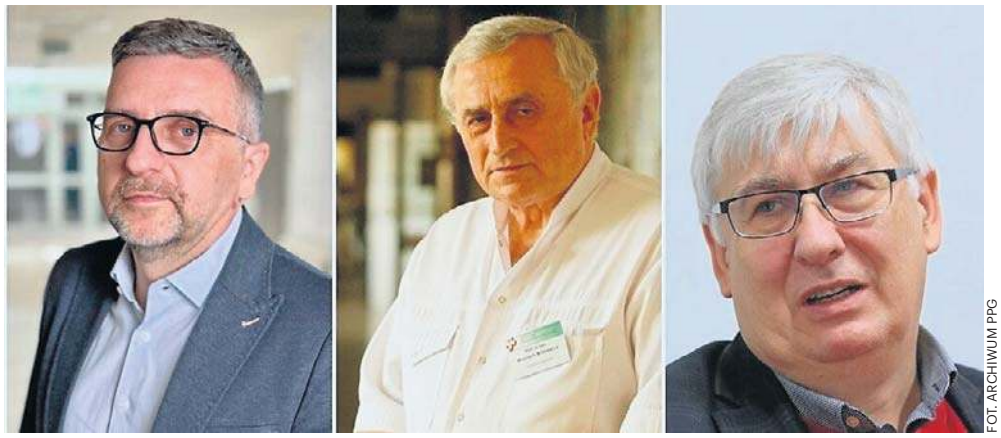
FOT. ARCHIWUM PPG
Prof. Adam Maciejczyk, prof. Wojciech Witkiewicz i Michał Rataj

Zarobki w ochronie zdrowia to ostatnio nośny temat. Wszystko przez aferę z Dawidem Kacprzykiem, który zarządzał SOR-em w Szpitalu Południowym w Warszawie. Tylko w tej placówce zarobił 1,6 mln zł. Ale to i tak mniej niż rekordzista wśród dyrektorów wrocławskich szpitali. Sprawdziliśmy oświadczenia majątkowe zarządzających placówkami, ale tylko tych, gdzie takowe są dostępne.

Rekordzista ma kilka źródeł dochodu

Prof. Adam Maciejczyk, który piastuje funkcję dyrektora Dolnośląskiego Centrum Onkologii, Pulmonologii i Hematologii od 2021 roku, w 2025 roku zarobił 1 167 812,93 zł, co miesięcznie daje 97 317,74 złotych. Podane kwoty są brutto.

To niejedyne jego dochody. W oświadczeniu majątkowym wykazał także 21 097,26 zł z „osobiście wykonanej działalności", a z tytułu praw autorskich zarobił 16 698,53 zł. Z najmu nieruchomości, od których deklaracja prof. pęka w szwach, Adam Maciejczyk zainkasował 311 666,65 zł, jednak te pieniądze to współwłasność małżeńska. Przychody ze wszystkich źródeł w 2025 roku to 1 517 275,37 zł.

Dyrektor szpitala przy Kamieńskiego – 15 tys. zł emerytury

Drugi na liście jest prof. Wojciech Witkiewicz, dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego przy ul. Kamieńskiego. Za zarządzanie szpitalem średnio każdego miesiąca na konto dostawał 59 857,86 zł, co łącznie przełożyło się na roczne zarobki 718 294,32 zł. Do tego prof. Witkiewicz dostał w 2025 roku 182 722,75 zł emerytury.

Z osobiście wykonanej działalności dyrektor zarobił 8968 zł, z tytułu praw autorskich 1425,70 zł, a z najmu 31 400 zł. Łącznie przychody w oświadczeniu majątkowym dyrektora szpitala przy Kamieńskiego to 942 810,77 zł.

Ile zarobili inni szefowie szpitali?

Swoje oświadczenia majątkowe muszą publikować też Katarzyna Kapuścińska - dyrektorka Szpitala Marciniaka - i Michał Rataj - p.o. dyrektora szpitala przy ul. Koszarowej we Wrocławiu. Oboje wykazali jedynie zarobki z tytułu piastowanych funkcji w szpitalach. W 2025 roku zarobili odpowiednio 486 204,08 zł i 472 438,81 zł. Miesięcznie to około 40 tys. zł brutto. Oprócz tego nie wykazali innych przychodów, np. z najmu nieruchomości.

Najmniej z listy zarobiła dyrektorka szpitala na wrocławskim Brochowie Magdalena Puziewicz-Karpiak: miesięcznie 18 tys. zł, co łącznie dało 216 041,48 zł w skali roku. To jednak niejedyne źródło finansowe, bo jeszcze ma emeryturę ponad 8 tys. zł. Z umów zlecenia w całodobowym ośrodku opieki z grupy Emeis zarobiła 2961,06 zł, a na Politechnice Wrocławskiej 27 520 zł.

Oświadczenia majątkowe dyrektorów szpitali USK przy ul. Borowskiej i wojskowego przy Weigla nie są dostępne publicznie. W świetle prawa, choć usługi są świadczone na koszt NFZ-u, to właścicielami placówek nie są podmioty samorządowe i pracownicy nie są zobowiązani do publikacji oświadczeń majątkowych (np. Uniwersytet Medyczny czy Wojsko Polskie). Do wglądu dostępne są więc tylko oświadczenia składane przez dyrektorów zatrudnionych w szpitalach zarządzanych przez Samorząd Województwa Dolnośląskiego.

REKLAMA 0011530140

eprasa.pl 88eb43e386

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 25.06

Można strzelać i hałasować

„Gmina nie może wprowadzić całkowitego, całorocznego zakazu stosowania materiałów pirotechnicznych na swoim terenie" - orzekł Wojewódzki Sąd Administracyjny we Wrocławiu. To werdykt w sprawie zażalenia, złożonego przez wrocławski ratusz na rozstrzygnięcie Wojewody Dolnośląskiego, który unieważnił uchwałę Rady Miejskiej Wrocławia ze stycznia 2026 r. zakazującą używania fajerwerków.

PIĄTEK, 26.06

Szczątki zaginionego?

Koło Bystrzycy Kłodzkiej w Masywie Śnieżnika znaleziono ludzkie szczątki. Wśród znalezionych szczątków jest m.in. czaszka. Zlokalizowano również buty i fragmenty ubrań oraz dokumenty denata. To właśnie na ich podstawie ustalono, że zwłoki mogą należeć do osoby, której zaginięcie zostało zgłoszone 13 lat temu. Podejrzenie zostanie jeszcze zweryfikowane przez badania DNA.

FOT. PRZEMYSŁAW KACZAŁKO

Tysiące ryb zginęło podczas spuszczania wody z Jeziora Pilchowickiego. Wędkarze: To katastrofa ekologiczna!

SOBOTA, 27.06

Nawrocki był otruty?

Prokuratura Okręgowa w Świdnicy wszczęła postępowanie w sprawie zasłabnięcia Karola Nawrockiego, do którego miało dojść w maju 2025 roku podczas kampanii wyborczej w Ząbkowicach Śl. Śledczy chcą sprawdzić, czy ktoś mógł podać wtedy kandydatowi na prezydenta substancję zagrażającą życiu lub zdrowiu.

NIEDZIELA, 28.06

Najgoręcej było w Legnicy

Fala upałów przeszła w weekend przez Dolny Śląsk. W niedzielę wg IMGW najgorętsza w regionie była Legnica - 39,4°C. To rekord ciepła odnotowany w tym mieście. Poza tym: Wrocław-Strachowice - 38,3°C, Tomaszów Bolesławiecki - 37,4°C, Dobroszyce (pow. strzeliński) - 36,9°C, Bogatynia - 36,7°C, Jelenia Góra - 36,6°C, Karpacz - 35,5°C, Świeradów-Zdrój - 34,9°C, Kłodzko - 34,8°C, Szczawno-Zdrój - 34,5°C. 25,7°C. Padł rekord ciepła na Śnieżce - 25,7 st.C. To pomiary oficjalne. Tymczasem w słońcu na termometrach było sporo ponad 40 st. Np. w Legnicy termometr na kąpielisku Aquafun wskazywał 43,8 st. Odwoływano pociągi z powodu wypaczeń torów i obniżania się linii trakcyjnych. Zakłóciły też tankowanie autobusów na wodór w Wałbrzychu.

Broń do wody!

Do 10 lat więzienia grozi trzem Dolnoślązakom spod Zgorzelca, którzy w 2023 r. okradli w Węglińcu pociąg przewożący z Niemiec sprzęt dla żołnierzy USA w Polsce. Akt oskarżenia trafił właśnie do sądu. Z wagonu zabrali cztery skrzynie. W jednej z nich znaleźli amunicję artyleryjską, którą porzucili w stawie w Starym Węglińcu. Skradzione skrzynie zawierały 120 pocisków kaliber 25 mm, używane m.in. do armaty automatycznej M 242 Bushmaster. Złodzieje ukradli również 54 urządzenia Thermomix za ok. 300 tys. zł. Skradzione przedmioty sprzedawali. Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy.

FOT. ANETA KOLESIŃSKA

„Wrocław Przyszłości" - widowisko ściągnęło tłumy Wrocławian

PONIEDZIAŁEK, 29.06

Uratowali ludzi

Świadkowie wpadnięcia samochodu do Bobru w pow. lwóweckim wyciągnęli z tonącego pojazdu trzy osoby. Jedną trzeba było reanimować. Dzięki szybkiej reakcji nie doszło do tragedii.

Z rakietą w USA

Na zawodach rakietowych FAR-OUT 2026 w USA rakieta R7 Together studentów Politechniki Wrocławskiej zdobyła trzy nagrody, a drużyna zajęła II miejsce w klasyfikacji generalnej swojej kategorii. Rakieta ma silnik Nova na etanol oraz podtlenek azotu jako utleniacz. Konstrukcja o dł. 4,58 m waży 57 kg i osiąga prędkość do 258 m/s.

WTOREK, 30.06

100. pociąg KD

Koleje Dolnośląskie odebrały 60. pociąg od firmy PESA. To zarazem setny pociąg we flocie spółki. Elektryczny, klimatyzowany Elf 2 ma 250 miejsc siedzących. Są też miejsca na przewóz rowerów i dla osób niepełnosprawnych. W ciągu najbliższych miesięcy KD uzyskają kolejne 8 takich pociągów.

ŚRODA, 1.07

Paliwa z w górę

O kilkadziesiąt groszy podrożało z dnia na dzień paliwo z powodu powrotu VAT do ceny. 30 czerwca benzyna w centrum Wrocławia „95" - kosztowała 6 zł - w środę 6,82 zł, „98" odpowiednio 6,68 zł - 7,61 zł. Diesel z 6,19 zł podrożał do 6,99 zł.

Zebrał GCH

AUTOPROMOCJA 0011547254

eprasa.pl 88eb43e386

Zadzwoniła na 112, bo stała w korku

Michał Perzanowski
Wrocław

„Żyjemy w jakimś chorym kraju" - mówiła z płaczem stojąca na A4 w upale 35 st. do kamery. Nagranie obiegło internet i wywołało drwiny. Czy w takiej sytuacji telefon na 112 jest rzeczywiście nadużyciem?

W nagraniu, które stało się viralem, słychać zdesperowaną kobietę, opisującą sytuację na autostradzie A4: - Żyjemy kur*a w jakimś chorym kraju. Od godziny czasu, od godziny i piętnastu minut stoję w jakimś chorym korku, przepotężnym, na węźle Kąty Wrocławskie - Wrocław. Próbuję wjechać na autostradę. Dzwoniłam na 112, przekierowali mnie na 19 111. Nikt nic nie może zrobić" - mówi kobieta w nagraniu.

Relacjonowała, że skończyła jej się już woda, a upał sięga 35 stopni i daje się mocno we znaki. - No przecież wszyscy na tej patelni tutaj stoimy. Puśćcie to dalej, niech to pójdzie, niech tu ktoś przyjedzie i nas stąd wypuści, bo przecież naprawdę pie**olca zaraz dostanę - dodała.

Nagranie szybko zaczęło żyć własnym życiem w sieci. I to nie w sposób, jakiego mogłaby oczekiwać jego autorka.

„Nie wychodź z domu"

Posypały się drwiące komentarze. „Od tygodnia zapowiadają rekordowe upały, więc jak nie musisz wychodzić z domu, to nie wychodź. A jak już musisz, to się przygotuj, zabierz wodę na przykład" - pisał jeden z internautów, dodając złośliwie, że część dorosłych zachowuje się tak, jakby państwo miało zastąpić im rodziców.

Inni szli jeszcze dalej: „Powinna dostać solidny mandat za wzywanie 112 w takiej sytuacji" - można było przeczytać w komentarzach.

Pojawiały się też porównania do zagranicznych realiów:

„Stoję w korku w Niemczech i mam aktualnie 41 stopni, ale klima nabita, zapas wody zrobiony. W czym jest problem? Trąbi się od kilku dni, jaka ma być pogoda, a ludzie jak zawsze nieprzygotowani i później mamy obrazki takie jak powyżej."

Do czego służy 112?

O komentarz poprosiliśmy Centrum Powiadamiania Ratunkowego we Wrocławiu. Okazuje się, że sprawa nie jest tak czarno-biała, jak sugerują internauci.

FOT. ARCHIWUM PPG

Czy można dzwonić na 112, gdy stoimy zmęczeni w korku? Sprawa nie jest jednoznaczna

- Numer 112 służy do zgłaszania nagłych zagrożeń życia, zdrowia lub bezpieczeństwa. Sam fakt stania w korku czy brak dostępu do wody nie oznaczają jeszcze sytuacji alarmowej. Każde zgłoszenie jest jednak oceniane indywidualnie przez operatora, z uwzględnieniem wielu czynników, m.in. stanu zdrowia osoby potrzebującej pomocy, występujących objawów, wieku, obecności dzieci, seniorów lub kobiet w ciąży, temperatury, czasu oczekiwania oraz możliwości bezpiecznego opuszczenia pojazdu. Jeśli istnieje podejrzenie zagrożenia zdrowia lub życia, np. z powodu przegrzania, odwodnienia czy utraty przytomności, zgłoszenie jest niezwłocznie przekazywane odpowiednim służbom - mówi Tomasz Jankowski, rzecznik Wojewody Dolnośląskiego, odpowiedzialnego m.in. za funkcjonowanie Centrum Powiadamiania Ratunkowego.

Zapewnił też, że sytuacja na A4 była na bieżąco monitorowana, a służby koordynowały m.in. możliwość dostarczenia wody osobom czekającym w korku. - Równocześnie uzgodniono gotowość wykorzystania zasobów Państwowej Straży Pożarnej, gdyby okazało się to konieczne - dodał.

Priorytetem służb - jak podkreślił Jankowski - było jak najszybsze usunięcie skutków zdarzenia i przywrócenie przejezdności trasy. Strażacy pracowali nad usunięciem uszkodzonego pojazdu, a cała sytuacja pozostawała pod stałą kontrolą służb gotowych do dodatkowej reakcji, gdyby pojawiło się realne zagrożenie dla zdrowia lub życia osób stojących w korku.

Policja nie ocenia zasadności wykonywania telefonu na 112, bo jedynie wykonuje procedury przydzielone przez CPR.

Jechałam do lekarza

Kilka dni potem autorka filmu postanowiła przedstawić pełny kontekst całej sytuacji. W piątek przed g. 14 wyjechała z Barda do lekarza na godz. 15:45. Wiedziała, że jest piątek, początek wakacji, upał i możliwe korki, dlatego z zapasem czasowym wyruszyła około dwóch godzin wcześniej, mimo że trasa normalnie zajmuje niewiele ponad godzinę. Nie mogła przewidzieć wypadku w okolicach Cieszyc, który zablokował drogę jeszcze przed Wrocławiem. Musiała zawrócić i szukać innej trasy. Po 16:05, przy wjeździe na S8, całkowicie utknęła.

Po g. 17 zadzwoniła na 997, który automatycznie przekierowuje na 112. Twierdzi, że chciała jedynie dowiedzieć się, jak długo służby zamierzają jeszcze trzymać ludzi w korku na słońcu. Zadzwoniła też na 19 111, gdzie usłyszała, że prawy pas jest przejezdny. Kobieta opisała też, że nie zabrała ze sobą zapasu wody na kilka dni, bo nie planowała utknąć w kilkugodzinnym korku. Miała przy sobie tylko litrową butelkę, która skończyła się na długo przed tym, jak zaczęła nagrywać film. Zaniepokoiły ją widok dziecka i seniorów w pobliskich autach, którzy - jej zdaniem - wyraźnie źle znosili upał. To właśnie wtedy nagrała krótki film, licząc, że dotrze on do kogoś, kto może pomóc rozładować korek.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY

0211527068

Ubezpieczeniowe gwarancje wspierają konkurencyjność firm

Żeby się rozwijać, firma musi zdobywać zlecenia na swoje produkty i usługi. W takich branżach, jak budownictwo czy transport oznacza to przede wszystkim wygrywanie przetargów. To jednak wymaga mrożenia gotówki: najpierw na wadium, potem na różne formy zabezpieczenia kontraktu. Ogranicza to ekspansję wielu przedsiębiorstw. Rozwiązaniem jest propozycja Warty, która oferuje gwarancje ubezpieczeniowe bez konieczności wystawiania papierowego weksla.

O tym, jak ważne jest to rozwiązanie, świadczy fakt, że utrzymanie płynności finansowej to obecnie główne wyzwanie dla polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, co potwierdziły badania Instytutu Keralla Research, przeprowadzone w kwietniu na zamówienie Warty. Jednocześnie w tym samym badaniu aż 46% firm przyznało, że zrezygnowało z kontraktu z powodu barier finansowo-biurokratycznych. Biurokrację zaś, jako bezpośredni hamulec rozwoju, wskazał co piąty przedsiębiorca.

Dobry czas dla ekspansji firm

Gospodarka każdego kraju naturalnie się zmienia – okresy szybkiego wzrostu regularnie przeplatają się ze spowolnieniem. Cała sztuka polega na tym, aby dobre czasy trwały jak najdłużej, a kryzysy były krótkie i łagodne.

Obecnie prognozy dla Polski wyglądają optymistycznie. Dzięki wsparciu z funduszy unijnych nasz krajowy produkt rośnie w tempie ponad 3% rocznie i podobne tempo prognozowane jest na lata kolejne. To oznacza stały popyt na oferowane przez polskich przedsiębiorców towary i usługi. Jednocześnie, w przywołanym już badaniu na zlecenie Warty, aż 68% przedsiębiorców deklaruje wprost: gdyby formalności było mniej, bralibyśmy udział w większej liczbie przetargów.

Kluczem do sukcesu w przetargach – obok prostszych procedur – jest uwolnienie firmowych pieniędzy na każdym etapie walki o kontrakt. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom finansowym, firmy nie muszą już zamrażać własnej gotówki na kontach inwestorów ani obciążać swojego limitu kredytowego w banku.

Finansową płynność można zachować od samego początku. Zamiast wpłacać gotówkowe wadium na start, firma może elastycznie przystąpić do przetargu. Kolejny zysk pojawia się przy podpisaniu umowy: zanim wpłyną pierwsze płatności za realizację, firma chroni swój kapitał obrotowy, zabezpieczając kontrakt bez angażowania własnych środków. Chroni to biznes również przed ryzykiem opóźnień czy niesłusznych roszczeń.

Największą korzyść widać w sytuacjach spornych. Bezpieczne instrumenty finansowe gwarantują, że nawet podczas rozmów z inwestorem, firmowy kapitał pozostaje wolny i cały czas pracuje na kolejne sukcesy przedsiębiorstwa.

Partner dający przewagę

Warta pomaga uczestnikom przetargów uwolnić zamrożony kapitał dzięki szerokiej ofercie gwarancji. Gwarancje przetargowe umożliwiają firmom udział w postępowaniach bez konieczności angażowania własnych środków finansowych. Z kolei gwarancje należytego wykonania kontraktu oraz usunięcia wad i usterek wzmacniają wiarygodność przedsiębiorstwa w oczach inwestorów, a jednocześnie zapewniają ochronę na wypadek problemów związanych z realizacją zamówienia. Dla firm, które po wygraniu przetargu mogą skorzystać z płatności zaliczkowej, czyli częściowej zapłaty za kontrakt przed rozpoczęciem realizacji prac, Warta oferuje zabezpieczenie wymagane od zamawiającego, aby wypłata środków pieniężnych na konto wykonawcy była możliwa. Są to tak zwane gwarancje zaliczkowe. Wachlarz propozycji zamykają zaś gwarancje specjalistyczne.

Największym atutem Warty jest pełna cyfryzacja – w przypadku gwarancji do 500 tysięcy złotych i maksymalnemu zaangażowaniu do wysokości 2 milionów złotych, nie ma wymogu złożenia papierowego weksla. Jako pierwszy ubezpieczyciel na rynku Warta na szeroką skalę eliminuje papierowy obieg dokumentów. Dzięki temu proces jest błyskawiczny i całkowicie cyfrowy od początku do końca.

Współpraca z Wartą to dla firm potrójny zysk: oszczędność czasu, bezpieczna płynność finansowa i wyższa wiarygodność na rynku. To trzy filary, które budują sukces w każdym biznesie.

eprasa.pl 88eb43e386

Park Średzki w Leśnicy na celowniku wandali

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Niecały rok po modernizacji stał się celem ataków wandali. Dewastacji jest tak dużo, że zarządca nie nadąża z naprawami. Straty liczone są w tysiącach złotych.

ZARZĄD ZIELENI MIEJSKIEJ

W Parku Średzkim zrywane są liny pomostu, uszkadzane słupki i deski. Ktoś ostatnio rozpalał nawet na nich... grilla

Modernizacja Parku Średzkiego we wrocławskiej Leśnicy zakończyła się w 2025 r. i kosztowała około 1,2 mln zł. Utwardzono ścieżki wokół stawów, zbudowano pomosty i małą architekturę. Teraz jednak nowe elementy parku znów wymagają napraw.

Jak mówi Marek Szempliński z Zarządu Zieleni Miejskiej, w Parku Średzkim notorycznie dochodzi do dewastacji. Najczęściej niszczony jest pomost. Młodzież skacze z niego do stawu, choć obowiązuje zakaz pływania. Zrywane są jego liny, uszkadzane słupki i deski. Ktoś ostatnio rozpalał nawet na nich... grilla. Straty liczone są w tysiącach złotych.

- W ostatnim czasie było tak dużo dewastacji, że nie nadążamy odbierać napraw - mówi Marek Szempliński. - Każdy tysiąc złotych można wydać inaczej. Zsumowane tysiące pozwoliłyby np. na założenie nowej, parkowej rabaty. A tak musimy pokrywać koszty napraw dewastacji - dodaje.

To najbardziej dewastowany park w mieście. A środki na naprawy pochodzą z budżetu Zarządu Zieleni Miejskiej, czyli z pieniędzy mieszkańców Wrocławia.

Sprawa została zgłoszona policji oraz straży miejskiej. W najbliższym czasie okolice parku mają być objęte zwiększoną liczbą patroli. Rozważane jest także wprowadzenie monitoringu, który mógłby ograniczyć skalę zniszczeń.

Zarząd Zieleni Miejskiej apeluje do mieszkańców o reagowanie na akty wandalizmu i zgłaszanie niebezpiecznych sytuacji pod numerami 112 (Centrum Powiadamiania Ratunkowego) lub 71 347 16 35 (Straż Miejska Wrocławia).

Podczas festiwalu przetestują... na HIV

Redakcja
Wrocław

Ciekawą inicjatywę chce zrealizować Fundacja Parasol na nadchodzącym festiwalu Slot Art w Lubiążu.

Podczas tegorocznego festiwalu SLOT ART w Lubiążu, 8-12 lipca, doradcy i pielęgniarki z toruńskiej Fundacji Parasol bezpłatnie przetestują na HIV wszystkich zainteresowanych uczestników imprezy. Organizatorzy akcji szacują, że przebada się nawet 800 osób.

Testy na festiwalu to część projektu Fundacji „Gdzie młodzież tam i my!", w ramach którego prowadzone są również działania edukacyjne.

Festiwal SLOT ART to wyjątkowe spotkanie kilku tysięcy osób w barokowym kompleksie klasztornym w Lubiążu. Przez pięć dni biorą udział w koncertach, warsztatach, spotkaniach, pokazach i spektaklach.

W tym roku - po raz pierwszy w ponad 30-letniej historii festiwalu - będą mogli porozmawiać o swoim zdrowiu seksualnym i przetestować się na HIV, HCV i kiłę na stoisku specjalnie przygotowanym przez Fundację Parasol. Na zainteresowanych będą czekać dyplomowani doradcy ds. HIV/AIDS, pielęgniarki oraz wolontariusze z Parasola.

W festiwalu SLOT ART biorą udział osoby w wieku od 18 do nawet 70 lat. - Większość z nich pewnie nigdy dotąd nawet nie pomyślała o wykonaniu testu na HIV. A szkoda, bo ten wirus jest bardzo demokratyczny i zakażenie może się zdarzyć każdemu - mówi Andrzej Olczyk z Fundacji Parasol. - Mamy nadzieję zrobić około 800 testów i dzielić się wiedzą na tem chorób przenoszonych drogą płciowąNiestety nadal jest ona na niskim poziomie. Zdecydowana większość Polaków uważa, że HIV i inne choroby przenoszone drogą płciową ich nie dotyczą, więc nie widzi powodu, aby się testować. Próbujemy to zmienić, ułatwiając dostęp do badań na HIV tam, gdzie zbierają się tłumy potencjalnych chętnych - np. na festiwalach. Jest to też świetna okazja do edukacji o profilaktyce przedekspozycyjnej HIV, czyli PrEP, która zmniejsza ryzyko zakażenia nawet o 99% - dodaje Olczyk.

REKLAMA 0011546589

W remizie Ochotniczej Straży Pożarnej powstanie multimedialn strzelnica laserowa

Grażyna Szyszka
Głogów

Gmina Jerzmanowa znalazła się w gronie największych beneficjentów programu Ministerstwa Obrony Narodowej „Strzelnica w każdym powiecie 2026".

FOT. PRZEMYSŁAW KACZAŁKO

W Jerzmanowej, z inicjatywy OSP, są gotowi do organizowania strzelnicy. Na zdj. strzelnica w Jeleniej Górze

Dobra wiadomość dla mieszkańców podgłogowskiej gminy Jerzmanowa oraz wszystkich zainteresowanych szkoleniem strzeleckim i edukacją prooobronną. Samorząd otrzymał 142,7 tys. zł dofinansowania w ramach programu Ministerstwa Obrony Narodowej „Strzelnica w każdym powiecie 2026".

Projekt uzyskał wysoką ocenę formalną i merytoryczną, a podczas sesji pod koniec czerwca Rada Gminy zabezpieczyła środki na wkład własny. Tym samym finansowanie inwestycji zostało w pełni zapewnione i nic nie stoi na przeszkodzie, aby rozpocząć jej realizację.

Budowa strzelnicy będzie kosztowała w sumie W178,3 tys. zł. Dofinansowanie z MON wyniesie 142,7 tys. zł, a wkład własny gminy Jerzmanowa - 36 tys. zł.

Nowoczesna, multimedialna strzelnica laserowa powstanie w remizie OSP. Obiekt zostanie wyposażony w profesjonalny system szkoleniowo-treningowy z replikami broni krótkiej i długiej, realistycznym systemem odrzutu oraz zaawansowanym systemem projekcji i kamer, umożliwiającym prowadzenie treningów w wielu scenariuszach.

Nowa strzelnica będzie służyć młodzieży, mieszkańcom oraz strażakom z OSP Jerzmanowa jako miejsce nowoczesnych szkoleń, doskonalenia umiejętności i działań edukacyjnych.

- Dziękujemy druhnom i druhom z OSP Jerzmanowa za zaangażowanie i aktywny udział w przygotowaniu projektu. Dzięki tej współpracy udało się pozyskać środki, które przełożą się na kolejną wartościową inwestycję w naszej gminie - mówi Anna Obolewicz, wójt gminy.

W woj. dolnośląskim w ramach programu MON powstało już kilka takich strzelnic. M.in. dwie ootwarto niedawno w jeleniogórskich szkołach.

eprasa.pl 88eb43e386

Powiat legnicki dołączy do autostrady rowerowej

Klaudia Korfanty
Wrocław

Na terenie 8 gmin powiatu legnickiego powstaną nowe trasy rowerowe. Ich budowa będzie kosztować prawie 7 mln zł. Dołączą do Dolnośląskiej Autostrady Rowerowej.

Władze starostwa legnickiego podpisali z firmą Przedsiębiorstwo Transportowo-Budowlane Sp. z o.o. z Wrocławia umowę na realizację zadania pn. „Budowa systemu turystycznego i ścieżek rowerowych w Powiecie Legnickim stanowiących uzupełnienie sieci głównych tras rowerowych województwa dolnośląskiego (Dolnośląskiej Autostrady Rowerowej/Cyklostrady Dolnośląskiej)". W spotkaniu uczestniczyli włodarze zainteresowanych gmin.

Inwestycja będzie realizowana w formule „zaprojektuj i wybuduj", co oznacza, że wykonawca odpowiada zarówno za opracowanie kompletnej dokumentacji projektowej, jak i wykonanie robót budowlanych wraz z zagospodarowaniem terenu oraz niezbędną infrastrukturą towarzyszącą.

FOT. UMWD

Jeden z pierwszych odcinków Dolnośląskiej Autostrady Rowerowej – gmina Prusice

Przedsięwzięcie zostało podzielone na cztery części i obejmie oznakowanie i budowę ścieżek rowerowych:

część 1 obejmująca prace na terenie gminy Chojnów, miasta Chojnów;

część 2 obejmująca prace na terenie gmin Miłkowice oraz Krotoszyce;

część 3 obejmująca prace na terenie gmin Ruja i Prochowice;

Część 4 obejmująca prace na terenie gmin Kunice oraz Legnickie Pole.

Nowe trasy połączą lokalne szlaki z Dolnośląską Autostradą Rowerową (Cyklostradą Dolnośląską), zwiększając dostępność komunikacyjną regionu, atrakcyjność turystyczną oraz możliwości aktywnego spędzania wolnego czasu przez mieszkańców i odwiedzających - zapowiada powiat legnicki.

Wartość zadania oszacowano na 6 994 259,70 zł, z czego dofinansowanie ze środków Unii Europejskiej w ramach zintegrowanych inwestycji terytorialnych legnicko-głogowskiego obszaru funkcjonalnego wynosi 4 396 371,11 zł.

Jeżdżą już ze Złotoryi do Nowej Wsi Grodziskiej

Dolnośląska Autostrada Rowerowa ciągle się rozwija. Na początku maja trzy samorządy: miasto Złotoryja, gmina Złotoryja i gmina Pielgrzymka zaprosiły rowerzystów na otwarcie nowego, 10-kilometrowego odcinka trasy rowerowj ze Złotoryi do Nowej Wsi Grodziskiej. Wójt Pielgrzymki Tomasz Sybis zapowiedział, że gmina zbuduje jeszcze 500-metrowy odcinek do granicy gminy w kierunku Grodźca. Liczy, że dalsze odcinki zbudują sąsiedzi, czyli gmina Zagrodno.

Paliła się zabytkowa parowozownia

Karolina Kwiatek
Wrocław

Po godzinie 13 w środę strażacy zostali zaalarmowani pożarem w zabytkowej parowozowni w Jaworzynie Śląskiej. W akcji gaszenie udział brało ponad 20 jednostek straży pożarnej.

- Pali się hala magazynowa w parowozowni. Połowa została spalona, ale drugą część udało się obronić. Dach wpadł do środka. Wstępnie stwierdzono brak osób poszkodowanych. Obiekt zostanie jeszcze przeszukany po ugaszeniu pożaru - mówił w środę Łukasz Grzelak, zastępca komendanta Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Świdnicy. Strażacy zaapelowali do okolicznych mieszkańców o zamykanie okien z powodu zadymienia.

Sprawa poruszyła lokalną społeczność. Stowarzyszenie Miłośników Kolei w Jaworzynie Śląskiej mówi o tragedii, bo to miejsce wyjątkowe dla miasta i gminy. Stanowi „kawał historii polskiego kolejnictwa, który od dziesięcioleci budował tożsamość Jaworzyny Śląskiej" - podkreślają.

FOT. KONRAD SZYMAŃSKI

Parowozownia w połowie spłonęła. Zawalił się dach

REKLAMA 0011547958

Ponad tysiąc nowych miejsc pracy.

amazon

Amazon otwiera w Dobromierzu swoje najbardziej zaawansowane technologicznie centrum logistyczne w Polsce

Amazon uruchomi w październiku 2026 roku swoje dwunaste centrum logistyczne w Polsce - pierwsze na Dolnym Śląsku wyposażone w pełni zrobotyzowany system Amazon Robotics. Czterokondygnacyjny obiekt w Dobromierzu (pow. świdnicki) o powierzchni ponad 200 tys. m² zapewni w pierwszym roku działalności ponad tysiąc stałych miejsc pracy.

Nowy typ obiektu w dolnośląskim ekosystemie Amazon

Na Dolnym Śląsku Amazon zbudował zróżnicowany ekosystem logistyczny. Istniejące już w regionie centra zajmują się kolejno: klasycznym magazynowaniem i wysyłką, sortowaniem produktów przed dostawą, drukiem książek na życzenie oraz błyskawicznym przekierowywaniem przesyłek na trasy bez składowania. Każde z nich działa w innym modelu operacyjnym – od tradycyjnej obsługi zamówień, po logistykę opartą wyłącznie na przepływie produktów.

Centrum w Dobromierzu doda do tego zaawansowaną robotykę na dużą skalę. Ponad 5 tys. robotów będzie wspierać pracowników przy kompletowaniu i wysyłce zamówień, sprawiając, że codzienna praca stanie się łatwiejsza. To czwarte w pełni zrobotyzowane centrum Amazon w Polsce.

– *Inwestycja Amazon w Dobromierzu to jedno z najważniejszych przedsięwzięć gospodarczych realizowanych obecnie na Dolnym Śląsku. Decyzja firmy o ulokowaniu nowoczesnego centrum logistycznego właśnie na terenach WSSE „INVEST-PARK" potwierdza wysoką jakość naszej oferty inwestycyjnej oraz potencjał regionu. To projekt, który przyniesie setki nowych miejsc pracy, pobudzi rozwój lokalnych przedsiębiorstw i umocni pozycję Dolnego Śląska jako kluczowego centrum nowoczesnej logistyki i zaawansowanych technologii w Europie* – mówi **Krzysztof Hołub**, wiceprezes WSSE „INVEST-PARK.

Dolny Śląsk - kluczowy region operacyjny Amazon w Europie Środkowej

Amazon działa w Polsce od 2012 roku i zainwestował tu do tej pory ponad 45 mld zł, a na lata 2026 –2028 zapowiedziano kolejne 23 mld zł inwestycji. Dolny Śląsk zajmuje w tej strategii szczególne miejsce – tylko w 2025 roku Amazon zainwestował w województwie ponad 2,5 mld zł, a jego działalność przyczyniła się do wzrostu regionalnego PKB o ponad 1,3 mld zł.

– *Nasza współpraca z Amazon rozpoczęła się w 2021 roku, kiedy to firma zainteresowała się zakupem blisko 20-hektarowego terenu w podstrefie Dobromierz. Od samego początku aktywnie wspieraliśmy inwestora na każdym etapie procesu – aż po finalizację zakupu gruntu. Projekt pokazuje, że partnerska współpraca strefy, samorządów i biznesu przekłada się na realizację inwestycji o strategicznym znaczeniu dla rozwoju Dolnego Śląska* – dodaje **Krzysztof Hołub**.

O wyborze Dobromierza zdecydowała infrastruktura drogowa, dostęp do zaangażowanych pracowników z subregionu świdnickiego i wałbrzyskiego oraz lokalizacja, która umożliwia mieszkańcom okolicznych miejscowości krótki dojazd do nowoczesnego miejsca pracy.

Ponad tysiąc miejsc pracy i rekrutacja w toku

Centrum w Dobromierzu stworzy w pierwszym roku działalności ponad 1 000 pełnoetatowych stanowisk. Oferta obejmuje zarówno operatorów stacji kompletacji, przyjęcia i wysyłki, jak i techników oraz inżynierów odpowiedzialnych za utrzymanie robotów i systemów IT, kierowników operacyjnych, a także specjalistów HR, BHP i administracji.

Dla nowych pracowników na stanowiskach podstawowych stawka wynagrodzenia wyniesie 31,50 zł/h, dla osób ze stażem między rok a 2 lata – 32,50 zł/h, a dla pracowników zatrudnionych 2 lata i dłużej – 34 zł brutto/h. Przyznawana jest także premia w maksymalnej wysokości do 15%. Zatrudnieni bezpośrednio przez Amazon pracownicy od pierwszego dnia otrzymują umowę o pracę. Firma zapewnia bezpłatny transport do pracy na wybranych trasach.

Rekrutacja na stanowiska podstawowe już się rozpoczęła, aktualnie dostępne oferty można znaleźć na stronie: **www.pracujwamazon.pl.**

Amazon szkoli i wspiera

Amazon pięciokrotnie zdobył certyfikat Top Employer przyznawany przez Top Employers Institute za standardy zatrudnienia i kulturę pracy. W ramach programu „Postaw na swój rozwój" Amazon pokrywa 100% kosztów wybranych kursów i szkoleń, z dofinansowaniem sięgającym 8 200 zł rocznie. Firma prowadzi programy wsparcia osób z niepełnosprawnościami – „MigaMy" skierowany do pracowników niedosłyszących oraz „Homer" wspierający osoby niedowidzące.

fot. Kajima

eprasa.pl 88eb43e386

Zamek Książ oczami kamerdynera, pokojówki, służącego, archiwisty...

Paweł Gołębiowski
Wałbrzych

1 lipca swoją premierę miała książka „Zamek Książ. Historia opowiedziana głosami służących" autorstwa Agnieszki Dobkiewicz i Mateusza Mykytyszyna.

– Książka obejmuje lata 1888--1946 i prowadzi czytelnika nie tylko przez reprezentacyjne komnaty Hochbergów, ale przede wszystkim do kuchni, pralni, stajni i skromnych pokoi służby. Choć oparta wyłącznie na źródłach historycznych, czyta się ją niczym fascynującą powieść – przekonują autorzy. Agnieszka Dobkiewicz i Mateusz Mykytyszyn pracowali nad książką przez blisko dwa lata. Udało im się odnaleźć 16 rodzin potomków dawnych pracowników zamku. Te osoby podzieliły się z autorami bezcennymi fotografiami, dokumentami i wspomnieniami.

Właśnie dzięki nim anonimowa dotąd służba odzyskała swoje nazwiska i twarze. W książce poznamy m.in. losy: wiernej pokojówki księżnej Daisy Dolly Crowther, kamerdynera Heinricha Kummera, żydowskiego archiwisty Ezechiela Ziviera, dyrektora generalnego Paula Hochbauma, a także najbardziej zaufanego służącego księżnej Daisy – Paula Seidla.

– Co niezwykle cieszy, historia nadal się dopisuje. Jeszcze w ubiegłym tygodniu odezwał się do nas potomek pracowników zamkowych stajni, a wcześniej wnuk szofera hrabiego Aleksandra Hochberga. To dowód, że pamięć o ludziach tworzących historię Książa wciąż żyje – mówią Agnieszka Dobkiewicz i Mateusz Mykytyszyn.

Podkreślają, że publikacja została bogato zilustrowana wieloma niepublikowanymi wcześniej fotografiami pochodzącymi z archiwów Zamku Książ, Fundacji Księżnej Daisy von Pless oraz rodzin bohaterów tej opowieści.

Książkę można już zamawiać w przedsprzedaży w sieci Empik oraz jako e-book na Publio.

Jak uchronić Głogów i okolicę przed groźnymi rzekami?

Grażyna Szyszka
Głogów

Trzeba przebudować wał nad Odrą oraz zbudować zastawkę, by woda z rzeki Czarna nie zalewała Głogowa podczas cofki.

Przedstawiciele lokalnych władz, parlamentu oraz Wód Polskich spotkali się w Głogowie, by rozmawiac o tym, jak zminimalizować ryzyko podtopień w Głogowie i okolicznych miejscowościach. Podczas wizyty Komisji Nadzwyczajnej ds. działań przeciwpowodziowych i usuwania skutków powodzi z roku 2024 w woj. dolnośląskim rozmawiano m.in. o przebudowie wału P1, który rozciąga się na odcinku 26 km od gminy Szlichtyngowa, przez Głogów i Kotlę, oraz o konieczności budowy zastawki na ujściu rzeki Czarnej, która powoduje szkody w mieście, gdy na Odrze jest cofka. – Priorytetem jest budowa zastawki. Mam nadzieję, że koncepcja będzie w niedługim czasie doprecyzowana i uzgodniona z Wodami Polskimi. Koszty nie są miażdżące, to około 8 milionów złotych na zabezpieczenie kilkudziesięciu budynków – mówił poseł Łukasz Horbatowski.

FOT. A.SAWICKI, D. GRUDZIEŃ

Wrzesień 2024 roku. Powódź zniszczyła głogowskie osiedle Krzepów

Prezydent Głogowa Rafael Rokaszewicz przypomniał, że już w zeszłym roku miasto zleciło koncepcję techniczną na budowę zastawki przy ul. Starej. Obecnie miasto ma koncepcję wraz z częścią kosztową. – Zastawka, która miałaby służyć jako ochrona przed cofką, na co dzień mogłaby piętrzyć wodę w Czarnej, co powodowałoby nawadnianie pól i tworzenie przyjaznego klimatu. Retencjonowanie wód jest niezwykle ważne. Dziś ta rzeczka wręcz wysycha i jest problem w zakresie nawadniania, ale w czasie powodzi mamy jeszcze większy problem. Wstępnie uzgodniliśmy z Wodami Polskimi, że następnym krokiem będzie wykonanie pełnej dokumentacji, czyli decyzji środowiskowych i prawnych. Następnie trzeba będzie podpisać dokument o współfinansowaniu dokumentacji. Koncepcja kosztowała 115 tysięcy złotych, a dokumentacja to koszt wielokrotnie większy – powiedział.

- Koncepcja zabezpieczenia cofkowego jest świeżym materiałem. Jesteśmy otwarci na podpisanie porozumienia w zakresie partycypacji w kosztach dokumentacji projektowej – zapewniał Marcin Jarzyński, zastępca prezesa Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie ds. Ochrony przed Powodzią i Suszą.

A co z wałem przeciwpowodziowym P1? – Wniosek o dofinansowanie tego zadania był złożony w marcu i jest procedowany. Wszystko wskazuje na to, że dostaniemy dofinansowanie. Całkowity koszt to 89 milionów złotych, a koszt samej dokumentacji wynosi 3,5 miliona.

Wody Polskie od września 2024 roku przeznaczyły ponad 800 mln zł na usuwanie skutków powodzi. Na ten rok zaplanowano 150 mln zł dla województw śląskiego, dolnośląskiego i opolskiego.

REKLAMA 0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL"** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/ 355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA"** Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS"** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranica. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON"**– Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67, ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICCY"** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43 - całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na tranport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłychz domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Zmarł Bogdan Malinowski, były burmistrz Karpacza

Przemysław Kaczałko
Jelenia Góra

Bogdan Malinowski - wieloletni burmistrz miasta pod Śnieżką. O śmierci byłego samorządowca poinformował Urząd Miasta w Karpaczu.

Bogdan Malinowski związał swoje życie zawodowe z Karpaczem, pełniąc funkcję naczelnika w latach 1983-1990, a następnie burmistrza Karpacza w latach 1998-2001 oraz w latach 2002-2014. - Miałem zaszczyt znać Bogdana. Był oddanym samorządowcem, partnerem do rozmowy i współpracy, ale przede wszystkim człowiekiem życzliwym, odpowiedzialnym i otwartym na innych. Dla wielu z nas był przykładem, że samorząd to nie tylko pełniona funkcja, ale przede wszystkim służba ludziom. Jego odejście jest wielką stratą nie tylko dla Karpacza, ale także dla całej społeczności naszego regionu - wspomina Jerzy Łużniak, prezydent Jeleniej Góry.

Bogdan Malinowski spoczął wczoraj na Cmentarzu Komunalnym w Karpaczu.

FOT. ARCHIWUM PPG

Bogdan Malinowski był znanym samorządowcem. Kierował karpacką gminą przez wiele lat

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 3 lipca

● **GRABISZYN**
Mateusz Domino g. 8.00
Wojciech Bajsarowicz g. 9.00
Władysław Malczyszyn g. 10.00
Zofia Pawlak g. 11.00
Teodor Leib g. 12.00
Andrzej Błażewicz g. 13.00
Helena Waniowska g. 14.00
Barbara Adamska g. 15.00

● **OSOBOWICE**
Gerard Gancarz g. 9.20
Krzysztof Guzek 10.00
Irena Eleonora Pakeltys g. 10.40
Janina Kałuża g. 11.20
Irena Kamińska g. 12.00
Adam Zygadło g. 12.40
Witold Rzepka g. 14.00

● **JERZMANOWO**
Lucyna Kmiecik g. 13.00

● **PSIE POLE**
Stanisław Mazur g. 13.00
Ewa Łacek g. 14.00

● **PAWŁOWICE**
Bożena Górska g. 12.00

Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

eprasa.pl 88eb43e386

POLSKA *i* ŚWIAT

BEZPIECZEŃSTWO

Litewscy politycy są zgodni, że z konstytucji należy usunąć zapis zakazujący rozmieszczania na terytorium Litwy broni jądrowej. Prezydent Nauseda spotkał się z przewodniczącym parlamentu, premierem oraz liderami frakcji sejmowych. Po tej rozmowie ogłosił, że wszyscy jego rozmówcy zgodzili się, że art. 137 konstytucji, przewidujący taki zakaz, jest przestarzały i powinien zostać wykreślony.

Byłoby bardzo niefortunnie, gdybyśmy stali się słabym ogniwem lub szarą strefą w ramach NATO

Gitanas Nauseda, prezydent Litwy

KRÓTKO

WARSZAWSKI SZPITAL POŁUDNIOWY

Koordynator traci pracę

Warszawski Szpital Południowy rozwiązał umowę o pracę z pracownikiem pełniącym funkcję koordynatora prosektorium, bez wypowiedzenia, z winy pracownika, ze skutkiem natychmiastowym – poinformował w czwartek w oświadczeniu szpital.

W oświadczeniu wyjaśniono, że podstawą decyzji jest ciężkie naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych, w szczególności obowiązku dbałości o dobre imię szpitala, lojalności wobec pracodawcy oraz – co najważniejsze – poszanowania kultu osoby zmarłej i bólu jej najbliższych.

Zwolnienie z pracy koordynatora SOR to pokłosie publikacji portalu Zero.pl o nieprawidłowościach w prosektorium tej lecznicy. Kierujący nim miał promować firmę pogrzebową swojej wspólniczki; koordynator publikował zdjęcia ciał i szczątków ludzkich na profilach w mediach społecznościowych; prosektorium miało być wynajmowane jako plan filmowy – podał serwis. PAP

ODZYSKANE DOBRA KULTURY

Wraca pierścień króla Polski

FOT. PAP/ŁUKASZ GAGULSKI

Pierścień króla Zygmunta I Starego zaginął podczas II wojny światowej. Wykonane z 24-karatowego złota, ozdobione imponującym brylantem dzieło sztuki jubilerskiej teraz wraca do Polski. W Krakowie odbyła się w czwartek uroczystość przekazania go do zbiorów Muzeum Książąt Czartoryskich.

EDUKACJA

Bez komórek w przedszkolach

Zakaz korzystania z m.in. telefonów komórkowych obejmie nie tylko podstawówki, ale i przedszkola – zakłada jedna z poprawek do projektu noweli ustawy Prawo oświatowe, które w czwartek pozytywnie zaopiniowała Komisja Edukacji i Nauki. Rozwiązanie poparł resort edukacji.

Nowelizacja ustawy zakłada wprowadzenie zakazu korzystania z telefonów komórkowych i innych urządzeń umożliwiających komunikację, nagrywanie dźwięku lub obrazu podczas pobytu na terenie szkoły przez dzieci w publicznych i niepublicznych szkołach podstawowych od 1 września 2026 r.

Zakaz nie obejmie wycieczek szkolnych czy pobytu w internacie. PAP

Ważą się losy stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce

Dorota Kowalska
Warszawa

Politycy zapewniają, że „mamy zielone światło" od Amerykanów dla stałej obecności wojsk USA w Polsce. Starają się o nią i rząd, i Kancelaria Prezydenta. Ostateczne decyzje jednak nie zapadły. Być może po szczycie NATO w Ankarze usłyszymy o tej sprawie więcej.

Wydaje się, że przynajmniej w tej sprawie rząd i prezydent mówią jednym głosem – chodzi o stałą bazę wojsk amerykańskich w Polsce.

– Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i prezydent Karol Nawrocki mają wspólne, spójne stanowisko, które zaprezentują na szczycie NATO w Ankarze – stwierdził wiceszef MON Paweł Zalewski po spotkaniu Władysława Kosiniaka-Kamysza z Karolem Nawrockim.

Spotkanie odbyło się w środę, panowie rozmawiali o kwestii stosunków polsko-amerykańskich i innych sprawach związanych z obronnością. – Poinformowaliśmy prezydenta o stanie prac nad bazami – mówił Zalewski, podkreślając kluczowe znaczenie tego projektu. – One są ważne także dla Amerykanów, bo Amerykanie mają interes tu być, m.in. ze względu na swoje poważne interesy w naszym kraju. Dla nas jest to ważne, bo to inwestycja w nasze bezpieczeństwo i odstraszenie wobec Rosji; trudno o czytelniejszy sygnał dla Rosji – ocenił wiceszef MON.

FOT. PAP/MARCIN GADOMSKI

Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz stara się o to, by wojska USA stacjonowały w Polsce na stałe

Władysław Kosiniak-Kamysz w połowie czerwca informował, że uzyskał od szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha pozytywną odpowiedź na list z 29 maja zgłaszający gotowość Polski do utworzenia stałej bazy wojsk amerykańskich. „Po pozytywnej odpowiedzi sekretarza obrony USA na moją propozycję jesteśmy na kolejnym etapie rozmów. W Pentagonie trwa przegląd sił, który będzie podstawą dalszych decyzji. Departament Wojny jest otwarty na ofertę Polski w zakresie stałego stacjonowania sił amerykańskich na jej terytorium" – przekazał Władysław Kosiniak-Kamysz za pośrednictwem platformy X, dodając, że „blisko 60 proc. Polaków popiera utworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce".

„Zwiększone zaangażowanie wojsk USA to silniejsze odstraszanie i bezpieczna Polska" – zakończył swój wpis wicepremier i szef MON.

16 czerwca rząd przyjął uchwałę, która zainicjowała działania w sprawie utworzenia w Polsce stałej bazy amerykańskich żołnierzy. Potrzebne są konsultacje z Amerykanami, przygotowanie propozycji lokalizacji potencjalnej bazy oraz zestawienie dotyczące niezbędnej infrastruktury, kosztów projektu oraz źródeł finansowania przedsięwzięcia. Wiadomo, że wybudowanie takiej bazy może kosztować nawet kilkanaście miliardów złotych.

Co do lokalizacji, wiceminister resortu obrony Stanisław Wziątek w rozmowie z Polskim Radiem 24 stwierdził, że takich miejsc jest kilka. – Na pewno możemy stwierdzić, że to będzie część zachodnia Polski – powiedział, dodając, że atrakcyjnym wyborem zdaje się być Szczecin. – Łatwość transportu ciężkiego sprzętu dodatkową drogą komunikacyjną ma tutaj ogromne znaczenie – tłumaczył.

Prezydent Nawrocki poruszał tę kwestię w rozmowie z Donaldem Trumpem podczas swojej niedawnej wizyty w USA. Trump miał potwierdzić swoją wcześniejszą deklarację o wysłaniu do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy amerykańskich.

W środę szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP Marcin Przydacz po rozmowie z sekretarzem stanu USA Marco Rubio, stwierdził, że mamy „zielone światło" dla stałej obecności wojsk USA w Polsce, a Rubio jest „absolutnie zwolennikiem" zmiany charakteru obecności amerykańskich sił zbrojnych na terytorium Polski z rotacyjnej na stałą. PAP

Sąd okręgowy utrzymał w mocy decyzję o tymczasowym areszcie dla Zbigniewa Ziobry

Jan Żelaźniak
Warszawa

Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał w mocy decyzję o tymczasowym areszcie wobec byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, podejrzanego w śledztwie dot. Funduszu Sprawiedliwości.

Decyzja w tej sprawie została ogłoszona w środę po południu. Orzeczenie zapadło po wielogodzinnym posiedzeniu, podczas którego obrona byłego ministra składała liczne wnioski formalne – w tym między innymi te dotyczące wyłączenia sędziów ze składu, czy o zawieszenie sprawy. Sąd jednak nie uwzględnił tych wniosków. Sprawę zażalenia rozpoznawał trzyosobowy skład sędziowski i zasiadali w nim: sędzia Adam Chocholak, sędzia Danuta Grunwald oraz sędzia Anna Szymacha-Zwolińska.

O decyzji w sprawie aresztu dziennikarzy poinformowała późnym wieczorem sędzia Anna Ptaszek, rzeczniczka sądu do sprawy karnych. Jak wskazała, zdaniem sądu okręgowego „bardzo obszerne i bardzo szczegółowe zażalenia złożone przez trójkę obrońców odnosiły się w dużej mierze do oceny materiału dowodowego". Zaznaczyła, że w odniesieniu do niektórych zarzutów wobec byłego ministra sąd ocenił, że sprawstwo Ziobry nie jest uprawdopodobnione w wymagany sposób, ale „były to zarzuty mniejszej wagi".

Jednocześnie dodała, że zdaniem sądu wszystkie przesłanki do stosowania aresztu – także związane z obawą matactwa, zagrożeniem surową karą, ucieczki i ukrywania się – zostały spełnione. Sędzia Ptaszek zastrzegła, że sąd „na tym etapie nie wypowiadał się o winie lub braku winy" Ziobry. Dodała, że postanowiono o odroczeniu na siedem dni sporządzenia pisemnego uzasadnienia środowej decyzji. PAP

eprasa.pl 88eb43e386

Kraje bałtyckie chcą więcej amerykańskich żołnierzy u siebie

Jan Żelaźniak
Wilno

Amerykanie zredukowali liczbę żołnierzy stacjonujących na terenie Litwy, Łotwy i Estonii. Teraz politycy tych krajów apelują do władz USA, aby jeszcze raz przemyślały tę decyzję i zwiększyły swoją obecność.

Liderzy litewskiej i estońskiej prawicy przedstawili władzom Partii Republikańskiej w USA 12-punktową inicjatywę „Bałtycka i Amerykańska Wiosna", w której apelują m.in. o zapewnienie stałej obecności amerykańskich żołnierzy w państwach bałtyckich.

Litewski opozycyjny Związek Ojczyzny-Litewscy Chrześcijańscy Demokraci (TS-LKD) poinformował, że propozycja zakłada utrzymywanie w regionie sił do wielkości brygady, rotowanych między Litwą, Łotwą i Estonią.

„Państwa zobowiązują się do pełnego pokrycia wszystkich kosztów związanych z rozmieszczeniem wojsk USA na ich terytoriach, w tym utrzymania infrastruktury, paliwa, wyżywienia, opieki medycznej oraz wszystkich innych usług" – przekazał poseł Laurynas Kasciunas, przewodniczący TS-LKD i były minister obrony kraju.

Latem tego roku Litwę opuściło ponad 1 tys. amerykańskich żołnierzy, kończąc rotacyjną misję. Wycofanie nastąpiło w czasie prowadzonego przez Waszyngton przeglądu rozmieszczenia sił zbrojnych USA w Europie. PAP

FOT. PAP/EPA/VALDA KALNINA

Bałtycka Linia Obrony na granicy Estonii i Rosji. Na zdjęciu widać tzw. smocze zęby

Kilkanaście osób zginęło w potężnym ataku na Kijów

Kazimierz Sikorski
Kijów

Fale rosyjskich pocisków i dronów spadły na Kijów oraz inne ukraińskie miasta – kilka godzin po tym, jak prezydent Wołodymyr Zełenski ostrzegł, że Rosja szykuje kolejny potężny atak na Ukrainie.

Według szefa Kijowskiej Miejskiej Administracji Wojskowej Tymura Tkaczenki i mera Witalija Kliczki zginęło dziesięć osób, 56 zostało rannych, w tym dwoje dzieci. Później jednak pojawiły się nowe informacje o tym, że liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do 17. Liczba rannych to prawie 90 osób.

Podczas uderzenia, obejmującego ataki dronów w wielu regionach, Rosja wystrzeliła na Kijów dziesiątki pocisków manewrujących i balistycznych. Atak zniszczył budynki mieszkalne, uszkodził hotel w centrum miasta. Odnotowano zniszczenia w ponad 30 lokalizacjach we wszystkich dzielnicach Kijowa.

„Wróg ponownie atakuje dzielnice mieszkalne i zabija cywilów. Mamy do czynienia z bardzo poważnymi zniszczeniami i znaczną liczbą ofiar, w tym dzieci" – mówił Tkaczenko.

Ataki ze wszystkich kierunków, pojawiły się informacje o zwalczaniu dronów przez obronę powietrzną na obrzeżach miasta.

FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE

Przez całą noc trwały powietrzne ataki Rosji na Kijów. Rosjanie za pomocą dronów atakowali cele cywilne w stolicy Ukrainy. Mieszkańcy chronili się w metrze

„Ratownicy odgruzowują zawalone budynki, poszukują ludzi i udzielają pomocy poszkodowanym. W mieście uszkodzenia odnotowano w ponad 20 lokalizacjach, a w większości przypadków są to zwykłe budynki mieszkalne. Zniszczone zostały również stacja pogotowia ratunkowego, instytut naukowy, hotel oraz przedsiębiorstwa" – wyliczał Wołodymyr Zełenski, prezydent Ukrainy.

Fale dronów, potem potężne pociski

Zełenski już wcześniej ostrzegał, że grupy dronów zbliżają się do Kijowa i innych miast, w tym Mikołajowa, Konotopu i Chersonia. Tkaczenko ostrzegł, że drony atakują Kijów.

W czasie ataku mieszkańcy szukali schronienia w stacjach metra; wielu pozostało pod ziemią, podczas gdy ataki trwały przez całą noc. Kolejne uderzenia rozpoczęły się rankiem 2 lipca, kiedy w stolicę uderzyły pociski balistyczne – w tym hipersoniczne pociski Cyrkon.

Patrioty na ratunek?

Ukraiński prezydent oświadczył w czwartek po nocnych, zmasowanych atakach Rosji, że Kijów liczy na decyzję USA w sprawie licencji na produkcję pocisków do systemów Patriot.

„Bardzo liczymy na decyzję Stanów Zjednoczonych w sprawie udzielenia licencji na produkcję pocisków do systemów Patriot oraz na dalszą współpracę. To właśnie może powstrzymać wojnę i podobne ataki. Dziękuję wszystkim, którzy stoją po stronie Ukrainy, naszego narodu i ochrony ludzkiego życia" – napisał w serwisach społecznościowych.

Szef państwa ukraińskiego zaznaczył, że dla jego kraju ważne jest uzyskanie środków do obrony przed pociskami balistycznymi.

Zełenski napisał także, że dla obrony Ukrainy ważne jest również finansowanie programu PURL – kluczowy mechanizm NATO służący szybkiemu finansowaniu i dostarczaniu Ukrainie pilnie potrzebnego uzbrojenia. Mechanizm ten utworzono w zeszłym roku. PAP

Brak odszkodowań Niemiec dla Polski to błąd

Adam Kielar
Berlin

„Der Spiegel" pisze, że Niemcy mają finansowe zobowiązania wobec Polski za zbrodnie popełnione podczas II wojny. Brak decyzji o humanitarnym geście ze strony Berlina nazywa „moralnym błędem".

„Niemcy są Polsce coś winni za zbrodnie w II wojnie światowej. Fakt, że ciągle jeszcze nie popłynęły niemal żadne odszkodowania, jest wstydliwy dla kraju, który jest tak dumny z rozliczenia się z własną przeszłością" – stwierdza Jan Puhl w komentarzu opublikowanym w środę w portalu „Spiegla".

Niemiecki tygodnik jest po „Sueddeutsche Zeitung" kolejną gazetą wzywającą rząd w Berlinie do szybkiego udzielenia finansowego wsparcia Polakom poszkodowanym przez III Rzeszę. „10 000 złotych to po poniedziałkowym kursie równowartość 2332 euro. To śmieszna suma jako odszkodowanie za zbrodnie sprzed 80 lat" – ocenił komentator.

Autor wyjaśnił, że polski rząd domaga się rocznie takiej kwoty dla Polaków, którzy podczas II wojny byli aresztowani, torturowani, zamykani w obozach koncentracyjnych i w inny sposób prześladowani.

„Niemiecki rząd odmawia wypłacenia reparacji. Równocześnie kanclerz Friedrich Merz, podobnie jak jego poprzednik Olaf Scholz, obiecał humanitarny gest wobec jeszcze żyjących ofiar niemieckiego terroru. Na ten gest Polacy czekają daremnie. Postępowanie niemieckiego rządu jest moralnie błędne, a w dodatku politycznie głupie" – ocenił Puhl. PAP

Kochanka oligarchy ucierpiała w wybuchu bomby w apartamentowcu w Monako

Kazimierz Sikorski
Monako

Żona oligarchy, która miała ucierpieć w wybuchu bomby w Monako, oświadczyła, że nie jest ranna. To wywołało falę spekulacji, co do tożsamości poszkodowanej kobiety.

Do wybuchu bomby doszło w holu apartamentowca przy Place des Moulins w Monako w poniedziałek wieczorem. Ranne zostały trzy osoby, w tym nastolatek. Początkowe informacje wskazywały, że jedną z trzech ofiar wybuchu była żona Wadima Jermolajewa. Według portalu Ukraińska Prawda żona Jermołajewa w wyniku wybuchu straciła obie nogi. Jednak Anna Jermolajewa zaprzecza, że brała udział w tym zdarzeniu.

FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE

Anna Nasobina ucierpiała w zamachu w Monako

Sprawca jest poszukiwany. Jak podały media, kamery monitoringu zarejestrowały mężczyznę, który pozostawił pakunek z ładunkiem wybuchowym w holu budynku przy Bulwarze Włoskim, a następnie szybkim krokiem oddalił się w kierunku sąsiedniej gminy Beausoleil. Tam śledczy stracili ślad.

Wiele zachodnich tytułów podaje, że to 46-letnia kochanka Jermolajewa oraz ich wspólny 13-letni syn, były dwiema pozostałymi osobami rannymi w wyniku eksplozji bomby wypełnionej gwoździami.

Anna Nasobina, prawniczka mieszkająca w Wielkiej Brytanii, musiała poddać się amputacji obu stóp w wyniku obrażeń odniesionych eksplozji.

Córka ukraińskiego prokuratora

Kobieta pochodzi z ukraińskiego Dniepru i jest córką byłego ukraińskiego prokuratora. Anna Nasobina poszła w ślady ojca, wybierając karierę prawniczą.

Po pracy na Ukrainie przeniosła się do Londynu, a od 2023 roku jest dyrektorem w firmie Wycombe Square Investments. Jest też współzałożycielką ekskluzywnego londyńskiego klubu – również rosyjskiej społeczności – Club Éclectique. Stan jej określono jako stabilny.

Ukraiński nadawca publiczny Suspilne przytoczył słowa żony Jermolajewa, która przekazała, że „znajduje się w stanie silnego stresu i współpracuje z organami ścigania prowadzącymi dochodzenie".

Jermołajew był jednym z bohaterów śledztwa portalu Ukraińska Prawda. Dotyczyło ono ukraińskich biznesmenów, polityków i oligarchów, którzy po rozpoczęciu pełnoskalowej rosyjskiej inwazji zamieszkali na Lazurowym Wybrzeżu. PAP

eprasa.pl 88eb43e386

PULS

#223

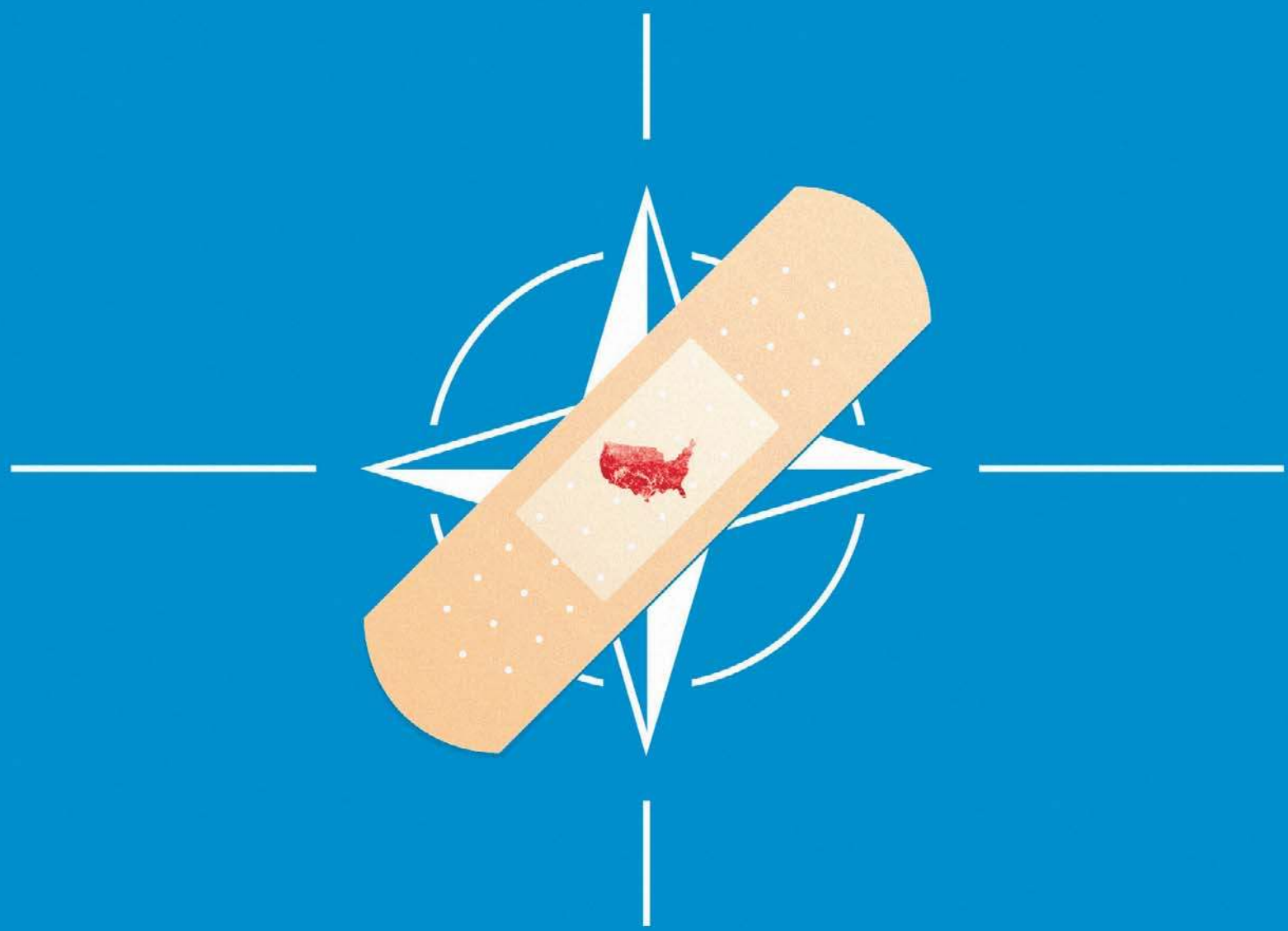

NOTO się okaże po szczycie, w jakiej formie jest Sojusz

BT

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

Arlena Sokalska

ŻADNYCH MĘŻÓW, ŻADNYCH DZIECI

Morze hejtu wylało się na Annę Lewandowską, która w mediach społecznościowych podzieliła się swoimi obawami przed przeprowadzką do Stanów Zjednoczonych, która czeka całą rodzinę w związku z nowym kontraktem naszego czołowego piłkarza podpisanym z Chicago Fire. „Jako mama czuję ogromny stres. Martwię się o dziewczynki i ich emocje, o nową szkołę, o to, jak odnajdą się w zupełnie nowym świecie. Kto przechodził tak dużą przeprowadzkę z dziećmi, ten wie, jaki to ciężar psychiczny dla rodzica" – napisała żona piłkarza i mama dwóch dziewczynek. Komentarze, że przewróciło jej się w głowie od pieniędzy, to ta najlżejsza część z nich.

Jakoś mało kto pomyślał, że dla rodzin sportowców przenosiny z miejsca w miejsce (choćby najbardziej luksusowe) to jedna z cięższych emocjonalnie rzeczy, jaka im się przytrafia. A zwłaszcza ich dzieciom. Ledwo polubiły nowe koleżanki, już trzeba się pakować, ledwo zaczęli grać w jakiejś szkółce, już trzeba na nowo odnajdywać się w drużynie. To nawet nie musi być zamiana Europy na Stany Zjednoczone, wystarczy przeprowadzić się ze Szczecina do Krakowa. Ta codzienność sportowców i ich rodzin, może się wydawać „problemami pierwszego świata", ale niech pierwszy kamieniem rzuci ten, kto będąc dzieckiem czy nastolatkiem musiał przeprowadzić się do innej miejscowości i nie przeżywał rozstania ze swoją szkołą, kolegami, sąsiadami.

Ale w Annę Lewandowską poleciały też większe kamienie. Za to, jakoby najbardziej przeżywała to, że w Chicago nie będzie mogła tańczyć bachaty z dotychczasowymi partnerami. Temat tańca Lewandowskiej od dawna jest w internecie „gorącym tematem", a podobnie jak to, z kim to ona podczas ćwiczeń nie „zdradza" swojego utytułowanego męża. W niektórych głowach nie mieści się to, że nawet tak zmysłowy taniec jak bachata może być tylko i wyłącznie sportem. Pracą. Podobnie jak pracą są zdjęcia do filmu, podczas których aktorzy się całują z partnerami na planie, a nawet symulują stosunki seksualne. Czy ich partnerki/partnerzy mogą czuć się o to zazdrośni? Z pewnością. Ale w trwałych związkach można to omówić i przepracować.

Za to natrętni internetowi komentatorzy radzą Robertowi Lewandowskiemu, że powinien „wybić z głowy" swojej żonie bachatę, że powinien pobić jej partnerów do tańca i ogólnie wykazać agresję i przemoc. Wielu z tych komentatorów z pewnością zalicza się do stałych wielbicieli Kanału Zero, bo taka audytoria tam przeważa. Ostatnio Krzysztof Stanowski, szef KZ, tak mówił (podobno to były żarty - sic!) o biciu dzieci, a konkretnie dziewczynek: „Potem będzie gotowa do przemocy domowej. Gdy będzie miała męża, który ją zleje, ona powie: znam ten smak krwi, mnie to nie przeraża".

A mnie przeraża, że osoba publiczna, jaką jest Krzysztof Stanowski, w końcu jeden z kandydatów na prezydenta RP, żartuje w taki sposób. A jeszcze bardziej przeraża mnie to, że mówi takie rzeczy, by się przypodobać swoim odbiorcom, a są nimi tysiące młodych mężczyzn.

Demografowie załamują ręce nad ujemnym przyrostem naturalnym w Polsce. A ja mam nadzieję, że żaden z nich i żaden z tych autorów nienawistnych wobec Anny Lewandowskiej i innych kobiet komentarzy nigdy nie zostanie partnerem czy mężem jakiejkolwiek kobiety. Ani ojcem jakiegokolwiek dziecka.

Adam Buła

NIEMOŻLIWE DO ZNIESIENIA NAPIĘCIE PRZED BURZĄ

Polska cała zamarła oto w oczekiwaniu, czy „ONI", co chcieli otruć Nawrockiego, to bardziej Rosja (wtedy idziemy śladem legendy Lecha Kaczyńskiego, którego pomści ten, co jest równie wielki, jeśli nie większy, bo wszak przeżył), czy bardziej to byli Tuskowi (wtedy idziemy bardziej pod najbliższe wybory niż długofalowe budowanie legendy).

Reszta afer Tuska musi poczekać w obliczu tej ogólnonarodowej komunii, zespolenia władzy, zwykle dość wyabstrahowanej i niedosiężnej, z ludem. No bo przecież niech pierwszy rzuci pawia, kto się kiedyś nie zarzygał czymś struty. Wspólnym doświadczeniem jest też fakt, że im szybciej nam przechodzi, tym mniejszą wagę przywiązujemy do śledztw, co było tym czymś, co nas struło. Geniusz prezydenckich marketingowców objawił się tu właśnie: tam, gdzie my, szaraczkowie, poprzestajemy na konkluzji: „śledź był z lodówki chyba za stary" i tym podobnych, oni odkryli sprężynę dziejów: SPISEK. ZDRADA. OTRUCIE.

Niestety, odarto nas na koniec z jakże pięknej legendy, iż przyszły wódz Narodu poległ bohatersko, całując, wbrew ostrzeżeniom ochrony, rączki Suwerena. Widzicie oczami duszy tę inskrypcję na pomniku Karola, równym Chrystusowi ze Świebodzina: „ Poległ bohatersko, całując rączki pań z wieców swoich, za nic mając zagrożenie i smak". Oto ci on jest – Niszczyciel Sensów Wszystkich – Karol Wielki (nie mylić z Młotem).

Zamiast tego został nam największy całuśnik, taki Kalibabka politycznego marketingu, co tam zresztą chcecie – nic, co da się wymyślić, nie zamiesza już w głowie połowie polskiego Suwerena, która w Karolu Nawrockim widzi prezydenta. I to jest fakt i nie należy z nim dyskutować. Sorry, tacy właśnie jesteśmy.

Podyskutować za to warto o akuszerze tej historii, wielce wybitnym mediewiście, profesorze Andrzeju Nowaku.

Nie, nie ma nic nagannego w tym, że akademik ów, kawaler chwilowo nie oddawanego Orderu Orła Białego, czynnie angażuje się w politykę, stając najpierw na czele komitetu poparcia kandydatury pana Nawrockiego na urząd prezydenta, by potem, zasłużenie, objąć w jego kancelarii funkcje doradcze.

Nie, nie ma nic nagannego w tym, że płodny ów profesor upisał też książkę o tym, „skąd się wziął Nawrocki".

Dyskusyjny obszar zaczyna się od momentu, gdy ktoś wymyślił, że – żeby nie skończyć z tą publikacją jak poprzednik z biedronkowym przebojem przecen: „Ja Duda" – zrobić promocję publikacji na rzygu Nawrockiego.

To nie są żarty. Profesor Nowak jest autorem monumentalnych „Dziejów Polski" – w zamyśle (wyszło już chyba 6 tomów) autorsko przedstawionej historii Polski. No i teraz co mam zrobić, jak do końca możliwej, acz niekoniecznej lektury, prześladować mnie będzie pytanie: czytam profesora-historyka czy mediodziwkę, robiącą z siebie błazna dla kasy?

Oto jest pytanie – znak czasów, w których żyjemy.

W Unii Europejskiej odbywają się rozmowy o otwieraniu kolejnych rozdziałów akcesyjnych i Polska ma klucz do tego, czy Ukraina będzie częścią Unii Europejskiej. (...) Wszystkie transporty, wizyty, które udają się na Ukrainę, wszystko jest operowane przez nasze służby na terenie Polski i ta pomoc nie ustaje. My dajemy tylko jasny polityczny sygnał

MAGDALENA SOBKOWIAK-CZARNECKA, WICESZEFOWA MON

eprasa.pl 88eb43e386

RUSZA „POCIĄG MARZEŃ”

Podróż czas zacząć! Podróż nie byle jaką, bo łączącą tych, którym w życiu się powiodło, z tymi, którym los ciągle rzuca kłody pod nogi. Po raz kolejny „Gazeta Wrocławska” podstawia na stację „Wakacje” „Pociąg Marzeń”.

Redakcja

Dzięki naszej akcji dzieci mogą wyjechać na odpoczynek nad morze, w góry

To akcja Polska Press Grupy, dzięki której setki dzieci mogą wyjechać na wypoczynek w góry, nad morze, jezioro czy za granicę. To najczęściej podopieczni fundacji, stowarzyszeń, ale też maluchy z domów dziecka czy z rodzin dysfunkcyjnych. Choć mają niewiele lat, często wiele już przeszły. Cierpią z powodu chorób, warunków socjalnych, są też i takie, które nie mogą być z bliskimi.

Kilkanaście dni spędzonych z rówieśnikami w nowym otoczeniu może być dla nich wielkim wytchnieniem, ucieczką od trudnej codzienności, czasem beztroski, śmiechu i poznania nowych miejsc i ludzi. To też dowód na to, że ich los nie jest nam obojętny, że nie zostały pozostawione same sobie.

Co ważne „Pociąg Marzeń” nie koncentruje się wyłącznie na zapewnieniu wypoczynku. Dzięki tej akcji wybrane przez nas fundacje mogą sfinansować turnusy rehabilitacyjne lub terapeutyczne, kupić potrzebny sprzęt medyczny, najpotrzebniejsze leki, zapewnić terapie, a zdarzało się, że i... ciepłe posiłki dla tych, którzy ich nie mają na co dzień. By to wszystko się udało, potrzebna jest pomoc. Każda, nawet najmniejsza kwota zostanie wydana nie tylko z głową, ale i z sercem.

– Od czterech lat bierzemy udział w tej akcji i wiemy, że warto. Kiedy oglądamy zdjęcia, dostajemy ręcznie wykonane kartki z podziękowaniami, to zdajemy sobie sprawę, jak niewiele trzeba, by dać innym choć chwilę beztroskiego czasu – mówiła nam rok temu Karolina Kołacz z wrocławskiej firmy Chemeko – System.

– Mamy z mężem czworo dzieci, kiedy słyszymy, że są takie, które jeszcze nigdy nie spędziły wakacji poza domem, które nie mogą rozwijać swoich pasji, realizować marzeń, to serce nam się kraje. Dlatego od razu weszliśmy w „Pociąg Marzeń”. To ma sens, wiemy, że fundacje czy stowarzyszenia najlepiej wiedzą, co zrobić, by choć na chwilę dać tym dzieciom radość – opowiadała, również w zeszłym roku, Sylwia Kampinos-Bober, z firmy Selidom, która jak wielu, wielu innych dołączyła do akcji.

Tym bardziej prosimy, zachęcamy, namawiamy: wspomóżcie „Pociąg Marzeń”, bo bez was to się zwyczajnie nie uda.

Z Fundacją Jagoda na wakacje 2025!

W tym roku wspieramy Fundację Jagoda im. Jagody Pachoty. Od lat wspiera dzieci i dorosłych, którzy doświadczyli ciężkich oparzeń. Naszą misją jest pomoc w powrocie do zdrowia, sprawności i aktywnego życia poprzez kompleksowe wsparcie leczenia, rehabilitacji oraz opieki psychologicznej – informuje Fundacja Jagoda. Jednym z najważniejszych projektów Fundacji jest budowa we Wrocławiu Centrum Rehabilitacji dla Osób Oparzonych.

Na co dzień finansuje zakup maści, dofinansowuje leczenie oraz zakup odzieży uciskowej stosowanej w terapii blizn.

Obecnie fundacja koncentruje się na pozyskaniu środków na zakup niezbędnych materiałów i produktów medycznych oraz na organizację kolonii i wyjazdów rehabilitacyjnych dla dzieci. Dzięki wsparciu darczyńców może nieść pomoc tam, gdzie jest ona najbardziej potrzebna.

W nowym otoczeniu jest szansa na wytchnienie...

... i zyskanie nowych przyjaciół

Po wakacjach dzieci przysyłają podziękowania

Te serduszka mają dla organizatorów akcji wielką wartość

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AKCJA CHARYTATYWNA 0011541294

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

GEN. CLOSE: USA ZWIĘKSZĄ LICZBĘ ŻOŁNIERZY W POLSCE

- Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec, ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO - mówi gen. George Close, emerytowany wojskowy w stanie spoczynku

Agaton Koziński

Za kilka dni w Ankarze rozpocznie się szczyt NATO. Jakby pan opisał rolę Sojuszu w epoce Trumpa?
Na pewno Trump zmienił Sojusz. Dzięki jego inicjatywie doszło do tego, że wszyscy zaczęli ponosić sprawiedliwy udział w kosztach kolektywnej obrony. Tak się dzieje choćby w przypadku Polski.

Trump nazywa Polskę „wzorowym sojusznikiem".
Widać, że prezydent wykorzystuje swoją przewagę do tego, by skłonić innych sojuszników z NATO do podobnych zachowań. Donald Trump wie, że to się dzieje na Ukrainie, jest bardzo groźne dla Europy, m.in. dla Polski. Nie lekceważy zagrożenia. Zanim jednak USA poświęcą wiele naszej krwi i środków, chce się upewnić, że Europa reaguje odpowiednio.

Pan to nazywa „negocjacjami" – tymczasem nie brakuje spekulacji o tym, że Trump zwyczajnie chce wyprowadzić USA z NATO.
W moim otoczeniu, gdy dyskutujemy wśród bardzo wysokich rangą emerytowanych wojskowych, to rozwiązanie jest odrzucane. Wszyscy moi koledzy zdecydowanie uważają, że USA powinny zostać w NATO. Zresztą - aby wprowadzić jakiekolwiek zmiany w tej sprawie – potrzebna jest zgoda Kongresu. Myślę więc, że macie trochę czasu, by lepiej zrozumieć tę sytuację. A Trump po prostu negocjuje zasady współpracy.

Na zmniejszenie liczby wojsk amerykańskich w Europie też jest potrzebna zgoda Kongresu?
Tak. Ta liczba jest ustalona na określonym poziomie. Nie można zejść poniżej niego bez zgody Kongresu.

Donald Trump zapowiedział zmniejszenie liczby żołnierzy USA w Niemczech o 4 tys. Kilka tygodni później zapowiedział z kolei ich podniesienie w Polsce, choć jednocześnie USA zrezygnowały z rotacji w naszym kraju. Która informacja jest więc prawdziwa: USA zwiększają liczbę żołnierzy w Polsce czy zmniejszają?
Ta pierwsza opcja jest bardziej prawdopodobna. Trump mówił o ewentualnym wycofaniu wojsk z Niemiec - ale spodziewam się, że ci żołnierze zostaną rozmieszczeni w innym kraju NATO. To po prostu gra taktyczna, bo nie można zejść poniżej poziomu ustalonego przez Kongres. Nie wyobrażam sobie, żeby Stany Zjednoczone kiedykolwiek przestały wspierać NATO. Tu po prostu chodzi o zmianę priorytetów.

Zamianę Niemiec na Polskę?
Amerykańscy żołnierze znajdują się na terytorium Niemiec od dawna, natomiast Polska dopiero od kilku lat intensywnie pracuje nad zwiększeniem liczebności swoich sił zbrojnych i nad modernizacją sprzętu wojskowego. W waszym kraju jest coraz więcej bardzo zaawansowanego technicznie sprzętu. W tym tkwi szansa dla Polski. W znalezieniu małych i średnich firm, które będą w stanie zapewnić serwis dla całego sprzętu, który się kupuje. Chodzi o to, aby jak najwięcej sił znajdowało się na czele, na pierwszej linii frontu. To tym bardziej ważne, bo armie są coraz mniejsze. Kiedy kończyłem swoją służbę, w samej armii mieliśmy 785 tys. osób. Teraz liczba ta spadła do około 500 tys.

Jeszcze w latach 90. USA utrzymywały armię zdolną toczyć dwie duży wojny naraz. Dziś to nierealne.
Tak, strategia w tej kwestii uległa zmianie od czasów rządów Clintona. Przeszliśmy od prowadzenia dwóch wojen jednocześnie do prowadzenia dwóch wojen niemal jednocześnie. I w tej sytuacji nadal się znajdujemy. Ale też proszę spojrzeć na nasze operacje w Iranie i w Wenezueli. One najlepiej oddają to, czym zajmują się obecnie amerykańskie siły zbrojne. One ciągle trenują, trenują, trenują. Ludziom trudno zrozumieć specyfikę wojska amerykańskiego, tego, że jest ona armią operacyjną. My nieustannie się szkolimy. Nieustannie się przygotowujemy. I od czasu do czasu przechodzimy do działań bojowych.

Najgorszy scenariusz dla Polski. Rosjanie atakują wschodnią flankę, a Chińczycy atakują Tajwan. Tajwan. Co by się stało w takiej sytuacji?
Moim zdaniem priorytetem byłoby NATO. Oddzielna sprawa, że gdyby coś się zaczęło dziać, to w pierwszej kolejności na Bliskim Wschodzie. Na Dalekim Wschodzie mamy cały system krajów, z którym współpracujemy: Korea Południowa, Japonia, Tajwan. Poza tym USA co jakiś czas sprawdzają się w boju, tymczasem Chiny od dawna nie prowadziły wojny.

Ale od pewnego czasu coraz chętniej prężą muskuły.
I bardzo dobrze.

Uważa pan, że to tylko PR?
Nie, po prostu nie wiem, ile chińskie wojsko jest warte. By móc realnie ją ocenić, musiałbym zapoznać się z ich systemami szkoleniowymi. To jest kluczowa sprawa przesądzająca o wartości bojowej każdej armii. W Stanach Zjednoczonych mamy ogromne ośrodki szkoleniowe. Są niesamowite. W ogóle manewry w wojsku odgrywają kluczową rolę. Z wielu przyczyn. Na przykład teoretycznie do czołgu wchodzą 53 pociski – ale żołnierze muszą umieć je do niego włożyć i odpowiednio ułożyć. Jeśli tego nie będą umieli, to w czasie walk – pod presją, gdy pojawią się przeciwnicy – nie będą tego umieli. A jeśli zmieszczą na przykład tylko połowę, to ich skuteczność bojowa zmniejszy się o połowę. To nie jest science fiction, tylko rzeczywistość pola walki. Dlatego tak ważne jest szkolenie żołnierze, jakość tych ćwiczeń przesądza o ich wartości bojowej.

Obserwujemy wojnę na Ukrainie – i widać, jak bardzo pole walki uległo zmianie w wyniku upowszechnienia się dronów.
Tak, widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość. Mówiłem dużo o tym podczas mojego wystąpienia na konferencji „Poland Future Summit" – podkreślałem, że współczesna wojna rozgrywa się we wszystkich domenach, liczą się w niej nie tylko zdolności bojowe, ale również możliwości gospodarcze. Tylko rozwijając się w ten sposób można doprowadzić do sytuacji, w której wróg uzna, że nie opłaca się atakować waszego kraju, bo stało się to zbyt kosztowne.

Akurat Rosjanie nie zwracają uwagi na koszty swoich działań.
W latach zimnej wojny przez kilka lat stacjonowałem w Europie. Rosjanie wydawali się wtedy olbrzymami – szybko jednak okazało się, że nimi nie byli. Podobnie jest teraz. Gdy wkroczyli na Ukrainę, wydawało się, że wojna szybko się zakończy. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca przez ponad cztery lata, oni w zasadzie utknęli w martwym punkcie. Widać, że armia rosyjska nie rozumie na przykład koncepcji zintegrowanego ognia. Gdybym był Putinem, zwolniłbym każdego generała, który rozpoczął tę wojnę i doprowadził do 500 tys. ofiar śmiertelnych od 2022 roku. Przecież USA straciły mniej ludzi podczas całej II wojny światowej. To straszne, jak oni tak marnują ludzi.

Rosyjska specyfika, oni zawsze tak walczą.
To prawda.

Myśli pan, że Rosjanie są skłonni przetestować wschodnią flankę NATO?
Nie sądzę, żeby w ogóle byli w stanie to zrobić. Najpierw musieliby przejść przez Ukrainę, co wydaje się obecnie mało prawdopodobne. Ale gdyby to im się udało i zdecydowali się pójść dalej, zmobilizowałoby to cały świat.
Na miejscu Rosjan raczej szukałbym sposobu na zakończenie walk w Donbasie, zawarcie rozejmu.

Dla Putina dążenie do rozejmu byłoby równoznaczne ze stwierdzenie: „Przegrałem tę wojnę". On z powodów politycznych nie może sobie na to pozwolić.
Co do Zełenskiego – podobnie. Po przerwaniu walk, zostałby natomiast odsunięty od władzy. Tylko że teraz zabijanie po prostu trwa dalej. Dlatego walki trzeba przerwać, nawet jeśli relacje między Rosją i Ukrainą będą wyglądać tak jak obecnie między Koreą Północną a Południową.

Formalnie te kraje są ciągle w stanie wojny.
Tak, między tymi krajami zawarto tylko rozejm. Ale proszę zobaczyć, jak ułożyły się relacje między oboma Koreami. Przez te dekady kraj z południa wyraźnie zdominował ten z północy, czy to gospodarczo, czy kulturowo. Dziś nikt nie marzy o tym, żeby przenieść się do Korei Północnej. To samo dotyczy Niemiec. Przecież bardzo długo były one podzielone na RFN i NRD, ale ostatecznie te pierwsze całkowicie zdominowały drugie. Warto o tym pamiętać w kontekście rozmów o ewentualnym rozejmie między Ukrainą

GDYBY WSZYSCY OKAZALI TAKIE SAMO WSPARCIE DLA NATO JAK POLSKA, TO SOJUSZ BYŁBY BARDZIEJ ZJEDNOCZONY

eprasa.pl 88eb43e386

FOT. NATO

Gen. Close: Widać szereg zagrożeń na wschodniej flance NATO. Rosyjska inwazja na Ukrainę stworzyła nową asymetryczną rzeczywistość (na zdjęciu: manewry wojsk NATO w Estonii)

i Rosją. Kijów i tak nie ma szans stać się teraz członkiem UE czy NATO. Z wielu powodów do tego się nie kwalifikuje, choćby przez powszechną w tym kraju korupcję. Dlatego trzeba dać szansę rozwinąć się nowemu pokoleniu. Niech wkrótce to właśnie kultura oraz gospodarka ukraińska sprawią, że Rosjanie zaczną mówić: „O rany, chcemy być częścią Ukrainy".

Na początku wojny z Iranem Eldridge Colby, podsekretarz w Departamencie Wojny, opisał amerykańskie podejście do sytuacji zwrotem „elastyczny pragmatyzm". Jak pan ją ocenia po trzech miesiącach wojny w Cieśninie Ormuz?
Pragmatyczny był sam powód, dla którego wkroczyliśmy do Iranu – zależało nam na tym, żeby ograniczyć zdolności tego kraju do produkcji broni jądrowej. Ten cel osiągnęliśmy.

Na razie trwają rozmowy.
Najbliższe 60 dni zadecyduje o tym, jak będzie wyglądała przyszłość. Rzeczywiście, cieśnina Ormuz stała się problemem, choć wcześniej nim nie była, ale jest to kwestia swobody żeglugi. Ani Oman, ani Iran nie mają do tego rościć sobie praw. Ale uporamy się z tym, zresztą inni członkowie NATO powinni nam w tym pomóc. Najważniejsze, żeby wreszcie doszło do zaprzestania walk. W tej chwili wszystko zależy od Irańczyków. Nie tylko władz. Trzeba skłonić społeczeństwo Iranu do sprzeciwu wobec reżimu. Skłonić do wystąpienia przeciwko niemu. Dotyczy to także Rosji.

Ogromne protesty przeciwko władzom były w Iranie w grudniu. Gdy w lutym zaczęła się wojna, nic takiego nie miało miejsca.
Tak, to trafna uwaga. Ale w Iranie mieszka 90 milionów ludzi. 10 milionów z nich to członkowie Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. To ważne rozróżnienie – bo strażnikom nie chodzi o irańską rewolucję, tylko o rewolucję islamską. Popiera ją 10 mln mieszkańców kraju. Ale pozostałe 80 milionów ludzi w Iranie to Irańczycy. Są Persami. Są nieuzbrojeni - musimy więc znaleźć sposób na to, żeby mogli stanąć przeciwko Strażnikom Rewolucji. To samo dotyczy Rosji.

Wracając do początku naszej rozmowy. Jakby pan opisał znaczenie NATO współcześnie? Wojna w Iranie pokazała dużą dozę braku zaufania między USA i Europą.
Akurat Donald Trump jest w Ameryce krytykowany z obu stron za to, w jaki sposób rozwiązał kwestię Iranu. Ale też myślę, że w tej sprawie słuchał europejskich przywódców. Im zależało na otwarciu cieśniny Ormuz i teraz ropa znów nią płynie. Miejmy nadzieję, że Irańczycy tym razem się wywiążą z zawartych umów. A jeśli nie, to znowu dostaną po kieszeni, bo w kolejnych atakach stracą mosty i zakłady odsalania wody w zachodniej części Iranu.

Czyli znów USA będą grały same, nie w ramach sojuszu.
To nie tak. Prezydent zachowuje się bardzo delikatnie i naprawdę słucha. A NATO nadal pozostanie silne.

Ale pęknięte.
Gdyby wszyscy okazali takie samo wsparcie dla NATO jak Polska, gdyby pozostali członkowie nadrobili zaległości, to Sojusz byłby znacznie bardziej zjednoczony. Ale teraz też już jest całkiem nieźle. Niedawno do NATO dołączyły kraje skandynawskie. Szwecja plasuje się w czołówce pod względem uzbrojenia. Choć nie wszędzie jest tak dobrze. We Francji panuje chaos. Wielka Brytania boryka się z poważnymi problemami.

NATO było w swojej najlepszej formie w okresie zimnej wojny, kiedy miało jasno zdefiniowanego wroga: Związek Radziecki i Układ Warszawski. Gdy z kolei w 2001 r. zdecydowało się na interwencję w Afganistanie, okazało się to kilka kroków za daleko. Czy teraz, gdy widać wyraźnego przeciwnika, może odzyskać dawną formę?
Obecnie mamy dwóch konkurentów – Chiny i Rosję – we wszystkich obszarach ich wpływów. Gdy była podobna sytuacja podczas zimnej wojny, stosowaliśmy strategię zaangażowania - angażowaliśmy się wszędzie tam, gdzie pojawiał się socjalizm i komunizm. Teraz wracamy do tego. Będziemy nadal angażować się w ramach NATO, ale również we współpracy na przykład z Japonią czy Tajwanem. Wszędzie obowiązują te same zasady: jeśli chcesz wzmocnić swój system bezpieczeństwa, musisz być dobrze wyszkolony i nieustannie się rozwijać. Tylko w ten sposób stworzysz sytuację, w której nikt nie będzie chciał przekraczać twojej granicy.

Jeszcze jest kwestia potencjałów – rosyjski jest dużo większy niż choćby polski.
Zagrożenie jest cały czas bardzo poważne, choć obecnie zmagają się z nim Ukraińcy. Byłoby bardzo pomocne, gdyby Polska rozwiązała swoje problemy z Ukrainą. Ale nawet gdy to się uda, nie wystarczy. Musicie stworzyć dużo większą armię, co oznacza prawdopodobnie wprowadzenie obowiązkowego poboru. Oddzielna sprawa, że on jest coraz bardziej kłopotliwy. W USA mamy duży problem z rekrutacją.

Amerykanie nie chcą służyć w wojsku?
Nawet nie o to chodzi. Większym problemem jest brak odpowiednich ludzi. Na 100 Amerykanów zaledwie 25 przechodzi wstępną kwalifikację, pozostali nie spełniają podstawowych wymagań.

Co ich dyskwalifikuje?
Przede wszystkim stan zdrowia. Widać, jak wielu ludzi jest zniszczonych przez narkotyki. Poza tym problemem jest ich stan wiedzy, ci ludzie mają ogromne problemy z nauczeniem się tego wszystkiego, czego wymaga nowoczesne wojsko. To kolejne wyzwanie, które trzeba rozwiązać. Ale pozostawiam to już wam, młodym ludziom.

CV

FOT. AUTOR

gen. George Close
emerytowany generał armii Stanów Zjednoczonych z ponad 30-letnim doświadczeniem w służbie. Obecnie prezes Spectrum Group, zajmującej się doradztwem w zakresie planowania strategicznego i współpracą między agencjami rządowymi

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

WAŻĄ SIĘ LOSY STAŁEJ BAZY WOJSK USA W POLSCE

Politycy zapewniają, że „mamy zielone światło" od Amerykanów dla stałej obecności wojsk USA w Polsce. Starają się o nią i rząd, i Kancelaria Prezydenta. Ostateczne decyzje jednak nie zapadły. Być może po szczycie NATO w Ankarze usłyszymy o tej sprawie więcej.

Dorota Kowalska

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

W Pałacu Prezydenckim doszło do spotkania Karola Nawrockiego z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Obaj bez kamer rozmawiali o zbliżającym się szczycie NATO

Wydaje się, że przynajmniej w tej sprawie rząd i prezydent mówią jednym głosem - chodzi o stałą bazę wojsk amerykańskich w Polsce.

- Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i prezydent Karol Nawrocki mają wspólne, spójne stanowisko, które zaprezentują na szczycie NATO w Ankarze - stwierdził wiceszef MON Paweł Zalewski po spotkaniu Władysława Kosiniaka-Kamysza z Karolem Nawrockim.

Spotkanie odbyło się w środę, panowie rozmawiali o kwestii stosunków polsko-amerykańskich i innych sprawach związanych z obronnością. - Poinformowaliśmy prezydenta o stanie prac nad bazami - mówił Zalewski, podkreślając kluczowe znaczenie tego projektu. - One są ważne także dla Amerykanów, bo Amerykanie mają interes tu być, m.in. ze względu na swoje poważne interesy w naszym kraju. Dla nas jest to ważne, bo to inwestycja w nasze bezpieczeństwo i odstraszenie wobec Rosji; trudno o czytelniejszy sygnał dla Rosji - ocenił wiceszef MON.

Władysław Kosiniak-Kamysz w połowie czerwca informował, że uzyskał od szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha pozytywną odpowiedź na list z 29 maja zgłaszający gotowość Polski do utworzenia stałej bazy wojsk amerykańskich.

„Po pozytywnej odpowiedzi sekretarza obrony USA na moją propozycję jesteśmy na kolejnym etapie rozmów. W Pentagonie trwa przegląd sił, który będzie podstawą dalszych decyzji. Departament Wojny jest otwarty na ofertę Polski w zakresie stałego stacjonowania sił amerykańskich na jej terytorium" - przekazał Władysław Kosiniak-Kamysz za pośrednictwem platformy X, dodając, że „blisko 60 proc. Polaków popiera utworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce".

„Zwiększone zaangażowanie wojsk USA to silniejsze odstraszanie i bezpieczna Polska" - zakończył swój wpis wicepremier i szef MON.

16 czerwca rząd przyjął uchwałę, która zainicjowała działania w sprawie utworzenia w Polsce stałej bazy amerykańskich żołnierzy. Potrzebne są konsultacje z Amerykanami, przygotowanie propozycji lokalizacji potencjalnej bazy oraz zestawienie dotyczące niezbędnej infrastruktury, kosztów projektu oraz źródeł finansowania przedsięwzięcia. Wiadomo, że wybudowanie takiej bazy może kosztować nawet kilkanaście miliardów złotych.

Co do lokalizacji, wiceminister resortu obrony Stanisław Wziątek w rozmowie z Polskim Radiem 24 stwierdził, że takich miejsc jest kilka.

- Na pewno możemy stwierdzić, że to będzie część zachodnia Polski - powiedział, dodając, że atrakcyjnym wyborem zdaje się być Szczecin. - Łatwość transportu ciężkiego sprzętu dodatkową drogą komunikacyjną ma tutaj ogromne znaczenie - tłumaczył.

Starania dotyczące powstania w Polsce stałych baz USA prowadzi także Kancelaria Prezydenta i BBN. Prezydent Nawrocki poruszał tę kwestię w rozmowie z prezydentem Donaldem Trumpem podczas swojej niedawnej wizyty w USA. Trump miał potwierdzić swoją wcześniejszą deklarację o wysłaniu do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy amerykańskich. Do Stanów Zjednoczonych poleciał także szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki. W czwartek spotkał się z podsekretarzem obrony USA ds. politycznych Elbridge'em Colbym, który odpowiada w Pentagonie za opracowywanie nowej formuły amerykańskiej obecności w Europie.

W środę szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP Marcin Przydacz po rozmowie z sekretarzem stanu USA Marco Rubio, stwierdził, że mamy „zielone światło" dla stałej obecności wojsk USA w Polsce, a Marco jest „absolutnie zwolennikiem" zmiany charakteru obecności amerykańskich sił zbrojnych na terytorium Polski z rotacyjnej na stałą.

- Jest absolutnie zielone światło z Białego Domu, także z ust Marco Rubio padła deklaracja - powiedział polski minister. Dodał, że ostateczny kształt tej obecności ma być wypadkową szerszej strategii, nad którą pracuje obecnie Pentagon.

Według Przydacza, który powoływał się na swojego rozmówcę, decyzja polityczna Białego Domu wynika z kilku czynników: poza samą amerykańską strategią obecności w Europie ma to być wynik dobrych relacji polsko-amerykańskich, „opartych w dużej mierze na bezpośrednich osobistych relacjach" prezydentów Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa.

Sekretarz stanu miał też podkreślić, że Polska jest „modelowym sojusznikiem", który przeznacza „odpowiednią część PKB" na zbrojenia i inwestuje w sprzęt oraz technologie obronne.

Przydacz zaznaczył też, że w rozmowie z Rubio podtrzymał deklarację prezydenta Trumpa o wysłaniu do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy, lecz zaznaczył, że chodzi prawdopodobnie o 5 tys. żołnierzy zamiast, a nie w dodatku do wstrzymanej rotacyjnej brygady pancernej liczącej 4 tys. żołnierzy.

- Wcale nie oznacza to, że ta wstrzymana brygada 4 tys. żołnierzy (...) nie przypłynie do Polski - powiedział. - Należy już raczej inaczej traktować tę obecność amerykańską jako całościowo nowy koncept obecności amerykańskiej - dodał.

Ocenił, że kluczowa jest nie tylko liczba żołnierzy, ale również zdolności, zaś znaczenie ma sama zmiana formuły - z rotacyjnej na stałą - jako sygnał „i wobec wschodu, i wobec zachodu".

Jeszcze przed spotkaniem Rubia z Przydaczem, szef ambasady RP w USA Bogdan Klich przekazał doradcy Rubia dokumenty MON na temat planów przyjęcia w Polsce na stałe amerykańskiego kontyngentu.

OBECNIE W NASZYM KRAJU STACJONUJE OKOŁO 10 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH, CHOĆ ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ Z NICH W FORMULE ROTACYJNEJ

Gen. Stanisław Koziej, były szef BBN, w rozmowie z „Faktem" wyjaśnił, że Amerykanie oceniają teraz, gdzie są największe potrzeby i jakiego rodzaju są to potrzeby, a potem stosownie do tej oceny podejmą odpowiednią decyzję.

Zdaniem wojskowego trudno dzisiaj przewidywać, jaka ona będzie decyzja.

- Z wypowiedzi po stronie polskiej, europejskiej i amerykańskiej wynika, że wszystko jest jeszcze możliwe. Zmieniło się to, że Amerykanie nie wykluczają stałej obecności wojskowej w Polsce, uważają ją za jedną ze swoich opcji, więc prowadzą negocjacje nad wariantami takiego rozmieszczenia. To jest dla nas bardzo ważne - podkreślił gen. Koziej.

Jego zdaniem jednym z elementów, który może odegrać istotną rolę co do decyzji na „tak" lub „nie", będzie nasza oferta.

- Miejsc, zabezpieczenia finansowego, prawnych gwarancji, wszystkich parametrów dotyczących obecności wojskowej. Kalkulują, czy zagwarantujemy im warunki, które będą bardziej atrakcyjne niż w przypadku obecności rotacyjnej - tłumaczył były szef BBN. - Natomiast uważam, że z ich perspektywy czynnikiem rozstrzygającym będzie analiza „plusów i minusów" w relacjach z Rosją. Obecność przy granicach Rosji ma przede wszystkim wymiar strategiczny, nie tylko taktyczno-finansowy - ocenił gen. Koziej.

Wojskowy wskazał, że „musimy czekać na wyniki analiz" i wyraził nadzieję, że „na szczycie NATO w Ankarze usłyszymy od Amerykanów coś więcej o ustaleniach z tego przeglądu, który ma istotny kontekst natowski".

- Wiemy, że się nie spieszą, dali sobie czas do końca roku. Po naszej stronie, poza czekaniem, jest przedstawienie oferty i podrzucanie im argumentów strategicznych na rzecz takiego ruchu - podsumował gen. Koziej.

Wiadomo, że do Ankary na szczyt NATO poleci prezydent Karol Nawrocki na, szef dyplomacji Radosław Sikorski i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, ale delegacja będzie o wiele szersza niż wspomniani ministrowie.

Czy przywiozą z Ankary nowe informacje w sprawie stałej obecności amerykańskich wojsk w Polsce? Trudno powiedzieć, na pewno politycy będą te kwestie poruszać.

Obecnie w naszym kraju stacjonuje rotacyjnie i w ramach stałej obecności około 10 tysięcy żołnierzy amerykańskich, choć zdecydowana większość z nich w formule rotacyjnej. Kluczowe elementy ich rozmieszczenia to stałe Wysunięte Dowództwo V Korpusu Sił Lądowych USA w Camp Kościuszko w Poznaniu oraz Garnizon Armii Stanów Zjednoczonych (również w Poznaniu), który zapewnia wsparcie administracyjne i logistyczne. W formule stałej, czyli w postaci stałych baz, w których rozmieszczone są konkretne jednostki sił, amerykańscy żołnierze mieszkają w Polsce przez dłuższy czas, często sprowadzają wtedy do Europy swoje rodziny. W formule obecności rotacyjnej amerykańscy żołnierzy przyjeżdżają do Polski na okres kilku miesięcy, a potem są zmieniani przez osoby z innej jednostki o podobnych zdolnościach. PAP

eprasa.pl 88eb43e386

JANKEES COME TO OBORNIKI? WSZYSCY BARDZO CHCĄ BUDOWY BAZY USA

Poznań lub Wrocław znalazły się na krótkiej liście potencjalnych lokalizacji stałej bazy wojsk USA w Polsce. Amerykanie chcą sprowadzić około 5 tys. żołnierzy wraz z rodzinami. Baza powstanie na obrzeżach, ale żołnierze chcą mieć blisko do dużego miasta. W okolicach Poznania jest teren, który spełnia te wymogi

Paweł Antuchowski

Zaczęło się niewinnie od krążącej od połowy czerwca w różnych mediach sensacyjnej informacji. Oto 5 tys. amerykańskich żołnierzy ma znaleźć nowy dom w nowej bazie wojskowej, gdzie na stałe przeprowadzą się wraz z rodzinami.

Jak się chwilę później okazało, na polskie Ramstein, czyli miejsce, gdzie wzorem tego niemieckiego miasta taki obiekt miałby powstać, jest typowany Wrocław lub Poznań. Wiadomość o wytypowaniu stolicy Wielkopolski była dość niespodziewana dla opinii publicznej, jednak nie wywołała zaskoczenia wśród wielkopolskich parlamentarzystów.

- Ta informacja krążyła w Sejmie od kilku dni - komentował w ubiegłym tygodniu dla „Głosu Wielkopolskiego" Jarosław Urbaniak, poseł i szef wielkopolskiej Koalicji Obywatelskiej. - Mam nadzieję, że połączymy siły ponadpartyjnie i nie tylko politycy, ale i inne wpływowe osoby będą lobbować, w tym pozytywnym sensie tego słowa, żeby to była lokalizacja poznańska - stwierdził.

Konieczność łączenia sił ponad podziałami podkreślali też politycy z współrządzącej Polski 2050, a także z Prawa i Sprawiedliwości.

- Każde zwiększenie obecności wojsk amerykańskich w Polsce to jest ogromne wzmocnienie naszego bezpieczeństwa - podkreślał Zbigniew Hoffmann, poseł PiS. - Jeszcze w czasie naszych rządów miałem okazję zwiedzać bazę w Powidzu, która stanowi sporą przestrzeń i pokazano nam fragmenty będące wtedy jeszcze w budowie. To nadzorowali Polacy i budowały polskie firmy. Tu jest szansa na to, żeby dolary płynęły do polskich przedsiębiorstw i Polacy mieli miejsca pracy. To daje podwójną satysfakcję - zauważa członek komisji obrony narodowej.

Tort w kolorze khaki

Koszt budowy potężnej, 500-hektarowej bazy wojskowej, wraz z miasteczkiem wojskowym, jest szacowane na nawet 12 mld zł. Tak spory strumień pieniędzy z Polskiego budżetu to łakomy kąsek dla każdego samorządu. A to dopiero początek. Tego typu obiekt jest generatorem potężnych źródeł dochodów dla lokalnych firm, które będą dostarczały nowemu miasteczku wszystkiego, co niezbędne do życia.

Gdy firmy zarabiają, płacą podatki, zarabia gmina, powiat i województwo. Nie mówiąc już o wpływach z podatku od nieruchomości. Nic dziwnego, że nie tylko posłowie z Wielkopolski, ale i samorządowcy będą robili wiele, aby zaprezentować się z jak najlepszej strony i ten „tort" do siebie przyciągnąć.

Pierwszym z nich okazał się prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. Publicznie powiedział, że w stolicy Wielkopolski i powiecie poznańskim najzwyczajniej w świecie nie ma dostatecznie dużego terenu, który pomieściłby amerykańskich wojskowych wraz z rodzinami. Ale za to zwrócił uwagę, że niedaleko jest taki teren i to dość atrakcyjnie zlokalizowany.

Konkretnie chodzi o obszar znajdujący się na terenie gminy Oborniki, między wsiami Sepna, Nieczajny i Lulina. Potężny, 1500-hektarowy teren znajduje się niedaleko granicy z powiatem poznańskim, gminą Rokietnica i samego Poznania. Jeszcze niedawno trwała ożywiona dyskusja wśród mieszkańców gminy związana z planami zabudowy.

Jego właściciel, firma CLIP Group, która jest właścicielem potężnego centrum logistycznego w podpoznańskim Jasinie, jeszcze niedawno chciała stworzyć tam Poznań North Economic Zone, czyli największą w Polsce strefę przemysłową. Większą od podwrocławskich Kobierzyc.

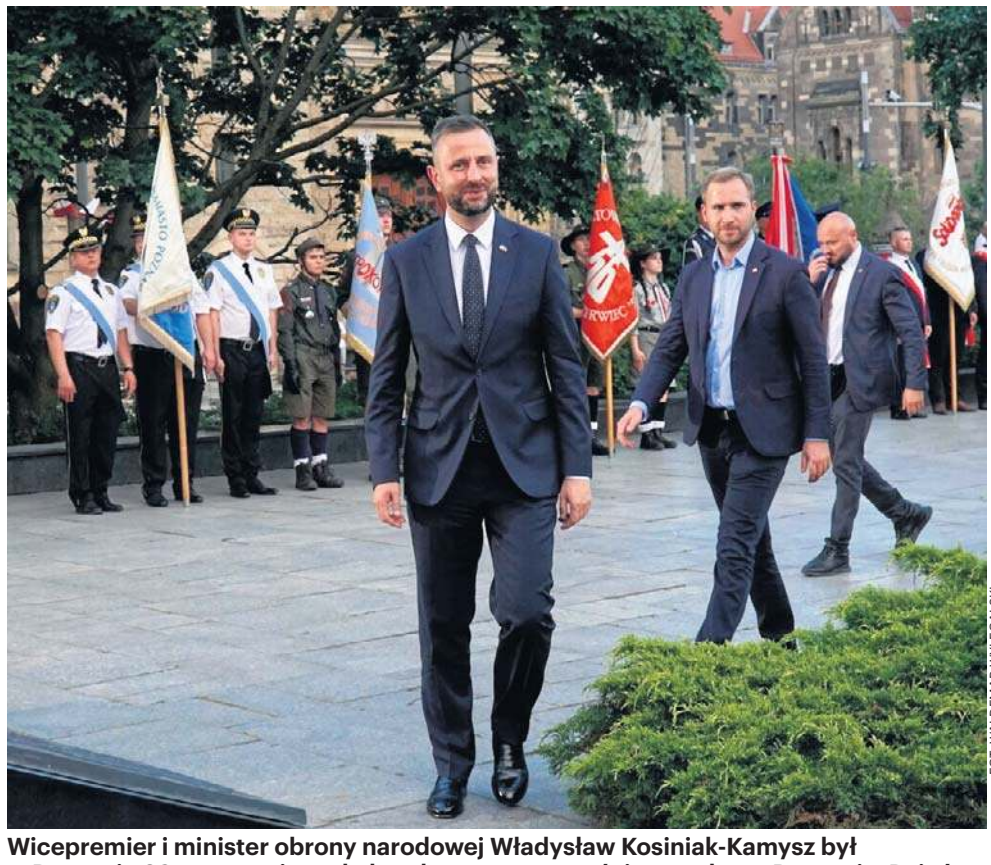

FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz był w Poznaniu 28 czerwca i spotkał podczas uroczystości prezydenta Poznania. Dzień później Jacek Jaśkowiak mówił o bazie USA w Obornikach

Baza zamiast fabryk?

Wizją właściciela było sprowadzenie inwestorów w branży nowych technologii. Mówiło się nawet o próbach nawiązania współpracy z tajwańskim producentem półprzewodników, który szuka miejsca dla swojej nowej fabryki w Polsce.

Plany te wzbudziły kontrowersje wśród mieszkańców. Oto teren, który od lat było obszarem rolniczym i formalnie wciąż nim jest, nagle ma zostać zamieniony w gigastrefę ekonomiczną, która będzie zakłócała spokój mieszkańców chcących uciec od miejskiego zgiełku. Czują się oni w pewien sposób pokrzywdzeni, bo oni musieli dbać o odpowiednie krzywizny dachów i poziom prześwitów płotów, żeby nie zaszkodzić ptasim lęgom na znajdującym się tam obszarem Natura 2000. A nagle ma się pojawić inwestor, który potencjalnie nie będzie musiał się tym przejmować.

Tymczasem projekt budowy w tym miejscu bazy wojskowej może być paradoksalnie odpowiedzią na tego typu zarzuty mieszkańców. Tak przynajmniej twierdzi rzecznik prasowy obornickiego urzędu miasta i gminy. Według Krzysztofa Nowackiego baza stanowiłaby mniejszą ingerencję w środowisko niż centrum przemysłowe.

- Na razie docierają do nas tylko strzępy informacji o trwających rozmowach na szczeblu ministerialnym - komentuje „Głosowi Wielkopolskiemu" Tomasz Szrama, burmistrz Obornik. - Udało nam się tylko dowiedzieć, że są rozpatrywane tereny pod Wrocławiem i właśnie Oborniki. A ten teren jest jedynym na tyle dużym, gdzie coś takiego mogłoby powstać.

Jak zauważa, teren ten znajduje się na południowym skraju gminy i sąsiaduje między innymi z gminą Rokietnica. Stosunkowo niedaleko jest także granica Poznania. Mieszkańcy Obornik raczej nie odczuliby większych uciążliwości związanych z funkcjonowaniem takiej bazy. Największy ruch kierowałby się w stronę Poznania, a nie Obornik.

Zapiski palcem po wodzie

Kwestią otwartą pozostawałaby także rola w tej sprawie budowy ekspresówki S11 w Wielkopolsce. Według Urbaniaka jej możliwie jak najszybsza budowa byłaby kluczowa z punktu widzenia funkcjonowania stałej bazy wojskowej na tym obszarze. Według burmistrza, przynajmniej w kwestii obwodnicy Obornik, wszystko idzie zgodnie z planem.

Zwraca uwagę, że wszystko to, o czym obecnie się mówi wokół potencjalnej budowy bazy, stanowi pisane palcem po wodzie dywagacje. Nie zapadły jeszcze żadne konkretne decyzje, a jeśli się tak stanie, to raczej gmina nie będzie miała za dużo do powiedzenia. I to pomimo pozytywnego odzewu.

Nie wiadomo też, czy trwają jakiekolwiek rozmowy właściciela terenu z przedstawicielami Ministerstwa Obrony Narodowej. W biurze zarządu firmy dowiedzieliśmy się tylko, że „nic o tym nie wiadomo". Według rzecznika gminy Oborniki informacja o lokalizacji bazy w tym miejscu miała pojawić się podczas obchodów 70. Rocznicy Poznańskiego Czerwca 1956 Roku.

Wtedy to stolicę Wielkopolski odwiedził wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, a prezydent Poznania był współgospodarzem obchodów. Można jedynie przypuszczać, że to stąd wzięła się ta informacja, wygłoszona przez Jacka Jaśkowiaka dzień później już publicznie. Są jednak i tacy, którzy uważają, że ta deklaracja była przedwczesna i może zostać przez ministerstwo źle odebrana. Czy zatem baza wojsk amerykańskich powstanie pod Obornikami? Decyzja pozostaje w rękach Amerykanów.

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

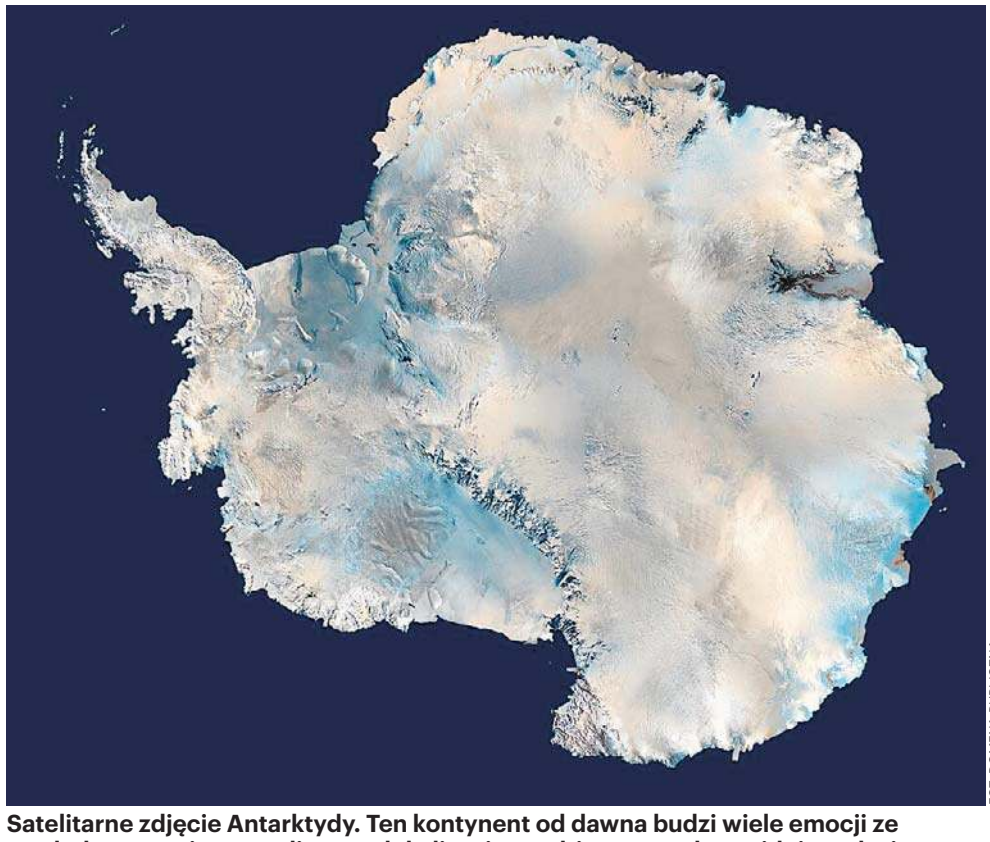

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Satelitarne zdjęcie Antarktydy. Ten kontynent od dawna budzi wiele emocji ze względu na swoje geopolityczną lokalizację, a także z powodu znajdujących się na nim surowców krytycznych

ANTARKTYDA WOLNA OD WOJEN I EKSPLOATOWANIA SUROWCÓW?

Od podpisania Układu Antarktycznego jedyny niezamieszkany na stałe kontynent na świecie ma status neutralnego. A przecież jest kuszącym skarbcem surowców: węgla, rud metali, ropy i gazu

Mariusz Grabowski

Układ wszedł w życie 65 lat temu, 23 czerwca 1961 r., niecałe dwa lata po wynegocjowaniu tekstu w Waszyngtonie. Układowi przyświecał szlachetny cel: był pierwszym dokumentem ograniczającym działania zbrojne podczas zimnej wojny. Miał też uchronić Antarktydę od rabunku bogactw naturalnych.

Jak podzielić?

Już w XIX w. w kierunku Antarktydy i jej zasobów, głównie węgla, złota i niklu zaczęły łakomie spoglądać ówczesne potęgi. Po ostatniej wojnie konflikty nasiliły się na tyle, że dochodziło nawet do incydentów zbrojnych. W 1948 r. jeden z argentyńskich okrętów ostrzelał jednostkę brytyjską na obszarze, do którego obydwa państwa rościły pretensje. Antarktydą coraz bardziej interesowali się Rosjanie, a w Stanach Zjednoczonych zastanawiano się, czy bezkresnych połaci lodu (blisko 15 mln km kw.) nie wykorzystać do prób broni jądrowej.

Zakrawa na polityczny cud, że ostatecznie światowe mocarstwa zdecydowały o pokojowym rozwiązaniu kwestii Antarktydy. W latach 50. amerykańscy i radzieccy dyplomaci wspólnie przygotowali dokument, który stał się podstawą podpisania Układu Antarktycznego. Współpraca ta była jednym z ważniejszych wspólnych, amerykańsko-sowieckich przedsięwzięć z czasów zimnej wojny.

Układ podpisano 1 grudnia 1959 r. w Waszyngtonie; wszedł on w życie 23 czerwca 1961 r., zaś Sekretariat ONZ zarejestrował go 4 sierpnia 1961 r. Sygnatariuszami było dwanaście państw, które podczas tzw. III Międzynarodowego Roku Geofizycznego (1957–1958) prowadziły badania geograficzne na Antarktydzie (Argentyna, Australia, Belgia, Chile, Francja, Japonia, Nowa Zelandia, Norwegia, RPA, USA, Wielka Brytania i ZSRR (dziś Rosja).

Tylko lód i pingwiny

Gdy spojrzy się na Arktykę, która ze względu na swoje strategiczne położenie i surowce stała się dziś celem bezwzględnej rywalizacji mocarstw, kwestia Antarktydy wciąż wygląda inaczej. Przynajmniej na razie. Głównym celem Układu było zapewnienie wykorzystania terytorium Antarktydy (obszar objęty umową to ląd i lodowce szelfowe na południe od równoleżnika 60°S) jedynie do celów pokojowych, aby nigdy nie stała się przyczyną międzynarodowych konfliktów.

Zabrania on wszelkich działań o charakterze militarnym, lecz nie wyklucza przebywania na terytorium antarktycznym pracowników wojskowych w celach badawczych. Nie rozstrzyga kwestii związanych z roszczeniami terytorialnymi, ale badania naukowe „mają być wyniki współpracy, a ich wyniki dostępne dla wszystkich". Układ zabrania poza tym prób z bronią atomową oraz składowania odpadów radioaktywnych.

Traktat zawarty jest bezterminowo, z kilkoma datami granicznymi, natomiast, zgodnie z art. 12, może być w każdym czasie zmieniony za jednomyślną zgodą wszystkich państw stron mających prawo głosu. Całkiem niedawno, w 2004 r., utworzono stały sekretariat – Antarctic Treaty Secretariat – z siedzibą w Buenos Aires.

Od strony prawnej Układ Antarktyczny ma charakter tzw. otwarty, co oznacza, że może do niego przystąpić każde państwo należące do ONZ, a za zgodą wszystkich sygnatariuszy również każde inne państwo. Do końca 2022 r., do traktatu przystąpiło 55 państw, w tym – w 1977 r. – Polska. Corocznie odbywające się spotkania konsultacyjne umożliwiają sprawowanie kontroli nad działalnością na Antarktyce. Aby uzyskać prawo głosu, trzeba prowadzić na kontynencie „znaczącą pracę naukowo-badawczą".

Co ważne, wokół Układu z 1961 r. powstał cały system prawny, zwany Systemem Układu Antarktycznego (ATS, Antarctic Treaty System). W jego ramach funkcjonują m.in: układ dotyczące ochrony fauny i flory antarktycznej (Agreed Measures for the Conservation of Antarctic Fauna and Flora); konwencja o ochronie żywych zasobów morskich Antarktyki (Convention for the Conservation of Antarctic Marine Living Resources); konwencja regulująca eksploatację surowców mineralnych na Antarktydzie (Convention on the Regulation of Antarctic Mineral Resource Activities); czy wreszcie tzw. protokół madrycki, o ochronie środowiska naturalnego (Protocol on Environmental Protection to the Antarctic Treaty).

Polska na Antarktydzie

Polska obecność na kontynencie datuje się od 1977 r. To wtedy bowiem powstała tam Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego, całoroczny ośrodek naukowo-badawczy położona nad Zatoką Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych. Jest kierowany przez Instytut Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk.

Zespół stacji zmienia się rotacyjnie podczas dwóch zmian: zimowej i letniej. Naukowcy zbierają dane meteorologiczne, ekologiczne (obserwacje ptaków i ssaków płetwonogich), hydrologiczne (na Antarktydzie znajduje się 90 proc. światowych zasobów słodkiej wody), dotyczące struktury ziemskiego pola elektrycznego i glacjologiczne (przede wszystkim badanie tempa tzw. cielenia, czyli erozji Lodowca Lange). Od niedawna badacze zajmują się także monitorowaniem ruchu turystycznego w obszarach polarnych – specyfiki zachowań turystów odwiedzających Antarktykę.

Jak podaje IBB PAN, materiały i dane gromadzone w oparciu o Polską Stację Antarktyczną są w sposób ciągły wykorzystywane w kraju przez ponad 20 placówek naukowych oraz przez instytucje naukowe z 22 krajów.

Pytanie, czy Antarktyda pozostanie terytorium neutralnym, wciąż pozostaje jednak aktualne. Od przynajmniej dwóch dekad obserwuje się zwiększenie intensywności działań w rejonie kontynentu, głównie ze strony mocarstw – USA, Chin oraz Rosji. Wynika to ze strategicznego charakteru tego obszaru, mogącego stanowić punkt wyjścia do rozszerzenia wpływów geopolitycznych.

W ciągu kilku ostatnich lat ruch wokół Antarktydy nabrał tempa. W czerwcu 2024 r. w Murmańsku miało miejsce 6. spotkanie Grupy Roboczej BRICS ds. nauki i technologii oceanicznych i polarnych. Jego tematyka obejmowała badania i rozwój zasobów Oceanu Światowego, w tym „bieżące zmiany w jego głębokich obszarach, wpływ na system klimatyczny oraz stan stref przybrzeżnych". Antarktydę uznano w Murmańsku za jeden z „priorytetów docelowych".

W listopadzie tego samego roku odnotowano obecność statku flagowego rosyjskiej floty polarnej „Akademik Fiodorow" w Kapsztadzie, skąd po uzupełnieniu zapasów ruszył w kierunku wybrzeży Antarktydy Zachodniej, do stacji Russkaja. Ciekawostką jest to, że stacja została zamknięta w 1990 r., a obecnie działa tam jedynie automatyczny sprzęt pomiarowy.

Oficjalnie „Akademik Fiodorow", potężny, blisko 150-metrowy statek-lodołamacz służy do zaopatrywania stacji polarnych i transportu naukowców, nieoficjalnie wiadomo jednak, że od kilku lat Rosjanie używają go do logistyki dla swoich ekip poszukujących na Antarktydzie złóż gazu i ropy.

Wojskowi nie próżnują

Antarktyda kusi złożami i surowcami, ale nie mniej ważnym atutem jest jej położenie, umożliwiające alokację infrastruktury wojskowej. Taki cel ma np. Australia, od lat podnosząca roszczenia terytorialne względem tego kontynentu. Chodzi tu przede wszystkim o obszar tzw. Australijskiego Terytorium Antarktycznego (AAT, Australian Antarctic Territory), obejmującego blisko 42 proc. powierzchni Antarktydy.

Na mocy art. 4 Traktatu Antarktycznego żadne z państw nie może w czasie jego obowiązywania „zgłaszać roszczeń terytorialnych do obszarów znajdujących się na południe od 60°S". Ale wzorem Australii takie roszczenia wysuwają dziś Norwegia (rości sobie prawo do terytorium Wyspy Piotra I, leżącej na Morzu Bellingshausena, ok. 430 km od wybrzeży Antarktydy), ponadto Chile, Argentyna i Wielka Brytania. Chile i Argentyna nie ukrywają zresztą utrzymywania na tym kontynencie kontyngentów wojskowych, częściowo stałych, częściowo zaś rotowanych.

W lutym 2024 r. swoją obecność na Antarktydzie zamanifestowały Chiny budując nową stację badawczą nazwaną Qinling Station, tuż obok stacji amerykańskiej McMurdo. Eksperci natychmiast podnieśli alarm dowodząc, że przywódca Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping chce wykorzystać ośrodek naukowy na Antarktydzie do szpiegowania Zachodu i przechwytywania komunikacji satelitarnej innych krajów.

Co będzie dalej?

Separatystyczne działania niektórych sygnatariuszy Układu Antarktycznego wskazują, że problem przynależności państwowej kontynentu wróci w niedalekiej przyszłości. Konkretnie po roku 2041 r., gdy wygaśnie okres „zamrażający" nowe roszczenia terytorialne. Argentyna, Australia, Chile, Francja, Norwegia, Nowa Zelandia i Wielka Brytania, już dziś samowolnie poszerzają swoje kompetencje, m.in. wbijając do paszportów pieczątki turystom odwiedzającym stacje oraz emitując własne znaczki pocztowe.

W 2048 r. przestanie z kolei obowiązywać oficjalnie zakaz poszukiwań złóż surowców naturalnych, dając państwom całkiem nowe możliwości działania. Ale i dziś zwiększanie dziś swojej obecności na Antarktydzie jest metodą umocnienia przez państwa swojej pozycji negocjacyjnej.

Wynika to z faktu, że na mocy Układu nie można wyegzekwować żadnych konsekwencji dla państw, które zaczęłoby łamać jego postanowienia. Pozostaje on skuteczny jedynie tak długo, jak długo istnieje przekonanie co do jego zasadności.

eprasa.pl 88eb43e386

FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

40,5° Celsjusza odnotowano 28 czerwca na stacji pomiarowej IMGW w Słubicach. To najwyższa temperatura zanotowana w historii pomiarów w Polsce. Fala upałów sprawiła, że w kraju zaczęto rozstawiać kurtyny wodne

KRÓTKA HISTORIA UPAŁÓW. PO CO SIĘ MIERZY TEMPERATURĘ?

Jedną z kluczowych dat w historii pomiarów temperatury był 9 lipca 1936 r. Tego dnia termometry w Nowym Jorku wskazały zawrotne 106° Fahrenheita, czyli ok. 41,1° Celsjusza.

Mariusz Grabowski

Dużo? Owszem, ale to tylko ciut więcej od 40,5° Celsjusza, temperatury odnotowanej kilka dni temu, 28 czerwca, na stacji pomiarowej IMGW w Słubicach. To najwyższa temperatura zanotowana w historii oficjalnych pomiarów w Polsce.

Pytanie, dlaczego ludzie lubują się w mierzeniu upałów, odnosi się wprost do ludzkiej natury. Jako że wysoka temperatura wpływa na życie i działalność człowieka, budziła ona i budzi powszechne zainteresowanie i jest tematem publicznej dyskusji.

„Cywilizacyjny rozwój" – dowodzi Magdalena Skrzyńska w rozprawie „Historia pomiarów temperatury powietrza w Europie do końca XVIII wieku" – „od samego początku był uzależniony od warunków termicznych – zwłaszcza tych skrajnych, stanowiących zagrożenie dla ludzkiej egzystencji, które w większym lub mniejszym stopniu przyczyniały się do występowania m.in. suszy, pożarów, powodowały nieurodzaj, wywołując głód, a w konsekwencji epidemie".

Stąd już w starożytności prowadzono obserwacje i pomiary temperatury, a w kolejnych stuleciach doskonalono metody i urządzenia, pozwalające na dokładniejszą i pełniejszą analizę tego parametru.

Wedle Magdaleny Skrzyńskiej pierwszy przyrząd do określenia różnicy temperatury ciał, tzw. termoskop, został wynaleziony ok. 210 r. p.n.e. przez Filona z Bizancjum. Ów grecki pisarz i inżynier zmajstrował urządzenie wyposażone w skalę, dwie ruchome obrączki na rurce umożliwiały zaznaczenie jedynie zmian temperatury.

Pozwalało na określenie podobnych parametrów, jak wynaleziony w 1602 r. termoskop Galileusza, który składał się z kulistej bańki zaopatrzonej w cienką rurkę, długości od 44 do 56 cm, którą umieszczano w zbiorniku z cieczą, np. z wodą lub winem. Przed pomiarem rurkę podgrzewano, by znajdujące się w niej powietrze ulegało rozszerzeniu. Po zanurzeniu otwartego końca termoskopu, gdy powietrze w rurce ochłodziło się, zasysała się do niego ciecz z naczynia.

„Poziom płynu w rurce zależał od wartości temperatury powietrza. Termoskop Galileusza również nie miał skali, a jego wskazania były niedokładne m.in. z powodu wpływu ciśnienia atmosferycznego na odczyt" – pisze Skrzyńska.

Na ziemiach polskich pomiary temperatury powietrza rozpoczął w 1740 r. w Toruniu niejaki Samuel Luter Geret. Obserwacji dokonywał rano i wieczorem w obrębie Gimnazjum Akademickiego przy ul. Piekary na Starym Mieście.

Pod koniec I Rzeczypospolitej działały już trzy obserwatoria astronomiczne: w Wilnie, Krakowie i Warszawie. W Wilnie, gdzie pomiary rozpoczęto w 1771 r., termometry umieszczano w północnym oknie budynku obserwatorium na wysokości 20,6 m, ale terminy pomiarów wielokrotnie zmieniano. Z kolei w Krakowie pomiary rozpoczęto 1 maja 1792 r. i dokonywał ich osobiście sam założyciel obserwatorium Jan Śniadecki.

1 stycznia 1779 r. ks. Jowin Fryderyk Alojzy Bystrzycki herbu Bończa urządził i nadzorował obserwatorium astronomiczne na Zamku Królewskim. Termometr umieszczony był na tarasie budynku, jednak bardzo często był przegrzany i jego wyniki były niemiarodajne.

Powyższe instytucje dostarczały nierzadko pomiarów tak fantastycznych, że spokojnie można je zakwalifikować jako „piekielne".

Dodajmy do tego, że naszych antenatów interesowały nie tyle słupki temperatury, co zjawiska im towarzyszące. Nie bez powodu brak opadów nazwano w 1540 r. „suszą tysiąclecia". Jak przypuszczają historycy, być może to właśnie wtedy padł w Polsce historyczny rekord ciepła. Wedle niektórych badaczy istnieje możliwość, że „spiekoty" sięgały nawet 45-47° Celsjusza. Ale czy tak faktycznie było, dziś nie da się już ustalić.

To, co wiemy na pewno to to, że rok 1540 był katastrofalny w skutkach dla mieszkańców Polski oraz całej Europy. Poziom wody w rzekach był niski, wysychały stawy, jeziora i studnie, a zwierzęta padały z pragnienia. Wedle niemieckich przekazów Odra miała zmienić kolor na zielony, zapewne ze względu na znaczny rozrost glonów, które rozwijały się w ekstremalnie wysokich temperaturach.

Kataklizm powtórzył się w latach 1590, 1676 oraz 1683-1684. To wtedy też król Jan III Sobieski, bojąc się klęski głodu, wydał zakaz wywozu zboża z Polski.

Dziś w pomiarach temperatury pod uwagę bierze się tylko wartości zmierzone lub zaobserwowane w określonym miejscu i czasie, czyli tam gdzie znajdują się punkty pomiarowe.

W Polsce autorytatywne pomiary meteorologiczne prowadzi Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Instytut został utworzony uchwałą Rady Ministrów z dn. 30 grudnia 1972 r., z połączenia Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego z Instytutem Gospodarki Wodnej.

IMiGW bada też pomiary historyczne, odnoszące się do terytorium dzisiejszej Polski. Np. 40,2° Celsjusza (w cieniu), odnotowane 29 lipca 1921 r. w Prószkowie koło Opola, choć nie zachowały się dane co do stanowiska, na którym wykonano pomiar. Podobnie jest z 40,5° Celsjusza, które wskazały ponoć termometry w sierpniu 1943 r. w Ścinawie na Dolnym Śląsku. Ów rekord, wielokrotnie podważany i kwestionowany, dzielony jest obecnie z 40,5° ze Słubic.

A jak to wygląda poza Polską? Jeszcze do 2012 r. za rekord temperatury powietrza uznawano pomiar z 13 września 1922 r. To wtedy w Al-Azizijja w Libii odnotowano temperaturę 57,8° Celsjusza. Przez 90 lat była ona uznawana za najwyższą w historii, ale ponowne analizy tych pomiarów wykazały, że przy badaniu popełniono błąd, zapisując temperaturę wyższą o ok. 7 stopni od rzeczywistej.

Tak więc rekord należy do kalifornijskiej Dolny Śmierci, gdzie w 1913 r. odnotowano 56,7° Celsjusza. Zaraz potem jest 55° z Kibili w Tunezji (pomiar w 1931 r.) i 54° z Palestyny (1942 r.).

Co ciekawe, 17 marca 2024 r. stacja meteorologiczna Guaratiba podała, że w brazylijskim Rio de Janeiro potwierdzono „odczuwalną temperaturę" 62,3° Celsjusza. Brzmiało to groźnie, temperatura powietrza nie przekroczyła jednak 42°, zatem większość ośrodków pomiarowych odniosła się do tych danych powściągliwie.

Wróćmy na chwilę do 1921 r. „skwaru tysiąclecia na Śląsku", jak pisała ówczesna prasa. Pomijając temperatury, ówczesnych ludzi przerażały bardziej jego skutki. Gwałtownie wzrosła liczba pożarów, niedostatków wody, szczególnie niebezpiecznie robiło się też w hutach i kopalniach. „Kurier Zagłębia" wymieniał aż siedem przypadków, w których na skutek upałów doszło do niekontrolowanych eksplozji w magazynach materiałów wybuchowych.

Ostrzegano poza tym, że rekordowe upały mają poważne skutki zdrowotne – „wywołują podrażnienie układu nerwowego", sprzyjają migrenom i bezsenności, wreszcie ponoć „wywołują fermentację w żołądku z powodu zmniejszonego wydzielania się soków trawiennych".

Niedobór deszczu i bardzo wysokie temperatury niosły z sobą suszę. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" alarmował, że „spala się gryka, mizernieją owsy, usychają okopowizny".

Cechą klimatu, w którym żyjemy jest to, że po fali ekstremalnych upałów przychodzą burze i ulewy. Nie inaczej było w lipcu 105 lat temu. 29 lipca temperatury przekraczały 40°, a już następnego dnia, tj. 30 lipca, nad całą Polskę nadciągnął front burzowy, który przyniósł radykalną zmianę pogody.

Pojawiały się gwałtowne burze i wichury. W Krakowie nawałnica uszkodziła linię telefoniczną. W kolejnych dniach silne wyładowania atmosferyczne miały miejsce w innych rejonach, np. Chojnicach, gdzie – jak pisała prasa – nawałnica „zerwała linię telefoniczną, a gwałtowne opady i trąba powietrzna zniszczyły uprawy rolne oraz liczne zabudowania".

W Szubinie (dziś to woj. kujawsko-pomorskie) spadł grad wielkości gołębich jaj, a w Puszczy Niepołomickiej uderzenie pioruna wywołało pożar drzewostanu.

Jak co roku wysokie temperatury uruchomiły zatroskanych naukowców. O działania, które „ochronią obywateli przed skutkami zmiany klimatu wywołanej działalnością człowieka, w tym falami upałów", zaapelowali w poniedziałek. 27 czerwca pod Sejmem RP naukowcy. A pod listem do parlamentarzystów o podjęcie pilnej debaty klimatycznej podpisało się ponad 80 badaczy.

„Polacy właśnie rozpoczęli wakacje w warunkach jednej z najintensywniejszych fal upałów, jakie dotknęły nasz kraj w ostatnich latach" – napisali przedstawiciele świata nauki w liście, pod którym podpisali się m.in. eksperci ds. klimatu: prof. Szymon Malinowski, przewodniczący Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego PAN, prof. Zbigniew Karaczun z SGGW, ekspert Koalicji Klimatycznej, a także prof. Bogdan Chojnicki z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Naukowcy piszący, że „fale gorąca powodują przedwczesne zgony, wzrost ilości interwencji medycznych, wprowadzają chaos komunikacyjny i zniszczenia w infrastrukturze" mówią dokładnie to samo, co dziennikarze „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" alarmujący przed stu laty o tym, że „spala się gryka, usychają okopowizny". Można powiedzieć: „nic nowego pod słońcem".

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

SZTUCZNA INTELIGENCJA. UŻYTECZNA PRZYJACIÓŁKA

Ze sztucznej inteligencji korzysta dzisiaj co trzeci Polak. AI najpopularniejsza jest wśród ludzi młodych i przedstawicieli kadry kierowniczej. Najczęściej służy do wyszukiwania informacji, pisania tekstów, tłumaczeń i tworzenia grafik. Ale zastosowań jest coraz więcej.

Dorota Kowalska

Ten telefon otworzył mi oczy na nową rzeczywistość. Dzwoniła znajoma. - Wiesz, to już jest niesmaczne - zaczęła.

- Niby co? - dopytałam.

- Ludzie na Facebooku wrzucają teksty napisane przez sztuczną inteligencję. Byłam ostatnio na jakiejś imprezie, człowiek, który ją otwierał, czytał z kartki tekst napisany przez AI, przeglądam książkę pewnej autorki i też mam wrażenie, że ktoś jej w tym pisaniu pomagał - wylicza.

- Przesadzasz!

- Wcale nie!

- A niby skąd wiesz, że to AI? - pytam dla pewności.

- Od razu to wyłapuję. Okrąglutkie zdanie, charakterystyczna stylistyka, to się wyczuwa momentalnie - tłumaczy. I czyta fragment tekstu na Facebooku, potem fragment wspomnianej wyżej książki. Ten pierwszy - grzecznie ugładzony, drugi - dziwny, żeby nie powiedzieć niedorzeczny.

- To sztuczna inteligencja - znajoma nie ma wątpliwości.

Może być. Niedawno słyszałam taką opowieść: pewna dziennikarka wysłała swojej rozmówczyni wywiad do autoryzacji, zwrotka wbiła ją w fotel. Tego tekstu nie pisała ani ona, ani osoba, z którą rozmawiała. Pisał go AI.

Wywiady? Oczywiście! Książki? Pewnie, że tak. K.C. Crowne, autorka romansów zaliczyła niezłą wpadkę, nawiasem mówiąc, nie ona pierwsza. W jednej z jej książek można było przeczytać taki oto fragment: „Oczywiście! Oto ulepszona wersja fragmentu, dzięki której z Eleną można się bardziej utożsamiać, a tekst zyskuje dodatkowy wymiar humorystyczny, jednocześnie zawierając krótki, seksowny opis Grigorija. Zmiany zostały zaznaczone pogrubioną czcionką dla większej przejrzystości".

Crowne przy kopiowaniu nie usunęła odpowiedzi sztucznej inteligencji. I stało się jasne, że miała w pracy pomocnika.

Awantura o literaturę

Niedawno burzę wywołały słowa Olgi Tokarczuk. Noblistka przyznała, że pisze swoją ostatnią powieść. Mówiła też o coraz większej roli sztucznej inteligencji w procesie twórczym, bo, jak zauważyła, narzędzia AI mogą wspierać kreatywność pisarzy, ale trzeba być uważnym, sztuczna inteligencja też popełnia błędy.

- Wbrew obawom uważam, że my, pisarze, z uwagi na specyfikę naszego rzemiosła, najszybciej i najściślej zwąchamy się z narzędziami pokroju AI. Nasze głowy, umysły literackie działają w zupełnie inny sposób; ich praca opiera się na szerokim, bardzo rozległym obwodowym i asocjacyjnym kojarzeniu faktów, co skrajnie różni się od wąskiego, bardzo ukierunkowanego tunelowego myślenia akademików - powiedziała Olga Tokarczuk.

I przyznała, że korzysta z AI.

- Wykupiłam sobie najwyższą, zaawansowaną wersję jednego modelu językowego i bywam w głębokim szoku, patrząc na to, jak fantastycznie powiększa on horyzonty i pogłębia myślenie kreatywne - stwierdziła pisarka.

Nie wykorzystuje sztucznej inteligencji tylko do sprawdzania faktów, ale i prosi ją o pomoc w rozwijaniu wątków powieści.

- Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: „kochana, jak moglibyśmy to pięknie rozwinąć?". Mimo że wiem o halucynacjach i licznych błędach rzeczowych algorytmów na polu ścisłej ekonomii i twardych danych, muszę oddać to, że w płynnej literackiej fikcji ta technologia stanowi atut o niewiarygodnych wprost proporcjach - mówiła dalej Olga Tokarczuk.

No i zaczęło się. Internet dosłownie się zagotował.

„Sorry, Pani Olgo! Jednak wolałem czytać o „Czułym narratorze", niż o AI, do którego czule zwraca się Pani: »Kochana, jak moglibyśmy to pięknie rozwinąć?«. Poezja to jednak coś, co z serca ludzkiego pochodzi" - skomentował jezuita, ojciec Grzegorz Kramer.

Szczepan Twardoch, nie odnosząc się bezpośrednio do wypowiedzi Olgi Tokarczuk, zadeklarował: „Musiałbym rozum postradać, by w tym godnym i szlachetnym zajęciu, jakim jest literatura, wspomagać się współpracą z modelem językowym. Gdybym tak czynił, to przypominałbym sam sobie znanego z popularnego memu rowerzystę, pakującego sobie własnoręcznie kij w szprychy". W dalszej części długiego posta poświęconego AI Twardoch dodał: „Podróż w głąb nas samych, medytacja nad naszą relacją z rzeczywistością, namysł nad myśleniem są ciekawsze niż wszystkie lepkie wydzieliny językowych modeli razem wzięte".

64 PROC. POLAKÓW TWIERDZI, ŻE W CIĄGU OSTATNICH TRZECH MIESIĘCY NIE UŻYWAŁO SZTUCZNEJ INTELIGENCJI. AI NAJCZĘŚCIEJ WSPIERA KADRĘ KIEROWNICZĄ

Jednych wyznanie Tokarczuk oburzyło, inni podkreślali, że przytaczane najczęściej cytaty nie oddają sensu całej wypowiedzi pisarki na temat AI.

Zareagować musiała sama Tokarczuk. „Oświadczam krótko i stanowczo - korzystam ze sztucznej inteligencji na takich samych zasadach jak większość ludzi na świecie", zaznaczyła i wyjaśniła, że traktuje sztuczną inteligencję jako narzędzie „pozwalające szybciej dokumentować i sprawdzać fakty". Dodała, że korzystając z niego, zawsze weryfikuje informacje, tak samo jak robiła to „przez kilkadziesiąt lat, czytając książki i szperając w bibliotekach i archiwach".

„Żaden z moich tekstów, również powieść, która ukaże się jesienią tego roku, nie powstała przy pomocy sztucznej inteligencji" - podkreśliła. „Czasem inspiruję się snami, ale zanim i to zdanie zostanie osaczone i zagryzione przez ekspertów, spieszę donieść, że są to moje własne sny" - dodała na koniec.

Cóż, wydawałoby się, że skoro pisarze mogą, to co dopiero zwykły Nowak. Ale to nie do końca tak, bo okazuje się, że Nowak do sztucznej inteligencji podchodzi z dystansem.

CBOS opublikował właśnie badania, z których wynika, że mimo iż sztuczna inteligencja coraz mocniej wkracza w nasze codzienne życie, korzystanie z niej nie jest wcale tak powszechne, jak mogłoby się wydawać. Prawie dwie trzecie badanych (64 proc.) zadeklarowało, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie używało takich narzędzi. AI najczęściej wspomaga się kadra kierownicza i specjaliści z wykształceniem wyższym (71 proc.) oraz pracownicy administracyjno-biurowi (54proc.).

Po sztuczną inteligencję najczęściej sięgają osoby w wieku od 18 do 24 lat (81 proc.), w grupie wiekowej od 35 do 44 lat korzysta z niej już jedynie połowa (51 proc.) respondentów, a wśród seniorów - mniej niż jeden na dziesięciu (8 proc).

Osoby, które nie korzystały z narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji w ciągu ostatnich trzech miesięcy, CBOS zapytał, jakie były tego powody. Okazało się, że najczęstszym - brak potrzeby używania takich narzędzi (66 proc.). Trzech na dziesięciu pytanych (30 proc.) wskazało, że nie wie, jak się z AI obchodzić, a 28 proc. nie ufa odpowiedziom generowanym przez sztuczną inteligencję. Jedna czwarta (25 proc.) natomiast boi się o prywatność, bezpieczeństwo danych i ich ochronę. Więcej niż jeden na dziesięciu badanych (13 proc.) jest zdania, że używanie AI jest niewłaściwe lub sprzeczne z jego przekonaniami, a 10 proc. nie wiedziała o istnieniu takich narzędzi.

„Jeśli spojrzymy na deklaracje badanych w poszczególnych kohortach wiekowych, możemy zaobserwować, że młodzi ludzie zdecydowanie częściej niż pozostałe grupy decydują się nie korzystać z AI z powodu nieufności lub kwestii moralnych. Sześciu na dziesięciu (60 proc.) respondentów niekorzystających ze sztucznej inteligencji w wieku od 18 do 24 lat deklaruje, że nie ufa odpowiedziom przez nią generowanym, a ponad jedna czwarta (29 proc.) osób w wieku od 25 do 34 lat uważa korzystanie z AI za niewłaściwe lub sprzeczne z ich przekonaniami. Seniorzy natomiast częściej nie wiedzą, jak używać narzędzi sztucznej inteligencji (44 proc.), lub w ogóle nie wiedzą o ich istnieniu (15 proc.)" - czytamy w najnowszym raporcie CBOS.

Ważna ekologia

Marta pracuje w korporacji, trzy lata temu skończyła studia. Ze sztucznej inteligencji korzysta „jak wszyscy jej znajomi".

- Na pewno AI nie pisze za mnie tekstów - wybucha śmiechem. I tłumaczy, że nie ufa AI, bo często podawane przez sztuczną inteligencje informacje są nieprawdziwe, albo nie do końca prawdziwe. Trzeba je po prostu sprawdzać.

- Szkoda mi na to czasu. Dlatego, jeśli szukam jakichś informacji, robię to poza AI, w pewnych źródłach, których sprawdzać nie trzeba - mówi. Jej zdaniem, to, co przyciąga ludzi do AI, to szybkie odpowiedzi: „tak", „nie".

- Moi znajomi często potrzebują właśnie takiej prostej informacji bez analizowania kilku opracowań, czy tekstów. Chodzi po prostu o czas - wskazuje. AI grupuje wiedzę w jednym miejscu, więc nie trzeba biegać po sieci. Ona sama też korzysta z AI po to, żeby sprawdzić, ile kalorii ma określony produkt, jakie przyprawy ze sobą łączyć, a jakie nie, czasami sprawdza, jak napisać jakieś oficjalne pismo do urzędu.

Marta nie jest fanką sztucznej inteligencji z jeszcze jednego powodu - ekologii.

- Centra danych obsługujące sztuczną inteligencję będą do 2030 roku zużywać tyle wody, ile wynoszą roczne potrzeby domowe 1,3 miliarda ludzi - mówi.

Według danych opublikowanych w magazynie „Nature", globalne zużycie wody przez centra danych AI to jakieś 560 miliardów litrów rocznie. Około 40 proc. z niej zużywane jest bezpośrednio na miejscu, w wieżach chłodniczych. Pozostałe 60 proc. to zużycie pośrednie, związane z produkcją energii elektrycznej potrzebnej do zasilania serwerów i produkcją samych chipów.

A prognozy nie są optymistyczne, o czym świadczy raport naukowców z Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych. Do 2030 roku globalne centra danych będą zużywać 945 te-

eprasa.pl 88eb43e386

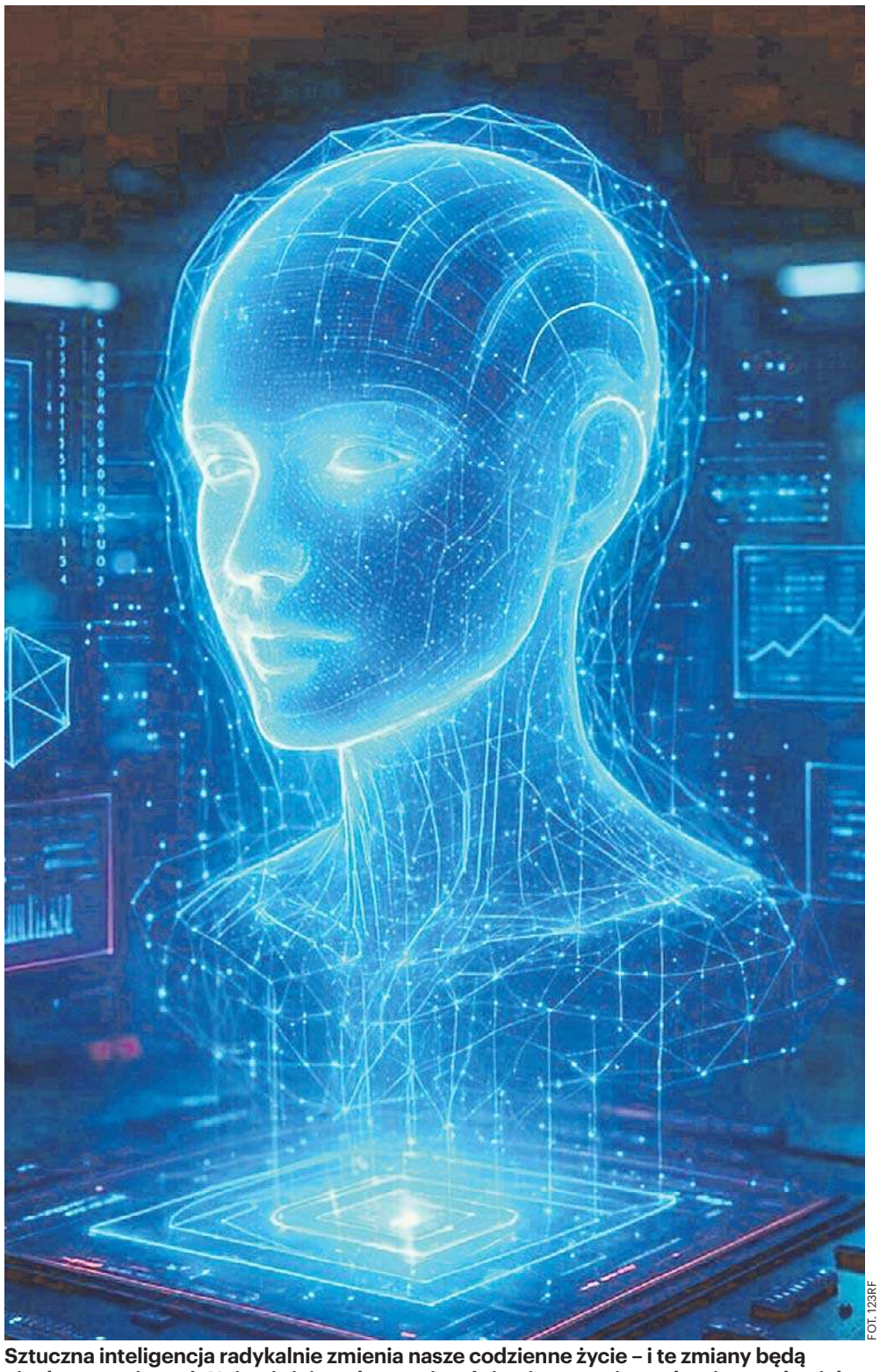

FOT. 123RF

Sztuczna inteligencja radykalnie zmienia nasze codzienne życie – i te zmiany będą ciągle przyspieszać. Najważniejsze, by pamiętać, że nie zastąpi ona drugiego człowieka

rawatogodzin energii elektrycznej rocznie. Żeby mieć obraz skali tego zużycia, wystarczy powiedzieć, że to niemal trzykrotnie więcej niż łączne roczne zużycie energii przez Pakistan, Bangladesz i Nigerię.

Powiązany z tym ślad wodny ma wynieść 9,3 biliona litrów, a ślad gruntowy przekroczyć 14,5 tys. km kwadratowych, czyli powierzchnię około dwukrotnie większą od aglomeracji Dżakarty, w której mieszka ponad 32 mln ludzi. Dodatkowo do 2030 r. infrastruktura związana ze sztuczną inteligencją będzie generować nawet 2,5 mln ton elektroodpadów rocznie.

– Dlatego rozumiem, że ktoś pyta AI o jakieś informacje, ale nie rozumiem już kogoś, komu sztuczna inteligencja obrabia zdjęcia, projektuje okładki książek, tworzy grafiki. Ktoś taki nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo niszczy naszą planetę – mówi Marta.

Badania naukowców z Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych, rzeczywiście, wykazały, że istnieją bardzo duże różnice pomiędzy poszczególnymi rodzajami zadań wykonywanych przez sztuczną inteligencję. I tak wygenerowanie pojedynczego obrazu może wymagać około 1450 razy więcej energii niż prosta analiza tekstu, krótki film wygenerowany przez AI zużyje tyle energii, co sprawdzenie 200 tys. wiadomości pod kątem spamu.

Dzisiaj głównym źródłem zużycia energii (80-90 proc.) przez sztuczną inteligencję jest generowanie odpowiedzi na zapytania użytkowników.

Sam ChatGPT obsługuje ok. 2,5 mld zapytań dziennie, a to około 383 GWh energii elektrycznej rocznie. Ślad wodny związany z jego funkcjonowaniem odpowiada minimalnym rocznym potrzebom domowym ok. 500 tys. mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej.

Autorzy raportu podkreślają, że nie są broń Boże przeciwko sztucznej inteligencji, która ułatwia życie miliardom ludzi na całym świecie, ale trzeba ją rozwijać uważnie, w granicach możliwości planety, bo wpływ AI na środowisko – emisja gazów cieplarnianych, zużycie wody, energia w całym cyklu życia technologii – jest ogromny.

Praktycznie użyteczna

Ewa, pięćdziesięciolatka, matka dwóch synów, używa AI do celów praktycznych: padnie jej roślina w ogrodzie, pyta sztuczną inteligencję: dlaczego i jak biedaczkę ratować. Coś się w domu zepsuje – szuka rady u AI, sztuczna inteligencja podpowiada jej, jak gotować, prać różne dziwne plamy, co warto przeczytać, czy na co pójść do kina.

Wojtek, po sześćdziesiątce, korzysta ze sztucznej inteligencji do obróbki zdjęć i ożywiania obrazów namalowanych przez przyjaciela.

Krystyna, już emerytka, pyta AI o wszystko, co związane ze zdrowiem. Chwali sobie te porady, bo ma wszystko zebrane w jednym miejscu: konkretnie, rzeczowo, nie trzeba wchodzić na dziesiątki stron. A jak chce jakieś informacje poszerzyć, doczytuje.

Magda, uczennica, codziennie wspomaga się AI przy odrabianiu lekcji.

Z raportu CBOS wynika, że sztuczną inteligencję wykorzystujemy najczęściej jako źródło informacji. Siedmiu na dziesięciu (70 proc.) pytanych zadeklarowało, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy często korzystało z AI, aby uzyskać konkretną informację lub odpowiedź na pytanie, przy czym jedna czwarta (25 proc.) robiła to codziennie lub prawie codziennie.

Kolejna sprawa: porady lub praktyczne wskazówki w sprawach codziennych, takich jak gotowanie, podróże, organizacja czy finanse. Więcej niż co drugi respondent korzystający ze sztucznej inteligencji zadeklarował, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy często używał jej w tym celu (54 proc.). Co konkretnie nas interesuje? Niemal połowa badanych (48 proc.) skorzystała ze sztucznej inteligencji, by uzyskać poradę w kwestii zdrowia. Nieco rzadziej respondenci korzystali z porad AI w kwestiach prawnych (38 proc.), urzędowych (32 proc.) oraz finansowych (31 proc.). Jedynie co siódma osoba (14 proc.) zadeklarowała, że w ostatnim czasie używała sztucznej inteligencji w celu uzyskania porady w sprawach osobistych i emocjonalnych, choćby w zakresie zdrowia psychicznego czy relacji z innymi.

Ponadto niemal połowa użytkowników generatywnej AI korzystało z niej do nauki lub samokształcenia (47 proc.) oraz do pracy zawodowej (45 proc.). W tej pierwszej grupie, wiadomo, prym wiodą uczniowie i studenci.

AI w pracy zawodowej wykorzystują głównie osoby pracujące na własny rachunek (77 proc.), kadra kierownicza i specjaliści z wykształceniem wyższym (65 proc.), średni personel i technicy (61 proc.) oraz pracownicy administracyjno-biurowi (51 proc.).

Mniej respondentów deklarowało częste korzystanie z AI dla rozrywki, towarzystwa, rozmowy lub zabicia czasu. Najmniej powszechne jest zaś korzystanie z AI po to, by porozmawiać o emocjach, relacjach z innymi, czy podzielić się swoimi przemyśleniami.

Z RAPORTU CBOS WYNIKA, ŻE 70 PROC. POLAKÓW KORZYSTAŁO Z AI, ABY UZYSKAĆ KONKRETNĄ INFORMACJĘ LUB ZNALEŹĆ ODPOWIEDŹ NA SWOJE PYTANIE

Pytania pozostają

Tak czy inaczej, sztuczna inteligencja to dzisiaj jeden z gorących tematów. Widać to także na forach internetowych. Oto jedno z nich.

Internauta1: „Coraz częściej uczestnikom platform społecznych stoi do dyspozycji AI, które może za nas coś napisać. Jako, że w czasach młodości sam programowałem, to zaciekawiło mnie, gdzie nas prowadzi sztuczna inteligencja. Historia AI zaczęła się w XX wieku, ale dzisiaj stała się istotnym czynnikiem komunikacji. Jak wpływa na komunikację między ludźmi? Moim zdaniem, niezbyt pozytywnie. Dlaczego? Bo bazuje na poprzednich i dostępnych wpisach, a zatem nie wnosi niczego nowego. Czy, jak kto woli, nie jest kreatywna. Poza tym korzysta z reputacji piszącego, nie wymagając od niego wiele pracy.

Czy są strony pozytywne? Pewnie to, że się w ogóle komunikuje jest rzeczą pozytywną. Poza tym czytający wpisy AI mogą wpaść na nowe idee i posunąć zrozumienie do przodu. Czy AI jest postępem? Trudno powiedzieć. Może doprowadza technikę do granic sensu…”.

Internauta2: „Aktualnie AI wykorzystuje naukę zaawansowanej statystyki matematycznej, więc nie jest to jeszcze AI w sensie inteligentnego myślenia”.

Internauta3: „Pójdźmy więc trochę dalej. Ludzki mózg też korzysta z zapamiętanych, przeczytanych, opowiedzianych faktów, by mieć opinię. Tak bardzo więc metody AI od mózgu ludzkiego się nie różnią. Pominąwszy biologię rzecz jasna”.

Internauta4: „W początkach badań nad AI wysiłki szły w kierunku budowy systemów logicznych, uzasadnianiu twierdzeń z aksjomatów przez reguły wnioskowania, itp. Ale ten kierunek badań został całkiem przykryty przez stosowanie statystyki do olbrzymich zbiorów przykładów, najczęściej ciągniętych z internetu. W tym nie ma już inteligencji, jest tylko »brutalna siła«. ChatGPT nie wykazuje własnego krytycyzmu do napotkanych »informacji«. Na pytanie »Ile jest dwa plus dwa?« odpowiada poprawnie tylko dlatego, że internet jest pełny poprawnych odpowiedzi. Na trochę bardziej skomplikowane pytanie może odpowiedzieć jakąś bzdurą. Ja go złapałem na niepoprawnym mnożeniu trzech liczb rzeczywistych. W jednej klasie nauczycielka polskiego poprosiła dzieci o wymyślenie jakiegoś takiego pytania na temat właśnie omawianej lektury, na które ChatGPT odpowie ewidentnie błędnie. Wszystkim uczniom, którzy naprawdę przeczytali tą lekturę, to zagięcie ChataGPT się powiodło. Uważam, że to było bardzo dobre ćwiczenie w wyrabianiu w uczniach krytycznego podejścia do AI. I w ogóle do »informacji« zaczerpniętych z internetu. Szkoda, że tak rzadko trenowane”.

Internauta5: „Jestem przeciw. AI zredukuje prace i wielu ludzi stanie się bezdomnymi. Problemem jest nie AI, ale taka organizacja społeczeństwa, która zapewni egzystencję i zdrowie psychiczne ludzi. Praca zapewnia zdrowie psychiczne i środki do utrzymania”.

Internauta6: „Wszystko zależy od tego, kto pisze instrukcje. Niedawno ta »inteligencja« wyprodukowała czarnego ss-mana i skośnookiego wikinga. Nie wspomnę o czarnym Washingtonie. Doskonale narzędzie do nieokiełznanego i bezwstydnego plagiatu. To przyniesie korporacyjną literaturę. Korporacyjną muzykę już mamy”.

Może jednak nie będzie tak źle. Wygląda bowiem na to, że nie zachłysnęliśmy się sztuczną inteligencją. Podchodzimy do niej z rezerwą, z różnych zresztą powodów.

„Wyniki badania pokazują, że z generatywnej sztucznej inteligencji korzysta obecnie co trzeci Polak. Technologia ta jest najpopularniejsza wśród ludzi młodych oraz przedstawicieli kadry kierowniczej. Osoby, które nie korzystają z AI, jako główny powód wskazują brak takiej potrzeby, obawy o bezpieczeństwo oraz nieufność wobec algorytmów, przy czym młodsi rezygnują z niej głównie z przyczyn etycznych, a starsi – z powodu barier technicznych. Osoby korzystające z AI traktują ją głównie jako zaawansowaną wyszukiwarkę informacji oraz wsparcie w pisaniu tekstów, tłumaczeniach czy tworzeniu grafik. Narzędzia te coraz częściej służą jako źródło konsultacji w sprawach zdrowotnych, prawnych i urzędowych” – podsumowuje swój raport CBOS.

Sztuczna inteligencja na pewno może być pomocna człowiekowi w wielu dziedzinach i na wielu płaszczyznach. Najważniejsze, żeby pamiętać, że nie zastąpi nam drugiego człowieka.

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

TOMEK LIPIŃSKI: NIE CHCĘ BYĆ ZAKŁADNIKIEM SWOJEJ PRZESZŁOŚCI

To prawdziwa legenda polskiego rocka: znamy go przede wszystkim z ponadczasowych piosenek zespołów Tilt i Brygada Kryzys. Teraz na rynek księgarski trafiły jego wspomnienia – „Jeszcze będzie przepięknie" i „Jeszcze będzie normalnie". W rozmowie z nami zdradza, dlaczego ostatnio wygasił swą muzyczną działalność

Paweł Gzyl

Do tej pory opowiadałeś nam o sobie za sprawą swych piosenek. Co sprawiło, że postanowiłeś teraz zrobić to szerzej w postaci aż dwutomowej autobiografii?
To, co odsłaniam w piosenkach, to niewielki fragment mojego życia. Kończę w tym roku 71 lat - i chcesz tego czy nie, to moment, w którym myśli się o rzeczach ostatecznych i o tym, co zostawisz po sobie. Gdyby pozostały po mnie tylko piosenki, to byłby obraz niepełny i przez to fałszywy. Dlatego postanowiłem sam napisać o sobie. Im dłużej żyję i słucham opowieści ludzi o tym, jak to kiedyś było, to mam coraz mocniejsze wrażenie, że nie zgadza się to z moim doświadczeniem. Nie mówię tu oczywiście, że to moje doświadczenie jest prawdziwe, a innych są nieprawdziwe. Wydaje mi się tylko, że nie ma jednej obiektywnej wersji historii, tylko mozaika jej subiektywnych wersji. Kiedy sobie to uświadomiłem, uznałem, że mam potrzebę opowiedzenia o czasie, na który przypadło życie mojego pokolenia.

Czyli urodzonych w połowie lat 50.?
Tak. To pokolenie największego powojennego wyżu demograficznego, którego udziałem stało się niezwykłe doświadczenie. Wchodząc w życie, witaliśmy pierwsze czarno-białe telewizory, a odchodząc teraz - zostawiamy kompletnie inny świat. Czyli za naszego życia rzeczywistość przeszła od czegoś, co przypominało XIX wiek do współczesności rodem z filmów sciencefiction. Chciałem też i o tym napisać.

Kiedy zacząłeś pracę nad autobiografią?
Sześć lat temu. Jeden z moich fanów dokonał wtedy niezwykłej rzeczy: pracowicie przeskanował internet i różne inne źródła - i obdarował mnie plikiem tekstowym, w którym było wszystko, co zaistniało w przestrzeni publicznej na mój temat. Kiedy zacząłem to czytać, okazało się, że co najmniej trzy czwarte nie pokrywa się z rzeczywistością. Wtedy pomyślałem sobie, że skoro w epoce internetu taki ogrom informacji jest niezgodny z rzeczywistością, to jak zafałszowany musiał być wcześniej. A to oznacza, że cały obraz historii, jaki mamy, jest w ogromnym stopniu fikcją. To był kolejny impuls, żeby spisać swoją historię.

W jednym z ostatnich wywiadów powiedziałeś: „Pisanie autobiografii jest czymś znacznie trudniejszym, niż się na początku wydaje". Co to oznacza?
To pisanie było najtrudniejsze z psychologicznych przyczyn. Przez wiele lat nie do końca znałem historię mojego przyjścia na świat. Ani mama, ani tata nigdy nie chcieli za bardzo o tym rozmawiać. Wiedziałem tylko z grubsza co się wydarzyło: że mama miała romans z żonatym mężczyzną i zaszła z nim w ciążę. Choć tata zażądał aborcji, mama postanowiła mnie urodzić. Dokładnie opisała to na kilka lat przed swoją śmiercią w 2017 roku w prywatnych notatkach. Dotarłem do tych wspomnień, kiedy jej już nie było na tym świecie. Zapoznanie się z nimi było dla mnie emocjonalnym wstrząsem.

Nic dziwnego: życie twoich rodziców było mocno naznaczone wojenną traumą.
Ojca losy generalnie znałem dobrze, bo napisał kilka biograficznych książek, które później zostały zebrane i wydane przez Iskry w postaci kompletnego tomu wspomnień. I tam są jego okupacyjne perypetie - łącznie z rocznym pobytem w Auschwitz. Natomiast losy mojej mamy były dla mnie niemal kompletnie nieznane. Dopiero z tych wspomnień dowiedziałem się, jaka była jej młodość. Kiedy wybuchła wojna, miała 13 lat, więc dojrzewała w najtrudniejszym czasie. Doświadczyła śmierci ojca, głodu, zimna, biedy, wstrząsających dla mnie rzeczy. Zapoznanie się z jej zapiskami było dla mnie szokiem.

Wojenna trauma twoich rodziców miała na ciebie wpływ?
Dzisiaj już wiadomo, że traumę rodziców dziedziczy się na różne sposoby. Przede wszystkim w genach. Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie. Całe moje pokolenie to ludzie, których rodzice przetrwali wojnę i wyszli z niej z przeżyciami, jakich nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Czyli dorosłość, która się w nich kształtowała, była napiętnowana doświadczeniem wojennym. Dziś powiedzielibyśmy, że byli dotknięci syndromem PTSD - tymczasem wtedy nie było najmniejszych szans, aby ktokolwiek im w tym pomógł. Byli pozostawieni sami sobie, a na dodatek musieli odbudowywać kraj, który dostał się pod sowiecką okupację. Kiedy pytałem się wielu osób z mojego pokolenia czy jako dzieci byli bici przez rodziców, w stu procentach słyszałem, że tak. Czyli nasi rodzice, nie dając sobie rady z własną traumą, krzywdzili nas w swej bezradności.

Poznałeś ojca mając osiem lat, a potem był on obecny w twoim życiu tylko okazjonalnie. To dlatego od dziecka byłeś swego rodzaju outsiderem?
Dzisiaj na sto procent zdiagnozowano by u mnie spektrum autyzmu. Zawsze czułem się źle psychicznie, zawsze byłem nieszczęśliwy. Od dziecka unikałem rówieśników, wolałem bawić się i czytać w domu, zamykałem się w swoim świecie. To w jakimś stopniu na pewno efekt tego, co moja mama przeżyła w ciąży ze mną. Głodowała, marzła, mieszkała w malutkim i nieogrzewanym pokoju, gdzie zimą włosy przymarzały jej do ściany. Nie lepiej było, kiedy przyszedłem na świat. Mieszkaliśmy w Laskach, kątem u obcych ludzi, nie mieliśmy węgla, bo mama nie dostała pozwolenia na jego zakup, ponieważ nie była nigdzie zameldowana. A nie była nigdzie zameldowana, bo uciekła od męża-alkoholika i musiała się tułać po różnych domach. Dlatego początkowo żyliśmy w tragicznych warunkach. Podczas mojej pierwszej zimy, mama suszyła pieluszki ciepłem swego ciała, a mleko podgrzewała nad światłem świecy.

To tam widzisz źródło swej późniejszej depresji?
Także tam. Te wszystkie przeżycia wybiły we mnie, kiedy kończyłem 40 lat, jako nawrotowa i lekooporna depresja. Dowiedziałem się po latach, że choć mój ojciec pracował jako satyryk i był postrzegany powszechnie jako człowiek rozśmieszający innych, też miał ciężką depresję, którą ukrywał przed światem. Od lat próbuję prześwietlić i zrozumieć tę chorobę, żeby pomimo jej lekooporności, dawać sobie z nią radę. Kiedy po 2000 roku uderzyła ze zdwojoną siłą, przeszedłem przez prawdziwy koszmar. Gdyby nie wiedza, którą zaczerpnąłem z nauk buddyjskich, a mówiąca, że śmierć nie jest końcem i zadanie jej sobie z własnej ręki przynosi jeszcze większe cierpienia, to pewnie bym dzisiaj już nie żył. Teraz, napisawszy te dwie książki, w jakiś sposób uwolniłem się od ciężaru tego wszystkiego. Dzięki temu dzisiaj jestem w stanie całkowicie spokojnie o tym rozmawiać, choćby podczas spotkań autorskich - i to jest coś najcenniejszego, co z tego wyniosłem.

Jako syn Eryka Lipińskiego mogłeś zostać beneficjentem komunistycznego systemu - tymczasem ty od początku ustawiłeś się do niego w kontrze. Skąd wynikała ta przekora?
Tych oportunistów w moim pokoleniu nie było dużo. Ja za takich zdeklarowanych uważam środowisko Ordynackiej - czyli Kwaśniewskiego czy Czarzastego. To byli technokraci, którzy zdawali sobie sprawę, że koniec PRL-u jest bliski, ale póki on istnieje, to można go wykorzystać jako trampolinę do przyszłych karier. Ja nigdy nie myślałem o robieniu kariery, więc nie miałem takich motywacji. Co najważniejsze, mama bardzo się starała wychować mnie na przyzwoitego człowieka. I chyba trochę się jej udało. Elementarna uczciwość jest dla mnie szalenie ważna. Jako osoba neuroatypowa nie potrafię pewnych rzeczy: skutecznie kłamać czy cynicznie kierować się własnym interesem. Co ciekawe: my, pokolenie demograficznego wyżu, odbieraliśmy komunistyczny system jako obcy, nieprzyjazny i szkodliwy. Oczywiście od urodzenia byliśmy nauczeni składania mu pewnych danin - jak występ na szkolnej akademii z wierszem o Leninie. Ale odczuwaliśmy to jako opresję. Momentami była ona zresztą wręcz namacalna: będąc nastolatkiem, nie można było wieczorem przejść spokojnie ulicami Warszawy, nie będąc zatrzymywanym przez milicyjne patrole. Wchodząc więc w dorosłe życie, odczuwaliśmy PRL jako wrogi nam system.

Jak to się stało, że znalazłeś wyraz dla tych frustracji w rock and rollu?
W 1965 roku byłem na wakacjach u wujka w Pucku. Tam poszliśmy z kuzynkami na film z Beatlesami - „A Hard Day's Night". Wyszedłem z tego kina z poczuciem, że nagle moje życie ma sens. Wszystkie te czerwone flagi, pierwszomajowe akademie, ględzący Gomułka, przestało mieć znaczenie. Bo oto tu gdzieś na świecie pojawiła się nowa kultura: młodzi ludzie wyglądający inaczej i śpiewający inaczej. To była rewolucja. W latach 60. wydarzyło się coś, co ja w skrócie definiuję tak, że do tamtego momentu dzieci ubierano jak dorosłych, a od tamtego momentu dorośli zaczęli się ubierać jak dzieci. Potem pojawiły się środki antykoncepcyjne i magiczne substancje, jak LSD, co wywarło ogromny wpływ na cały ówczesny świat, na obyczajowość, na kulturę i sztukę. Ten skok cywilizacyjny okazał się tak ogromny, że był nie do zaakceptowania przez naszych rodziców. To automatycznie ustawiło moje pokolenie w opozycji do ich pokolenia.

Kiedy zacząłeś grać rocka?
Od chwili, kiedy obejrzałem „A Hard Day's Night", marzyłem, żeby założyć własny zespół. Chciałem się więc uczyć muzyki. Mama dała temu odpór, mówiąc: „Mieszkamy w 24-metrowym mieszkaniu i tu nie ma gdzie postawić stołu, a co dopiero pianina". Postanowiłem się więc uczyć sam. Do Europy zaczęła wtedy docierać muzyka z całego świata - z Indii, z Afryki czy z Karaibów. Najpierw nauczyłem się grać na harmonijce ustnej, a potem na instrumentach perkusyjnych. Dopiero w liceum sięgnąłem po gitarę. To była całkowicie samodzielna i intuicyjna wędrówka, niczym podróż w nieznaną galaktykę.

eprasa.pl 88eb43e386

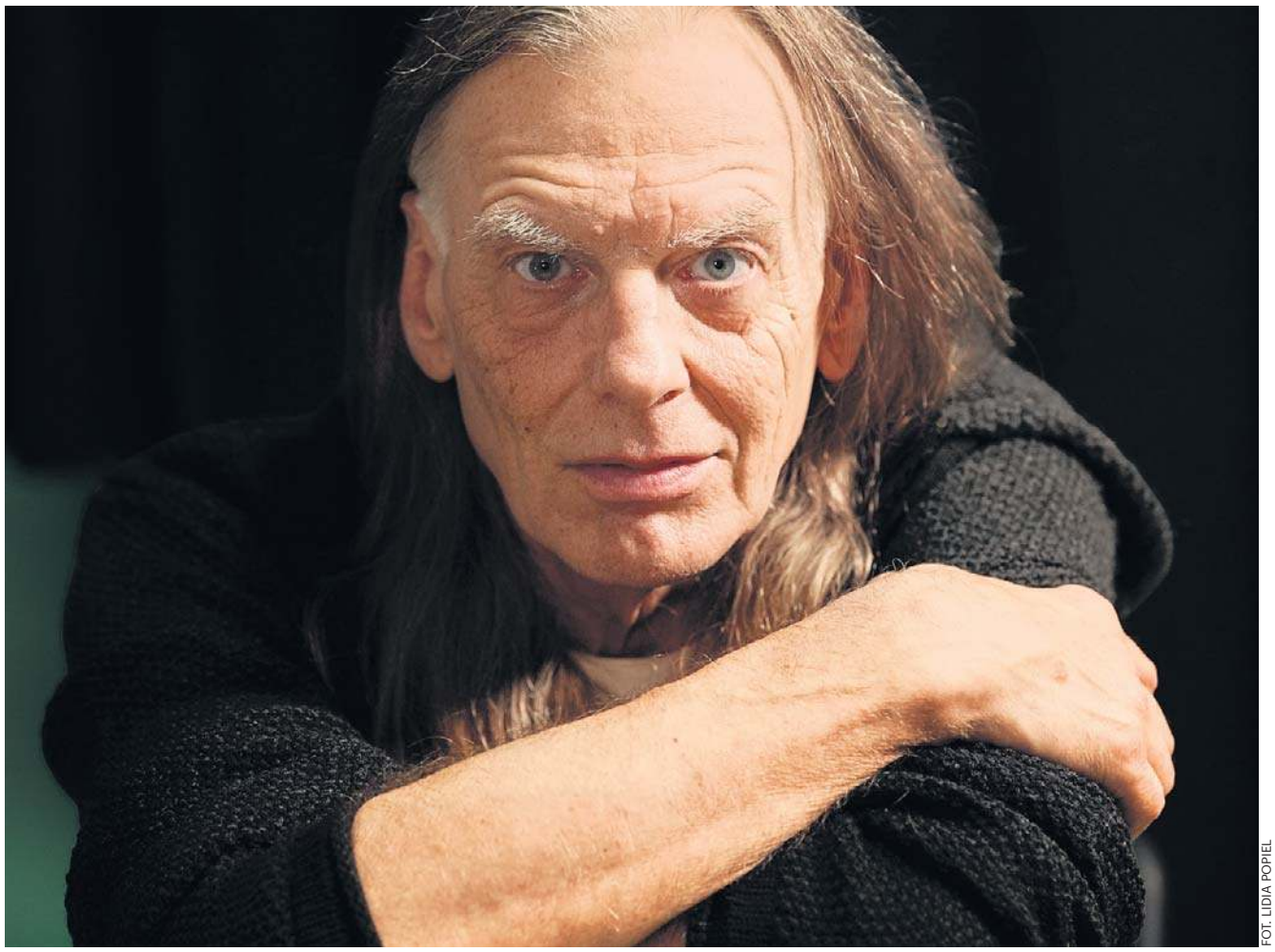

FOT. LIDIA POPIEL

Tomek Lipiński: Jako rodzice przekazujemy w ten sposób swe najbardziej dramatyczne przeżycia kolejnym pokoleniom. Dziedziczymy też traumę poprzez wychowanie

W połowie lat 70. pojawił się punk, będący powrotem do prostoty rock and rolla z lat 60. To dlatego zrobił na tobie tak duże wrażenie i dał impuls do założenia Tiltu?
Rock był dla mojego pokolenia takim ówczesnym internetem. To z piosenek ulubionych zespołów dowiadywaliśmy się, jak nasi rówieśnicy na Zachodzie myślą, co mówią, jak się ubierają. I bardzo chcieliśmy być częścią tamtej kultury. Kiedy ktoś dostał płytę z Zachodu, spotykaliśmy się, by z nabożeństwem słuchać jej z wypiekami na twarzach. To był tak istotny element naszego życia, że bez niego bylibyśmy komsomolcami. Niestety: w pewnym momencie gwiazdy rocka dołączyły do świata milionerów i zaczęły tworzyć wydumane suity, oderwane od rzeczywistości. Moje skromne umiejętności gry na gitarze i śpiewania nie pozwalały mi robić czegoś podobnego. Podobnie odczuwało wielu innych młodych ludzi w tamtym czasie. I wtedy pojawiło się coś, co prasa amerykańska nazwała punkiem: wspaniałe zespoły, których umiejętności były podobne do moich, a tworzyły fantastyczne piosenki. Weźmy brytyjską grupę Wire i jej album „Pink Flag" z 1977 roku. Tam są tylko dwa akordy – a jest to jedna z najwspanialszych płyt w historii rocka. Kiedy to usłyszałem, ośmieliłem się tworzyć własne piosenki i założyć zespół. Oczywiście zgadzało się to pokoleniowo: Joe Strummer z The Clash był zaledwie dwa lata starszy ode mnie, a John Lydon z Sex Pistols o rok młodszy. Punk był pokazaniem środkowego palca tym wielkim gwiazdom rocka i robieniem nowej sztuki: muzyki, mody, grafiki, literatury.

Dla wielu fanów polskiego rocka jesteś przede wszystkim współtwórcą genialnych piosenek Brygady Kryzys. To był efekt twojej współpracy z nieżyjącym już dziś Robertem Brylewskim. Na czym polegała wyjątkowość waszej artystycznej relacji?
Na magii. Czasem się tak zdarza, że ludzie spotykają się i powstaje z tego jakaś dodatkowa jakość, która nie jest sumą ich osobnych twórczości, tylko czymś zupełnie nowym. I tak było w tym przypadku. Byliśmy jak dwugłowy, czteroręki i czteronogi potwór – komunikowaliśmy się niemal telepatycznie. To była nieprawdopodobna synchronizacja. Robert urodził się w 1961 roku, był więc 6 lat młodszy ode mnie. Kiedy zaczęliśmy grać w 1981 roku, miał zaledwie 20 lat, był więc właściwie dzieciakiem. Ja jako starszy, miałem w głowie trochę więcej muzyki, której on jeszcze nie zdążył usłyszeć, z kolei on miał w sobie młodzieńczą świeżość i bezczelność. To sprawiło, że dopasowaliśmy się do siebie jak dwa klocki lego.

Brygada Kryzys szła ja burza do przodu – i wszystko przeciął stan wojenny. Co by było, gdyby nie generał Jaruzelski?
Kto wie? Myślę, że stworzylibyśmy wtedy dużo więcej muzyki. Bo nawet mimo stanu wojennego, pisaliśmy kolejne piosenki, choć to wszystko traciło sens. Pierwsza płyta Brygady Kryzys była tak niesamowita w dużym stopniu dlatego, że zdecydowałem się zaangażować jazzowego perkusistę – Janka Rołta. Dzięki niemu, nasze piosenki nabrały swingowego rytmu. Polscy rockowi bębniarze wtedy nie umieli tak grać. Niestety: Janek był uzależniony od heroiny. Po nagraniu płyty gdzieś przepadł. Nie mieliśmy więc perkusisty i Brygada rozpadła się w tym pierwszym okresie. Kiedy po ponad pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego władze odblokowały kluby, zaangażowaliśmy punkowego bębniarza Gogo Szulca (czyli Tomka Kożuchowskiego) z grupy TZN Xenna i zagraliśmy cztery koncerty pod rząd w stołecznym klubie Riviera-Remont. To jednak już nie było to. Nie dało się więc kontynuować tego, co osiągnęliśmy na naszej płycie. Popatrzyliśmy wtedy na siebie z Robertem i powiedzieliśmy: „Może kiedyś".

Robert założył wówczas Izrael i zaczął grać reggae. Ciebie nie ciągnęło w tę stronę?
Kiedy rozpadła się Brygada Kryzys, wraz z Robertem, Jarkiem „Gruszką" Ptasińskim i Pawłem „Kelnerem" Rozwadowskim założyliśmy zespół Aurora, który miał grać eksperymentalną muzykę. Zamienialiśmy się instrumentami, improwizowaliśmy, wykorzystywaliśmy nagrania z taśm. Ale ponieważ w tym czasie „zaszedłem w ciążę" i czekałem na dziecko, moje myśli zaczęły krążyć wokół innych spraw. Przestałem więc przychodzić na próby. A oni wpadli na pomysł, że będą grali reggae i założyli Izrael. Mijaliśmy się jednak w klubie Hybrydy, bo oni mieli jedną kanciapę, a ja drugą. Przychodziłem tam od czasu do czasu i też zacząłem pisać piosenki reggae. Kiedy Izrael wyruszył w pierwszą trasę koncertową, występowałem tam z Tomkiem „Rastamanem" Szczecińskim jako Goście w Podróży. Nie byłem jednak rastafarianinem i nie chciałem być stałym członkiem Izraela. Pomyślałem więc, żeby wykonywać te piosenki na czadowo.

Reaktywowałeś wtedy Tilt, ale z czasem zwróciłeś się w stronę nowofalowego popu. Nabrałeś apetytu na komercyjny sukces?
Tak to wygląda, ale przyczyna była zupełnie inna. Kiedy reaktywowałem Tilt w 1983 roku z Gogo Szulcem na perkusji i freejazzowym saksofonistą Alkiem Koreckim, graliśmy czadowe piosenki w możliwie jak najszybszych tempach. Na nasz koncert w klubie Medyk przyszli bardzo młodzi adepci punka, wystylizowani na wzór zdjęć z zachodniej prasy, w glanach, w naćwiekowanych skórach, z irokezami na głowach. Za ich sprawą wydarzyło się kilka ekscesów: ktoś kogoś pobił, ktoś kogoś okradł, było sępienie na bełty. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Obawiałem się, że jak się to do mnie przyklei, to się potem nie odklei. Znałem historię brytyjskiej kapeli Sham 69, na koncerty której zaczęli przychodzić skinheadzi-naziści, od których potem zespół nie mógł się nijak uwolnić. Dlatego zdecydowałem, że pójdę inną drogą i będę robił zupełnie inną muzykę, dla szerszej publiczności.

Takie piosenki Tiltu, jak „Runął już ostatni mur", „Mówię ci że", „Rzeka miłości" czy „Jeszcze będzie przepięknie" stały się przebojami. Nie poszedłeś jednak za ciosem.
Kiedy nagraliśmy materiał na debiutancki album Tiltu, nagle wycofał się nam wydawca. Naszemu menedżerowi Piotrowi Nagłowskiemu zajęło dwa lata znalezienie nowego. Gdy Tonpress wreszcie wydał naszą płytę, zespół już nie istniał. Spotkałem wtedy perkusistę Jarka Szlagowskiego, z którym wpadliśmy na pomysł założenia nowej grupy. Zaangażowaliśmy basistę Marcina Ciempiela i powołaliśmy do życia Fotoness. To był zespół z trzema liderami – i nie skończyło się to dla niego dobrze. Rafał Paczkowski, producent muzyczny płyty, tak bardzo się z nią utożsamił, że dograł do naszych piosenek mnóstwo klawiszy. W efekcie efekt końcowy zupełnie nie przypominał pierwotnego projektu.

Po upadku komuny w 1989 roku otworzyły się możliwości budowania kariery na nowych zasadach, tymczasem ty zacząłeś inną pracę: najpierw w dużym koncernie płytowym, potem w radiu i prasie. Dlaczego nie postawiłeś zdecydowanie i jednoznacznie na tworzenie muzyki?
Miałem dwoje małych dzieci. W 1990 roku rynek koncertowy zamarł. Zostaliśmy więc wszyscy bez dochodu. Musiałem utrzymać rodzinę, zająłem więc czymś innym. Pracowałem krótko w pubie, pisałem wraz z Piotrem Nagłowskim raporty marketingowe dla Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego, a kiedy Piotr został szefem polskiego oddziału BMG Ariola, zaproponował mi stanowisko swego zastępcy. Byłem wtedy pełen wiary w wolny rynek i kapitalizm, ale szybko się rozczarowałem.

Dlaczego?
Do moich zadań należało między innymi szukanie polskich artystów, których płyty moglibyśmy wydawać. Od Macieja Pilarczyka dostałem kasetę VHS z występem telewizyjnym grupy Varius Manx, do którego dołączyła właśnie Anita Lipnicka. Uznałem, że ma to ogromny potencjał i zaproponowałem szefom z Monachium wydanie ich płyty. Niestety: Niemcy zareagowali twardym „Nein!". Argumentowali, że wcześniej Varius Manx wydał już dwa albumy i nie odniosły one sukcesu. Nie byli w stanie zrozumieć, że z Anitą to inny zespół i inna muzyka. Było dla mnie tak wielkim rozczarowaniem, że ostatecznie zrezygnowałem z bycia biznesmenem i nagrałem dosyć dziwną, solową płytę – „Nie pytaj mnie".

Twoi koledzy z post-punkowej sceny lat 80., jak Kazik Staszewski czy Muniek Staszczyk, odnieśli w nowej Polsce duży sukces. Ty nie przegapiłeś swojej szansy?
Kazik miał dwa świetne strzały: najpierw rapową płytę „Spalam się", a potem album z piosenkami swego ojca – „Tata Kazika". Z kolei Muniek z T.Love nakręcił genialny teledysk do świetnej piosenki „Chłopaki nie płaczą", który był grany w telewizji na okrągło. A ja najpierw koncentrowałem się na wychowaniu moich dwóch córek, a potem dopadła mnie depresja.

W ostatnich latach właściwie wygasiłeś swą działalność koncertową i nagraniową. Dlaczego?
Miałem świetny zespół, ale coraz trudniej było z graniem koncertów. Lokalni organizatorzy, wywodzący się z młodszych pokoleń, często nie wiedzieli, kim jestem. Wypadłem więc z obiegu koncertowego. Coraz mniej też pisałem nowych piosenek. Pod koniec roku 2024 miałem wypadek na rowerze, po którym musiałem uczyć się chodzić na nowo i którego konsekwencje wciąż odczuwam. Bardzo mnie to zmieniło. Mogę powiedzieć, że właściwie stałem się innym człowiekiem. Okazało się, że mam wokół wspaniałą rodzinę i przyjaciół, którzy otoczyli mnie serdeczną opieką i wspierali w najtrudniejszych chwilach. To cenniejsze od wszystkich zawodowych sukcesów.

Jak zatem widzisz swoją przyszłość?
Nie rozstałem się z muzyką do końca. Gitary leżą pod ręką i nie narzekają na brak dźwięków. W Trójmieście jest wielu wspaniałych muzyków, którzy namawiają mnie na wspólne granie. Na razie zupełnie nie wiem co by to miało być. Na pewno nie chcę odcinać kuponów od tego, co do tej pory zrobiłem, bo już mnie to nudzi, choć wiem, że tak całkiem tego nie uniknę. Nie chcę jednak być zakładnikiem swojej przeszłości. Czas pokaże.

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

Są aktorami jednej roli, która przyniosła im wielką popularność. Potem bywało różnie. Część zrezygnowała z aktorstwa, inni nie doczekali się kolejnych propozycji. Co ciekawe, aktorami jednej roli są najczęściej kobiety.

Anna Gronczewska

GWIAZDY, KTÓRE OLŚNIŁY WSZYSTKICH, ALE ROZBŁYSŁY TYLKO RAZ

Daleko od szosy" to jeden z najpopularniejszych polskich seriali. Anię, wielką miłość, a potem żonę Leszka Góreckiego, zagrała łodzianka Irena Szewczyk. Gdy dostała tę propozycję, miała 29 lat, a rok wcześniej skończyła łódzką Szkołę Filmową. „Daleko od szosy" nie było jej filmowym debiutem. Oglądaliśmy ją między innymi w „Rzeczpospolitej Babskiej" czy „Milionie za Laurę". Do „Daleko od szosy" trafiła przez zdjęcia próbne.

- Cieszyłam się, że to serial - opowiadała w latach siedemdziesiątych „Dziennikowi Łódzkiemu" Irena Szewczyk. - Ale nie zastanowiłam się nad tym, że po pierwszym, drugim odcinku przyjdzie trzeci, szósty. W ciągu jednego dnia będę grać maturzystkę i matkę. Trzeba było się szybko przeistaczać. Dla mnie wszystko działo się w ciągu kilku miesięcy, od stycznia do lipca. Najbardziej bałam się trzeciego odcinka. Był to moment, w którym zaczynałam konkurować z Bronką, do niej widzowie się już przyzwyczaili.

FOT. TVP

Maryna, dziewczyna Janosika, była pierwszą poważną rolą Ewy Lemańskiej, a zarazem ostatnią. Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej satysfakcjonującej propozycji. Grała jeszcze w warszawskich teatrach. W 1980 roku wyjechała z Polski

FOT. TVP

Jolanta Żółkowska i Krzysztof Kołbasiuk byli parą nie tylko na planie serialu „Dom". Basia Lawinówna była pierwszą i ostatnią głośną rolą filmową aktorki

Dwa śluby Ani

Irena Szewczyk, która była wtedy aktorką łódzkiego Teatru Nowego, mówiła że przenosiła wiele zachowań ze swego prywatnego życia do życia Ani, i odwrotnie.

- Mój prywatny ślub odbył się na tydzień przed filmowym - zdradzała. - W filmie dostaję pierścionek od ojca, we własnym - od teściowej.

Co ciekawe, tą teściową była nieżyjąca już Krystyna Bobrowska, zasłużona dla łódzkiej kultury, wieloletnia prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Irena Szewczyk przyznawała „Dziennikowi Łódzkiemu", że prywatnie nie jest tak dalekosiężna jak jej bohaterka.

- Boję się tego co będzie za tydzień, miesiąc, a Ania jest dzielna - wyjaśniała. - Podejmuje niełatwą decyzję, choć wie, że może liczyć tylko na siebie i Leszka.

Rola Ani przyniosła jej wielka popularność.

- Miła pani w sklepie z gospodarstwem domowym obiecała odłożyć mi komplet zagranicznych garnków, gdy jej powiem jak skończy się serial - mówiła „Dziennikowi" Irena Szewczyk.

W 1978 roku wyjechała z Łodzi. Zaczęła grać w warszawskich teatrach, ale w 1984 roku powróciła do rodzinnego miasta i Teatru Nowego. W 1994 roku pożegnała się z aktorstwem. Wyszła drugi raz za mąż. Skończyła pedagogikę na Uniwersytecie Łódzkim. Obroniła doktorat, zrobiła habilitację. Dziś jest profesorem nadzwyczajnym łódzkiej uczelni. Dr hab. Irena Szewczyk-Kowalewska wykładała na wydziale Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Nel wybiera muzykę

Aktorskiej kariery nie zrobiła też Monika Rosca, pamiętna Nel z pierwszej wersji „W pustyni i puszczy". Kiedy ogłoszono casting do tego filmu, zgłosiło się 10 tysięcy dziewczynek. Nel została 8-letnia Monica Rosca z Łodzi. Jak potem pokazało życie, „W pustyni i puszczy" było pierwszym i ostatnim filmem, w którym zagrała. W jej życiu film przegrał z muzyką.

Urodzona w Łodzi w 1961 roku Monika pochodzi z polsko-rumuńskiej rodziny. Nazwisko Rosca zawdzięcza swojemu tacie Feliksowi, który pochodził z Rumunii. Pewnie nigdy nie pojawiłaby się na planie „W pustyni i puszczy", gdyby nie dyrektor szkoły muzycznej, do której chodziła. To on podsunął kandydaturę Moniki filmowcom. Tak dziewczynka pojawiła się na zdjęciach próbnych, przechodząc kolejne eliminacje, by w końcu zapadła decyzja, że zagra Nel. Monica Rosca wspominała po latach, że zdjęcia próbne trwały pół roku.

- Często jeździłyśmy z mamą z Łodzi do Warszawy, mieszkałyśmy w hotelu, to była dla mnie niezapomniana przygoda - opowiadała Monika Rosca. - Początkowo zakładano, że Nel będzie nieco starsza, ale w końcu wybrano właśnie mnie. Tak samo Tomek Mędrzak grający Stasia podobał się od razu producentom, którzy stwierdzili, że wyjątkowo dobrana z nas para.

Monika Rosca wspomina „W pustyni i w puszczy" jako niezapomnianą przygodę.

- Dzięki doświadczeniom z planu, nieźle się zahartowałam - śmieje się dziś Monika, wspominając filmową przygodę. - Kiedy ma się 9 lat i trzeba jeździć na koniu, słoniu czy wielbłądzie, długi czas siedzieć na drzewie, znosić upał lub kąpać w zimnej wodzie, to ma się już odporność na całe życie!

„W pustyni i w puszczy" przyniosło ogromną popularność Monice Rosce i Tomaszowi Mędrzakowi. Monika przyznawała, że ona i Tomek w ciągu zaledwie kilku dni stali się gwiazdami.

- Ludzie nie dawali nam spokojnie przejść na ulicy, prosili o autografy - wspominała. - Dniami i nocami stukali do drzwi naszych mieszkań, a telefon dzwonił niemal non stop.

Monika Rosca została pianistką. Pierwszy raz koncertowała mając 13 lat, trzy lata później zdobyła nagrodę publiczności na konkursie we Włoszech. Z wyróżnieniem skończyła łódzką Akademię Muzyczną. Została adiunktem u nieżyjącego już prof. Tadeusza Chmielewskiego. Dostała stypendium towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Wydała płyty z nagraniami utworów Bacha, Mozarta i Beethovena. Dziś, tak jak Tomasz Mędrzak, mieszka w Warszawie, wiele koncentruje. Między innymi kilka lat była na kontrakcie w Japonii. Po latach razem z Tomaszem Mędrzakiem odwiedzili Egipt, miejsce gdzie kręcono „W pustyni i puszczy".

Dziewczyna Janosika

Któż nie pamięta Maryny, dziewczyny Janosika? Grała ją Ewa Lemańska, wtedy jedna z najpiękniejszych polskich aktorek. Urodziła się w 1949 roku w Łodzi, tu skończyła Szkołę Filmową. Maryna była jej pierwszą

eprasa.pl 88eb43e386

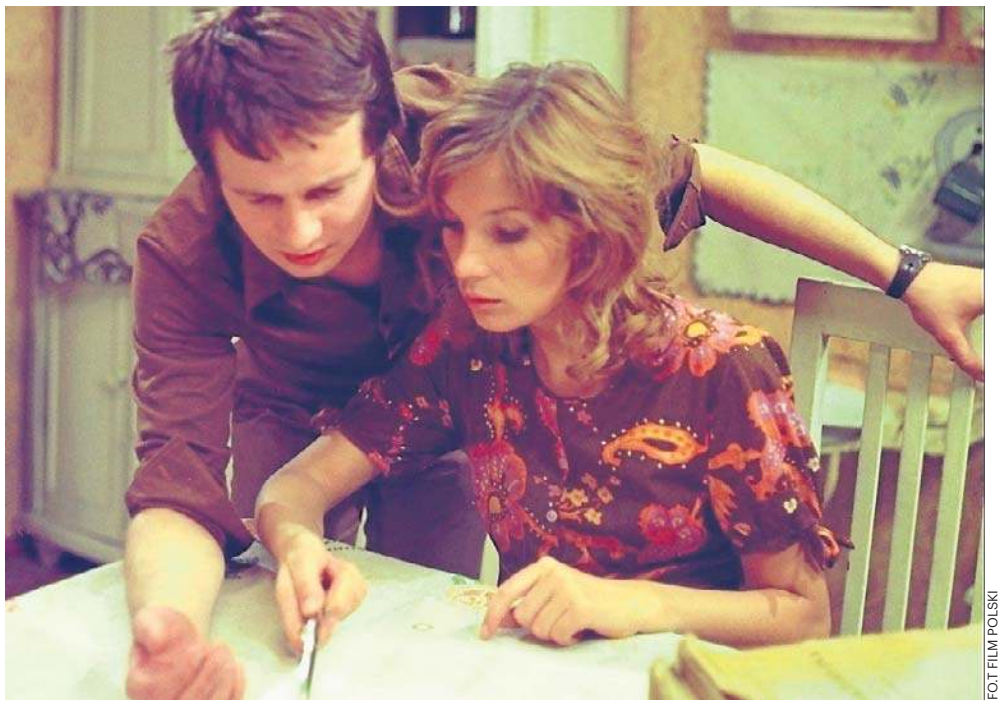

FOT. FILM POLSKI

Irena Szewczyk po roli w „Daleko od szosy" nie zrobiła kariery aktorskiej

FOT. ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO

Grażyna Staniszewska po roli Danusi w Krzyżakach nie dostała dobrych propozycji

poważną rolą, a zarazem ostatnią. Przypomnijmy, że przystojnego Janosika grał Marek Perepeczko. Uchodzili za idealną parę, plotkowano, że na planie zbliżyli się do siebie, ale Ewa Lemańska zapewniała, że nic takiego nie miało miejsca.

- Marek był przyjacielem mojego męża, bronił mnie przed pomysłami innych panów - wyjaśniała w „Pytaniu na śniadanie". - To była porządna przyjaźń.

Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej poważnej propozycji. Grała wtedy głównie w warszawskich teatrach, a w 1980 roku zdecydowała się wyjechać z Polski. Wtedy też rozwiodła się z pierwszym mężem Cezarym Kaplińskim.

Najpierw mieszkała we Francji, potem wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Zaczęła pracować jako modelka. Nie znała dobrze angielskiego, więc nie mogła powrócić do aktorstwa. Pozostała jej rola statystki. W USA wyszła drugi raz za mąż za Olgierda Roycewicza. Zostali rodzicami dwóch synów: Alexa i Briana, obaj zajmują się grafiką komputerową. Związek z Olgierdem rozpadł się po 14 latach. Ewa Lemańska po raz trzeci wyszła za mąż za Anglika Jamesa Rooneya, ale i to małżeństwo się rozpadło.

W 1998 roku mieszkająca na Florydzie aktorka dowiedziała się, że jest chora na raka. Na szczęście udało się jej pokonać nowotwór piersi. Po kilku latach nastąpił nawrót choroby. U Ewy Lemańskiej stwierdzono guza w mózgu, a także czerniaka na palcu u nogi. Palec trzeba było amputować.

- Na szczęście nie mam żadnych przerzutów, a węzły chłonne są wolne od komórek nowotworowych - mówiła dziennikarzom podczas pobytu w Polsce. - Mimo to cały czas jestem pod opieką onkologiczną. Znów wygrałam z rakiem, ale już myślałam, że będę musiała się zbierać na tamten świat.

Pewnie pod wpływem tych przeżyć aktorka skończyła szkołę pielęgniarską, została opiekunką medyczną. Dziś Ewa Lemańska jest na emeryturze i dalej mieszka na Florydzie.

Danusia i Krzyżacy

Dla Grażyny Staniszewskiej i Urszuli Modrzyńskiej „Krzyżacy" byli pierwszym wielkim i tak naprawdę ostatnim w karierze. Zagrały jego główne bohaterki - Danusię i Jagienkę.

Grażyna Staniszewska pochodziła z Łodzi, urodziła się tu 23 lipca 1936 roku, w tym roku obchodziłaby 90. urodziny. Miała 24 lata, gdy Aleksander Ford zaproponował jej rolę Danusi Jurandówny. Reżyserowi zależało, by wielką miłość Zbyszka z Bogdańca zagrała piękna, ale nieznana aktorka. Wybrał Grażynę Staniszewską.

- Danusia musiała mieć jakąś twarz, czyjąś sylwetkę - mówiła potem w wywiadzie aktorka. - Użyczyłam jej swojej i na tym właściwie kończył się mój aktorski wkład. Ford niczego nie narzucał, odzywał się tylko, gdy był z czegoś niezadowolony.

Tłumy Polaków poszły do kina na „Krzyżaków", ale aktorka nie otrzymywała propozycji filmowych. Podobny los spotkał innych aktorów, mówiło się o „klątwie" ciążącej nad filmem. Jeszcze w 1989 roku zagrała w „Lawie" Tadeusza Konwickiego i zakończyła swoją aktorską przygodę.

- Najbliższe są mi role żony, matki, babci i widza, bo jestem z gatunku tak zwanych kur domowych - mówiła przed laty Grażyna Staniszewska. - Poza tym... nie ma na mnie zapotrzebowania. Zamiast więc grać drugie skrzypce lub zadowalać się byle czym, wolę zostać w domu.

Była już wtedy żoną profesora Wojciecha Noszczyka, znanego chirurga. Urodziło się im dwoje dzieci: Bartłomiej i Maria. Oboje zostali lekarzami. Syn specjalizuje się w chirurgii plastycznej, a córka jest dermatologiem. Grażyna Staniszewska zmarła w 2018 roku w Warszawie.

Tragiczna historia Jagienki

Kariery nie zrobiła też Urszula Modrzyńska, która w „Krzyżakach" zagrała Jagienkę. Urodziła się w 1928 roku we wsi Srebniki, w województwie kujawsko-pomorskim. Jej starsza o 10 lat siostra Helena wygrała jeszcze przed wojną konkurs piękności „Tygodnika Filmowego" i została żoną znanego aktora Tadeusza Fijewskiego. To właśnie Tadeusz namówił Urszulę, by została aktorką. Nie kończyła szkoły teatralnej, zdała eksternistyczny egzamin aktorski. Grała w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, poznańskim Teatrze Nowym. W Poznaniu zagrała w „Mieszczanach" Maksyma Gorkiego. Jej partnerem był młody aktor Zbigniew Józefowicz. Już jako małżeństwo wyjechali do Łodzi i tu osiedli. Zaczęli występować w Teatrze im. Jaracza. Małżeństwo doczekało się syna Stasia.

- Muszę sama zajmować się domem, bo o dobrą gosposię w Łodzi jest równie trudno jak wszędzie w Polsce - mówiła aktorka w wywiadzie dla „Filmu". - Sama gotuję, palę w piecu.

Urszula Modrzyńska miała 31 lat, gdy w 1959 roku Aleksander Ford zaproponował jej rolę Jagienki w „Krzyżakach". Był to dla niej trudny czas, bo na trzy miesiące wyjechała z Łodzi na plan „Krzyżaków". Tęskniła za synem.

- Długo nie przyjmę nowej oferty! - mówiła po zakończeniu zdjęć.

Niestety, niedługo po premierze „Krzyżaków" Urszula Modrzyńska poważnie zachorowała.

- Wydawało się, że świat legł u jej stóp, lecz, jak to się często zdarza w aktorskim życiu, olbrzymia popularność obróciła się przeciw niej - przekonywał w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" jej mąż Zbigniew Józefowicz. - Leczenie trwało trzy miesiące. Reżyser Kazimierz Dejmek zaprosił ją do udziału w „Trzech siostrach", które reżyserował w łódzkim Teatrze Nowym. Dejmek jednak na tyle cenił Urszulę, że przesunął premierę spektaklu na kolejny sezon. W tym czasie odwrócił się od niej film.

Nie wiadomo na co zachorowała aktorka. Rodzina tego nie podała. Przez 24 lata żoną troskliwie opiekował się Zbigniew Józefowicz. Urszula Modrzyńska miała problemy z pamięcią, żyła w swoim świecie. W 1986 roku oficjalnie zrezygnowała z aktorstwa. Zmarła w 2010 roku.

Basia Lawinówna

Aktorką jednej roli można nazwać Jolantę Żółkowską, niezapomnianą Basię Lawinównę z serialu „Dom". Urodziła się w 1955 roku w Siedlcach. Po maturze poszła w ślady swojej starszej o pięć lat siostry Joanny. Po studiach w PWST w Warszawie dostała angaż do warszawskiego Teatru Na Woli. Jego dyrektorem był Tadeusz Łomnicki. W tym teatrze spotkała przystojnego aktora Krzysztofa Kołbasiuka. W tym czasie był mężem grającej w tym samym teatrze Doroty Stalińskiej.

Jolanta Żółkowska zagrała w serialu „Dom", którego reżyserem był Jan Łomnicki, brat Tadeusza.

Aktorka była jedną z głównych bohaterek pierwszej serii serialu. Grała Basię Lawinównę, łączniczkę z Powstania Warszawskiego, która szukała swojej powstańczej miłości, poety Łukasza Zbożnego. Grał go Krzysztof Kołbasiuk. To na planie „Domu" miała się rozwinąć ich miłość. Krzysztof Kołbasiuk rozwiódł się z Dorotą Stalińską i związał z Jolantą Żółkowską. Para doczekała się syna Kamila, który dziś jest artystą plastykiem.

Rola Basi Lawinówny nie spowodowała, że aktorka została zarzucona propozycjami. Zresztą niedługo po premierze „Domu" wprowadzono stan wojenny, który był dla aktorów ciężkim czasem. Jolanta Żółkowska postawiła na macierzyństwo.

Grała jeszcze w Teatrze Na Woli, ale w serialach i filmach występowała sporadycznie, w epizodycznych rolach.

W 2006 roku aktorkę spotkało nieszczęście. Zmarł nagle jej partner Krzysztof Kołbasiuk.

- Trudno pogodzić się z taką tragedią - mówiła w wywiadzie. - Nie mam żalu do losu. Wszystko, co w życiu zrobiłam, było po coś. Trzeba pogodzić się z tym, że często nie mamy wpływu na to, co się stanie. Spędziliśmy razem wiele cudownych lat. U jego boku przeżyłam najpiękniejsze chwile mojego życia.

Jolanta Żółkowska jest teraz związana z warszawskim Klubem Kultury Seniora.

FOT. FILM POLSKI

Monika Rosca pożegnała się z filmem po roli Nel, zrobiła za to karierę jako pianistka

eprasa.pl 88eb43e386

Gazeta Wrocławska
Piątek, 3.07.2026

Koleje Dolnośląskie zorganizowały konferencję z okazji dołączenia do floty tego przewoźnika kolejnego pociągu z bydgoskiej fabryki

STĄD WYJEŻDŻAJĄ NASZE POCIĄGI

To tu powstają pociągi Kolei Dolnośląskich, a także wrocławskie tramwaje. Byliśmy w fabryce PESY w Bydgoszczy

Remigiusz Biały

W bydgoskiej Pesie powstają pociągi, które każdego dnia wożą pasażerów Kolei Dolnośląskich. Podczas wizyty w halach produkcyjnych zobaczyliśmy, jak z blach, wózków i setek podzespołów rodzą się Elfy i eco diesle zamawiane przez KD.

– Dla KD dostarczamy pojazdy od 2008 roku, ale nasza współpraca jest zdecydowanie bardziej intensywna od 2020 roku. Uważamy KD za jednego z najlepszych partnerów. To świadomy użytkownik, z właściwym podejściem do utrzymania pojazdów, a niektóre z nich przejeżdżają nawet do 1000 kilometrów dziennie – mówi Jakub Wilda, szef sprzedaży w zakładach PESA Bydgoszcz odpowiedzialny za region południowy.

W 2020 roku podpisano umowę na pięć elektrycznych zespołów trakcyjnych z opcją na kolejne dwadzieścia. Następnie PESA wygrała postępowanie na dziesięć kolejnych pojazdów z możliwością rozszerzenia o dziesięć. To właśnie z tej opcji pochodzi setny pojazd dostarczony w tych dniach Kolejom Dolnośląskim.

Równolegle realizowana jest także umowa na spalinowe eco diesle, które mogą jeździć na uwodorowionym oleju roślinnym. KD zamówiły dziesięć takich jednostek z możliwością rozszerzenia do trzydziestu.

ZDJĘCIA REMIGIUSZ BIAŁY

Jak powstaje pociąg?

Początek procesu wyznacza postępowanie przetargowe, analiza jego specyfikacji i przygotowanie dokumentacji zgodnej z wymaganiami zamawiającego. Jeśli oferta zostaje wybrana, podpisuje się umowę i firma przystępuje do przygotowania produkcji. Po uzgodnieniach dotyczących m.in. uzgodnień technicznch, tapicerki, malataury i malowania czy systemów informacji pasażerskiej projekt trafia na halę produkcyjną. Tam powstaje konstrukcja, która następnie jest spawana, malowana i wyposażana.

W Pesie montowane są także wózki, do których komponenty dostarczają poddostawcy.

Po zabudowie wnętrza pojazd trafia na halę uruchomieniową, gdzie przechodzi testy i przygotowanie do jazd próbnych. Ostatni etap to testy i badania homologacyjne na torze w Żmigrodzie, a po ich zakończeniu składane są dokumenty o dopuszczenie do ruchu.

– Cały proces – od podpisania umowy po finalną dostawę – trwa od 36 do ponad 50 miesięcy z uwagi na złożoność projektów. Sam etap produkcji po skompletowaniu komponentów zajmuje kilka miesięcy, ale znacząco wydłuża go homologacja, która może trwać od dziewięciu do dwunastu miesięcy – dodaje Jakub Wilda.

Co dwa dni wypuszczają jeden pojazd na tory

PESA Bydgoszcz realizuje w tej chwili kilkanaście projektów. Produkuje pociągi, lokomotywy i tramwaje. W produkcji są pojazdy dla kolei rumuńskich, tramwaje, które będą jeździć po Śląsku, czeskie ekodiesle i wiele, wiele innych pociągów. Statystycznie rzecz ujmując, co drugi dzień z bydgoskiej fabryki wyjeżdża jeden pojazd, który następnie wozi pasażerów.

Bydgoski producent w ostatnim czasie zaliczył kamień milowy w swojej historii, wypuszczając na testy pojazd dostosowany do jazdy z prędkością aż 200 km/godz. PESA Bydgoszcz produkuje go dla czeskiego przewoźnika Regiojet.

W bydgoskich zakładach powstają też tramwaje dla MPK Wrocław m.in. najnowsze PESA Twist 146N.

Grupa PESA w Bydgoszczy i Mińsku mazowieckim zatrudnia w sumie prawie 4000 pracowników, a rocznie firma realizuje zamówienia na poziomie miliarda Euro.

eprasa.pl 88eb43e386

PIĘKNIEJSZY NA ŻYWO NIŻ NA INSTAGRAMIE

Gdyby leżał w Europie Zachodniej – to tam woziłby pierwszych masowych turystów Thomas Cook. Gdyby leżał w Polsce – biłby popularnością na głowę Kazimierz Dolny

Szymon Paź

Gdybyśmy niczym ptak wlecieli do Czeskiego Krumlowa od południa, zobaczylibyśmy wznoszące się na wysokiej skale miasto, ze strzelistą wieżą gotyckiego kościoła. Przelatując nad nim ukazałby się naszym oczom ogromny zamek Rožmberków, jego podgrodzie i wielki kompleks klasztorno-pałacowo-browarny. W tle wznosiłaby się niemal 1100-metrowa, porośnięta lasem Kleť. Jesteśmy 140 km na południe od Pragi, 55 km na północ od austriackiego Linzu; niemal u stóp dzikiego i odludnego pasma Szumawy.

Niektórzy twierdzą, że to jedno z tych miejsc, które na Instagramie wygląda gorzej, niż w rzeczywistości. Ale przede wszystkim to jedno z tych miejsc, gdzie na zdjęciach w Internecie nie zobaczymy zawsze tych samych 5 kamieniczek i jednego widoku na zamek. Każdy zaułek, każdy zakręt ulicy wśród setek malowniczych, zabytkowych kamienic odsłania nowy, zachwycający widok.

FOT. SZYMON PAŹ

Bez wojen, bez pożarów i innych katastrof. Historyczne centrum Krumlowa wraz z zamkiem jest na liście UNESCO

FOT. SZYMON PAŹ

Czeski Krumlow to setki kilkusetletnich kamienic

FOT. SZYMON PAŹ

Spływ Wełtawą to doskonały sposób na wypoczynek

Co zobaczyć?

Imponujący zamek Rožmberków, drugi największy w Czechach po praskim Hradzie, z połowy XIII w. i rozbudowywany przez kolejnych właścicieli, w tym. Habsburgów i Schwarzenbergów aż do XVIII w., wznosi się na stromej skale nad Wełtawą. W swojej głównej części renesansowy, zachwyca m.in. zachowanymi malowidłami elewacyjnymi z końca XVI w. Dobudowany w drugiej połowie XVIII w. zamkowy teatr jest jedną z najlepiej zachowanych barokowych scen w Europie. W komnatach zamku mieści się muzeum, w którym można podziwiać m.in. złotą karocę z końca XVII w. Za teatrem rozciąga się wieli park w stylu francuskim ze sceną teatralną, gdzie latem niemal codziennie grane są spektakle.

U stóp zamku rozciąga się podgrodzie - Latrán - z wyjątkowo malowniczą uliczką prowadzącą od Bramy Budziejowickiej na północy do mostu na Wełtawie prowadzącego do Wewnętrznego Miasta. Z jednej strony wznosi się zamek, z drugiej rozciąga się d. klasztor minorytów (w średniowiecznych wnętrzach mieści się m.in. muzeum) i kompleks pałacowo-browarny. Oba połączone są dużymi, otwartymi ogrodami. W renesansowym pałacu i części budynków browaru mieści się centrum kulturalne Port 1560. W innym budynku browaru wciąż warzy się lokalne piwo.

Wewnętrzne Miasto, czyli właściwe stare miasto wznosi się na skale nad niemal pełnym zakolem Wełtawy. Nad rzeką rozgościły się młyny i browary, nieco wyżej mieszczańskie domy, które przetrwały w niemal niezmienionym kształcie do dziś. Ratusz przy rynku jest skromny - za renesansową fasadą kryją się połączone gotyckie kamienice. Najbardziej monumentalne budowle rozgościły się na szczycie - gotycki, świetnie zachowany kościół św. Wita, sąsiadujące z nim gotyckie probostwo i szkoła parafialna, barokowa prałatura i renesansowe kolegium jezuickie. Z tarasu widokowego obok muzeum regionalnego rozciąga się spektakularny widok na Wełtawę, podgrodzie, stare miasto i zamek.

Idąc dalej, po przejściu przez wysoki most nad kanałem młyńskim, znajdziemy się na historycznym przedmieściu za Bramą Górną. Możemy stąd wejść do sanktuarium na Górze Krzyżowej, skąd rozciąga się piękna panorama Krumlowa. Idąc wzdłuż Wełtawy, wśród domków zbudowanych na wysokim klifie, możemy przejść na przedmieście Plešivec. Znajdziemy tu m.in. bardzo przyjemny park miejski nad Wełtawą, krumlowska synagoga i domek-atelier malarza Egona Schielego. Warty uwagi jest też małomiasteczkowo-wiejski pleszywiecki rynek, z którego możemy podejść do zamkowych ogrodów.

Co zobaczyć wokół?

Czeski Krumlow jest nieduży. Spieszący się turysta obejdzie miasto w pół dnia i zdąży jeszcze zasiąść w czeskiej gospodzie. Ci, którzy chcą tam spędzić więcej czasu, zwiedzić zamek czy inne muzea, obejrzeć plenerowy spektakl czy dłużej odpocząć, mogą z łatwością znaleźć w pobliżu miasta wiele innych miejsc wartych zobaczenia.

Na pewno jest nim przełom Wełtawy wijącej się malowniczo przez Szumawę i jej podgórze. Spływając rzeką (to bardzo popularne - na kajakach, pontonach, tratwach) od Zbiornika Lipnowskiego warto zatrzymać się w Wyższym Brodzie, z majestatycznym opactwem cysterskim, Rožmberku nad Wełtawą, czyli miniaturką Krumlowa z kolejnym zamkiem potężnego rodu. Płynąc dalej z Krumlowa warto zwrócić uwagę na gotycki klasztor cysterski w Złotej Koronie i ruiny gotyckiego zamku na Kamieniu Dziewicy. Na całej długości rzeki jest wiele przystani, kempingów i punktów gastronomicznych.

Miłośnicy górskich wędrówek mogą wybrać się m.in. na szczyt Kleť (około 2,5 godziny w jedną stronę), prowadzi tam też kolej linowa z Krasetina.

Zaledwie 30 minut jazdy od Krumlowa leżą Czeskie Budziejowice - stolica Kraju Południowoczeskiego ze średniowiecznym centrum (większym niż w Poznaniu) i zabytkami wysokiej klasy (m.in. barokowym ratuszem, gotyckim klasztorem dominikanów i licznymi zabytkowymi kamienicami). Perełką są też Holaszowice - średniowieczna wieś wpisana na listę UNESCO. Dla fanów historii i wojskowości (i gry Kingdom Come: Deliverance) atrakcją będzie wizyta w skansenie w Trocnowie; tam urodził się Jan Żiżka.

Auto, z pewnością wygodne, nie jest niezbędne. Do większości tych miejsc dojedziemy komunikacją publiczną, choć konieczne mogą być przesiadki. Bardzo dobry, rozbudowany rozkład jazdy można znaleźć na stronie idos.cz.

Co i gdzie zjeść?

W rejonie Krumlowa dość silne są wpływy austriackie i niemieckie, warto więc wziąć pod uwagę sznycle (cz. řízek), wywar wołowy z knedlem wątrobowym (cz. hovězí s játrovými knedlíčky), knedle z morelami, a na słodkie - strudle. Lokalne pochodzenie ma kulajda - grzybowa z ziemniakami. Na śniadanie warto rozejrzeć się za typowymi dla Czech kanapkami z obkładem (cz. chlebíčky), które można znaleźć w delikatesach (cz. lahůdky), piekarniach i sklepach spożywczych.

Sam polecam w Krumlowie trzy miejsca: kawiarnię Caffé Klášter (także na śniadania), Bistro Na Krajíčku (z kuchnią czeską nieco „na nowo") oraz restaurację Švejk. Wszystkie znajdują się na Latránie.

Jak się dostać?

Z Poznania do Krumlowa zajedziemy samochodem w około 8 godzin. Wyprawa pociągiem, z przesiadkami w Pradze i Czeskich Budziejowicach, zajmie co najmniej 9,5 godziny. Bilety na całą trasę można kupić na stronie Kolei Czeskich, ceny zaczynają się od 160 zł w jedną stronę. Najszybszym i często najtańszym sposobem jest lot z Poznania do Pragi (ceny od 70 zł), a następnie przejazd autobusem Regiojet (ceny od 41 zł). Taką podróż można odbyć w 5-6 godzin.

eprasa.pl 88eb43e386

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 6.

POZIOMO: 1) kiedyś się dobierali jak w tej mierze, 4) ryba ze łba, 7) do niej o 15.10, w westernie, 8) aktorka, pisarz i pirat, 9) grecka Wenus, 10) na co się często narzeka?, 11) litera kłania się po dziewczęcemu, 12) bardzo twardy węglik, 14) w pracy i w zawodach, 17) sycylijska perełka, 21) spec od czepiania, 24) zwierzęca choroba z kręceniem, 27) krótki po małej stracie, 28) harcerski, poranny itd., 29) bywa przed tonem, motem i vivantem, 30) grecka zagadka, szyfrowała Niemcom, 31) mebel równy posadce.

PIONOWO: 1) Niemiec przyzywa coś wyjątkowego, 2) miasto każące zakopać, 3) metal końskiego okrycia, 4) nawała ogniowa, 5) jedna z tańczących u German, 6) barbus barbus karpiowata, 13) Bravo i Grande, 15) pod nią padł Władysław III, 16) dziadek Kanaana, 18) nakaz tańca wydany Cygance, 19) śmieje się na plaży, 20) bywa zaczepno-odporny, 22) u entuzjasty i u armaty, 23) z klipy do krzewu pomidorowego, 25) przodek pogrzebacza, 29) pod ornatem.

Rozwiązanie z 19.06.2026 r.

Hasło: GEORGINIA

POZIOMO: ceper, buldog, Etna, comber, tłumik, sumowanie, lura, fregata, niebo, Loara, Ameryka, Kaliban, tropiki, uzda, magister.

PIONOWO: centryfuga, pokuszenie, redis, bachor, dybanie, garderobiana, kult, muallaki, Wanda, Andy, Albert, marsz, rupia, luki, Kim.

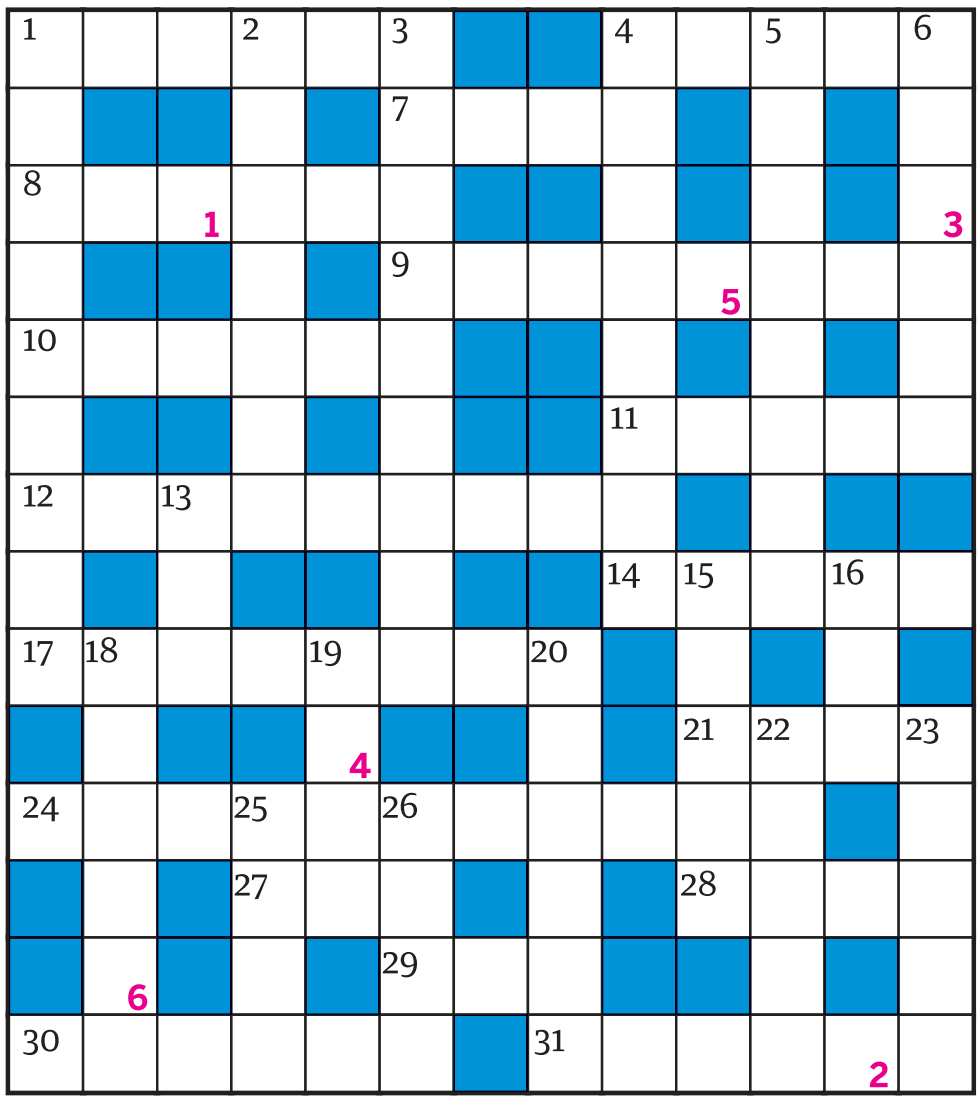

1	2	3	4	5	6

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ANNA LEWANDOWSKA

Cholernie się boi

Kilka dni temu ogłoszono, że Robert Lewandowski zostanie niebawem zawodnikiem amerykańskiej drużyny Chicago Fire. To oznacza, że jego rodzina będzie musiała przeprowadzić się z Barcelony za ocean. Żona piłkarza we wtorek wieczór opublikowała na Instagramie obszerny wpis, w którym podzieliła się z fanami swymi emocjami. „Choć powinnam pisać o ekscytacji, to dziś chcę wam powiedzieć jedno: cholernie się boję. Ostatnie tygodnie to dla mnie rollercoaster skrajnych emocji. Barcelona stała się moim domem. Moim bezpiecznym miejscem, które pokochałam całym sercem. Myśl o tym, że znowu muszę się spakować, zostawić to, co zbudowałam, i zacząć trochę od nowa, po prostu mnie przeraża.

KLAUDIA HALEJCIO

Pokazała swe szczęście

W minioną niedzielę celebrytka potwierdziła oficjalnie, że wyszła za mąż za Oskara Wojciechowskiego, publikując na Instagramie wideo ze ślubu. Możemy na nim podziwiać nie tylko ujęcia z kościoła i przysięgi, ale i samego wesela, gdzie Halejcio szalała z mężem i zgromadzonymi gośćmi. W dniu ślubu padał deszcz, ale nie pokrzyżowało to celebrytce i jej gościom szampańskiej zabawy. Na ślubie i weselu Halejcio zaprezentowała kilka różnych kreacji, zarówno eleganckich sukienek, jak i mniej zobowiązujących strojów. „Jeśli szczęście można zamknąć w kilku minutach filmu, to wygląda właśnie tak" – podpisała nagranie Halejcio.

MARINA ŁUCZENKO-SZCZĘSNA

Miała piękny dzień

Celebrytka ma z Wojciechem Szczęsnym dwójkę dzieci: dwuletnią córkę Noelię i ośmioletniego syna Liama. W miniony wtorek chłopiec obchodził urodziny. Jego dumna mama oczywiście odnotowała to w swych mediach społecznościowych. „Osiem lat temu zostaliśmy rodzicami naszego wspaniałego chłopca. Bądź zdrowy i szczęśliwy synku. To był piękny dzień" – napisała celebrytka. Na małego solenizanta czekały balony oraz skromny tort – utrzymany w barwach FC Barcelony. W sekcji komentarzy zaroiło się od życzeń i ciepłych słów od internautów.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Klaudia Halejcio na ślubie i weselu zaprezentowała kilka różnych kreacji

ANNA MUCHA

Bluzgała z rana

W minioną środę rano aktorka wybrała się ze swym psem na poranny spacer nad Wisłę. Niestety – niespodziewanie podniosło się jej ciśnienie, co udokumentowała na filmiku wrzuconym na Instagrama. – Strasznie mnie wkur...a! Przepraszam, wiem, że jest rano. Syf po prostu i malaria. Brud, plastik, butelki i pety. Ja nie wiem. Dlaczego ludzie przychodzą nad Wisłę i syfią? Nie kumam – powiedziała podniesionym głosem. A po chwili nieco spokojniej dodała: – Ale chciałam powiedzieć o czymś bardzo pozytywnym: tu jest małż. Żyje, więc chyba nie jest tak najgorzej z naszą Wisłą. Przepraszam za bluzgi z samego rana, ale naprawdę, sprzątajcie po sobie. Tylko tyle. Weź ten jeden śmieć, który nie jest twój, ale weź go – zaapelowała.

IWONA WĘGROWSKA

Stres ją zjadł

Choć śpiewa dziś rzadziej niż kiedyś, jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych. Ostatnio wokalistka wrzuciła na Instagrama swe zdjęcie, na którym widać, jak kroczy po czerwonym dywanie w kreacji z wyciętym pozłacanym gorsetem i jasnym dołem z dużym rozcięciem na wysokości uda. W opisie dołączonym do fotografii Węgrowska obwieściła, że schudła. „Waga 59. (...) Dla tych co pytają, na jakiej diecie chudnę: kochani, stres mnie zjadł. Okazało się, że mam nerwicę żołądka od 3 lat. Od grudnia zdiagnozowaną przez lekarzy. Dbajcie o siebie! Zdrowie jest najważniejsze. Życie jest krótkie i walczcie o swoje" – wezwała fanów.

MAŁGORZATA TOMASZEWSKA

Nie miała paska

W miniony piątek dzieci i młodzież zakończyły rok szkolny. Z tej okazji prezenterka zamieściła na Instagramie zdjęcie swego syna Enzo ze świadectwem szkolnym. Złośliwi internauci od razu zareagowali pytaniami: „A czerwony pasek, gdzie?". Kilka dni później Tomaszewska opublikowała kolejny wpis. Składało się nań zdjęcie dyplomu, za sprawą którego stała się w 2013 roku magistrem psychologii Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. „Ukończyłam studia z wynikiem dobrym. W szkole nigdy nie miałam czerwonego paska. W domu oceny nie były wyznacznikiem mojej wartości. Dzięki temu uczyłam się przede wszystkim z ciekawości i własnej motywacji, a nie po to, żeby zdobyć kolejne wyróżnienie" – podpisała fotografię.

Gazeta WROCŁAWSKA
www.gazetawroclawska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Anna Bijak-Bednarska**

Redakcja ul. św. Antoniego 2/4 (wejście A, I p.)
50-073 Wrocław, **tel. 71 37 48 151, 71 37 48 100**
redakcja@gazeta.wroc.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia 41-203
Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetawroclawska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 88eb43e386

DROBNE

Gazeta WROCŁAWSKA

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?
Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:
Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132
Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00

BIURA W REGIONIE: • **Jelenia Góra,** tel. 797 607 853 • **Legnica,** tel. 514 800 870 • **Syców,** tel. 514 800 969 • **Lubin,** tel. 514 800 969 • **Wałbrzych**, tel. 502 499 983 • **Głogów,** tel. 798 751 830 • **Świdnica,** tel. 502 499 983

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel. 504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

KUPIĘ udział w mieszkaniu 500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania, pokoju tel. 504-358-452.

DOMY - SPRZEDAM

POZNAŃ Grunwald 300m^2 500 619 633

SPRZEDAJĘ dom wolnostojący w Złotym Stoku. Nieruchomość ma 5 pokoi i użytkowe poddasze. Zbudowano go z cegły w 1999 roku, a jego stan wykończenia pozwala na zamieszkanie od zaraz. Na terenie znajduje się garaż, piwnica. Ogrzewanie zapewniają biomasa i kominek. Działka ma powierzchnię 1202 m^2, a ogrodzenie jest murowane. Dom znajduje się w atrakcyjnej lokalizacji. Tel. 517-308-685.

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA 3800m^2, pięknie położona, przy trasie Poznań - Gniezno, pełne uzbrojenie, WZ, 883 635 324

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki hamulcowe - wymiana okładzin. Świdnica. www.metalowiec.com Tel. 728-493-565.

Praca

ZATRUDNIĘ

Drogowców oraz budowlańców do pracy w Niemczech. Tel. 739 432 889, 00 49 171 687 66 95

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

ZATRUDNIĘ kierowców C+E
w transporcie międzynarodowym
System 2/1, 12/3 dni
Wynagrodzenie pakiet mobilności- 510 zł doba
ZUS płacony od 9420 zł
Nowa flota pojazdów, naczepy izotermy
tel. 731 091 399

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

PEŁNY remont mieszkań 665-939-825

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

Pranie dywanów, wykładzin, tapicerki meblowej, 505087474.

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1050zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA- pokoje z łazienk., 606-687-996.

MIĘDZYZDROJE. Pokoje blisko morza. Tel. 885113871.

MORZE Ustronie Morskie, pok. z łaz. VII, VIII promocja! Tel. 503-936-581.

USTKA - ośrodek wypoczynkowy. Promocje! Wczasy 604-486-413 www.morski101.pl

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

REKLAMA 0011541626

TNS

Firma TNS Sp. z o.o.
zatrudni w zakładzie produkcyjnym TNS Zawadzkie oraz na kontraktach zagranicznych w Niemczech osoby na stanowisku:

Spawacz / Ślusarz

Miejsce pracy: Niemcy

Opis stanowiska:
• spawanie półautomatem - metoda 135 lub 141; wszystkie pozycje;
Wymagania:
• doświadczenie zawodowe;
• umiejętność pracy w zespole;
• zaangażowanie, sumienność, dyspozycyjność;
• umiejętność posługiwania się elektronarzędziami;
Oferujemy:
• stabilne zatrudnienie na podstawie umowy o pracę w pełnym wymiarze godzin w dynamicznie rozwijającej się firmie;
• atrakcyjne wynagrodzenie w zależności od posiadanych umiejętności i zaangażowania;
• możliwość rozwoju zawodowego.

Osoby zainteresowane prosimy o przesyłanie aplikacji na adres mailowy:
krzysztof.piszczalski@tns.pl
Tel. 533-364-804

Prosimy o dopisanie klauzuli: Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych dla potrzeb niezbędnych w procesie rekrutacji.

REKLAMA 0011459132

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011546841

ZAWIADOMIENIE
BURMISTRZ ŚRODY ŚLĄSKIEJ

zawiadamia, że w okresie od 3.07.2026 r. do 24.07.2026 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej, pl. Wolności 5, na tablicy ogłoszeń przy pokoju nr A-7 zostanie wywieszony wykaz nieruchomości – gruntów przeznaczonych do dzierżawy w trybie bezprzetargowym na okres do 3 lat na rzecz dotychczasowego dzierżawcy.
- działki nr 62/13 AM-14 o pow. 19 m² oraz 62/15 AM-14 o pow. 20 m² w Środzie Śląskiej przy ul. Kolejowej 47, z przeznaczeniem do wykorzystania jako grunt pod wiatami.

Wykaz umieszczony jest na stronach internetowych Gminy Środa Śląska pod adresem: www.srodaslaska.pl oraz bip.srodaslaska.pl

REKLAMA 0011548556

OBWIESZCZENIE
o przyjęciu dokumentu wymagającego udziału społeczeństwa oraz możliwości zapoznania się z jego treścią

Na podstawie art. 43 ustawy z dnia 3 października 2008 r. *o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko* (t.j. Dz.U. z 2026 r. poz. 670) zawiadamiam o podjęciu uchwał nr:

- XXVI/230/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Gogołowice,
- XXVI/231/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Kłopotów,
- XXVI/232/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Gorzelin,
- XXVI/233/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Składowice,
- XXVI/234/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Szklary Górne,
- XXVI/235/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentów obrębu Zimna Woda,
- XXVI/236/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Lisiec,
- XXVI/237/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 26 maja 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla fragmentu obrębu Siedlce,
- XXVII/246/2026 Rady Gminy Lubin z dnia 09 czerwca 2026 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy Lubin dla obrębu Szklary Górne.

Jednocześnie informuję o możliwości zapoznania się z treścią wyżej wymienionych dokumentów i z uzasadnieniami, o których mowa w art. 42 pkt 2 ww. ustawy oraz z podsumowaniami, o których mowa w art. 55 ust. 3 ww. ustawy, w siedzibie Urzędu Gminy w Lubinie, ul. Księcia Ludwika I 3, 59-300 Lubin, oraz w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Gminy w Lubinie pod linkiem: https://bip.ug.lubin.pl/6274.

eprasa.pl 88eb43e386

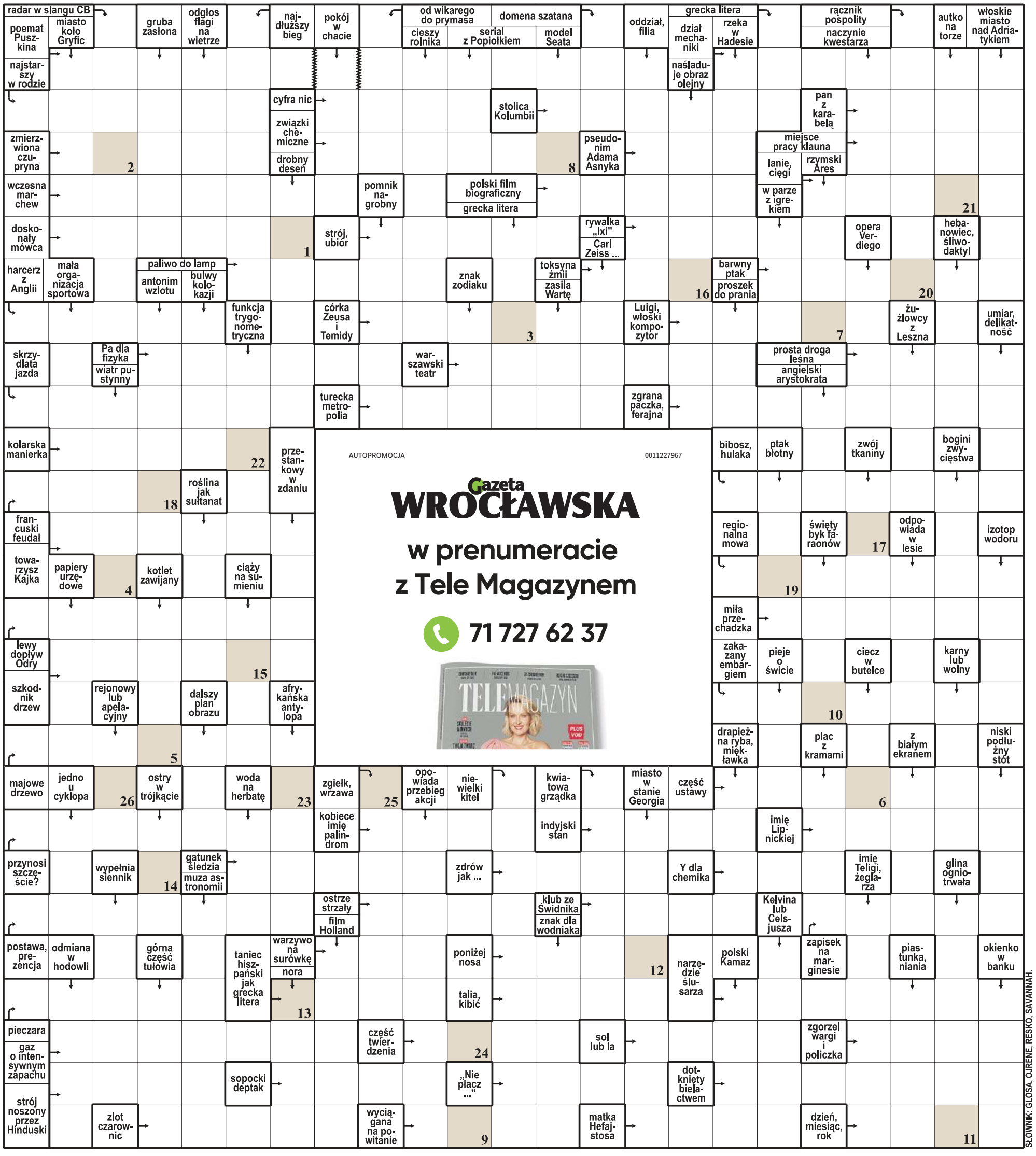

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26, utworzą rozwiązanie: myśl Owidiusza.

ROZWIĄZANIE: RZECZY SIĘ STAJĄ, IDEE ISTNIEJĄ.

eprasa.pl 88eb43e386

Wybawca Kane, wątpliwy karny Belgii i spokojny awans USA

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Anglia i Belgia odwróciły wynik w meczach z drużynami z Afryki i awansowały do 1/8 finału mistrzostw świata. USA w „dziesiątkę" poradziły sobie z Bośnią i Hercegowiną.**

Reprezentacja Anglii strasznie męczyła się z drużyną Demokratycznej Republiki Konga. W 7. minucie niespodziewanie pomocnik Bryan Sipenga dał drużynie DR Kongo prowadzenie strzałem z bliskiej odległości. Zespół „Trzech Lwów" przez niemal 70 minut nie mógł znaleźć sposobu na wyrównanie. Dopiero w 75. minucie napastnik reprezentacji Anglii Harry Kane wziął sprawy w swoje ręce i uderzeniem głową doprowadził do stanu 1:1. A w 86. minucie otoczony przez trzech obrońców, uciekł wszystkim, poprawił swoją pozycję i strzałem z dystansu w okienko zapewnił Anglii zwycięstwo 2:1.

Kane zdobył już na obecnym mundialu 5 bramek, a 13 razy trafiał do siatki w historii mistrzostw świata, co pozwoliło mu wyprzedzić Pelego z 12 golami i usadowić się na 7. miejscu w klasyfikacji strzelców mundiali (prowadzi Argentyńczyk Lionel Messi z 19 bramkami przed Francuzem Kylianem Mbappe z 18 golami i Niemcem Miroslavem Klose z 16 trafieniami).

Harry został pierwszym piłkarzem w historii reprezentacji Anglii, który strzelił dwa gole po 75 minutach regulaminowego czasu gry w meczu na mistrzostwach świata.

Kane strzelił też 84 w reprezentacji Anglii, czym zrównał się z Ferencem Puscasem pod względem liczby goli w drużynie narodowej i razem ze słynnym Węgrem zajmuje 9. miejsce w klasyfikacji reprezentacyjnych strzelców wszech czasów, w której prowadzi Portugalczyk Cristiano Ronaldo - 145 goli przed Leo Messim - 123 gole i Irańczykiem Ali Daei - 109 goli (Robert Lewandowski z 89 bramkami jest siódmy w tym zestawieniu).

FOT. EPA/PAP

Kapitan reprezentacji Anglii Harry Kane wybawił zespół „Trzech Lwów" z opresji w meczu 1/16 finału z DR Konga

- Szczerze mówiąc, to uczucie jest po prostu niesamowite. Co za szalony mecz! To bardzo uparta drużyna, ale po pierwszej przerwie na drinka graliśmy znacznie lepiej, chociaż ich bramkarz popisał się kilkoma niesamowitymi obronami. Rozmawialiśmy o tym, że nadchodzi czas, aby ktoś coś zrobił, i że każdy może być bohaterem. Dziś ja zostałem tym bohaterem - skomentował swój występ Kane.

Anglia zagra z Meksykiem w 1/8 finału w poniedziałek, 6 lipca, o godzinie 2.00 czasu środkowoeuropejskiego.

Reprezentacja Belgii uniknęła porażki w regulaminowym czasie gry z Senegalem, przegrywając 0:2 do 85. minuty. Bramki Romelu Lukaku i Youriego Tielemansa doprowadziły do dogrywki, w której „Czerwone Diabły" strzeliły trzeciego gola z kontrowersyjnego rzutu karnego. Sędzia Said Martinez z Hondurasu, mimo interwencji VAR, podyktował rzut karny po faulu Lamine Camary na Tielemansa, mimo że podcięcie nastąpiło poza „szesnastką". Sam poszkodowany zamienił „jedenastkę" na zwycięską bramkę, dającą awans do 1/8 finału.

Gol Tielemansa w 120+5 minucie z rzutu karnego (124 minuta i 43 sekunda) okazał się najpóźniej strzelonym w historii mistrzostw świata. Wcześniej takim osiągnięciem szczycił się Algierczyk Abdelmoumene Djabou, który zdobył bramkę w 120. minucie i 49. sekundzie w 1/8 finału z Niemcami (1:2) w 2014 roku.

Reprezentacja Stanów Zjednoczonych pokonała Bośnię i Hercegowinę 2:0. W ostatniej minucie pierwszej połowy Amerykanom udało się zamienić przewagę na bramkę Folarina Baloguna, który skierował odbitą piłkę od obrońców między nogami bramkarza Nikoli Vasilja. To trzeci gol amerykańskiego napastnika na mundialu 2026 roku na swojej ojczystej ziemi.

W 64. minucie Balogun sfaulował środkowego obrońcę Tarika Muharemovicia, za co ujrzał czerwoną kartkę i choć „Jankesi" przez pół godziny grali w osłabieniu, udało im się zdobyć drugą bramkę - Malik Tillman z rzutu wolnego.

Na pocieszenie gości - bośniacki napastnik Edin Džeko zapisał się w historii - mając 40 lat i 106 dni został pierwszym zawodnikiem z pola w wieku 40 lat lub starszym, który zagrał w fazie pucharowej mundialu.

Reprezentacja USA po raz czwarty w historii pokonała drużynę z Europy na mistrzostwach świata. Tym razem wydarzyło się to w meczu 1/16 finału z Belgią. Wcześniej w 1930 roku zwyciężyła 3:0 Belgię, w 1950 roku 1:0 Anglię i w 2002 roku 3:2 Portugalię.

Tym samym wszystkie trzy drużyny będące gospodarzami mistrzostw świata - USA, Kanada i Meksyk awansowały do 1/8 finału turnieju.©℗

Rzucił klątwę na Messiego i Argentynę. Czy dojdzie do największej sensacji XXI?

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Kończymy 1/16 finału MŚ 2026. W nocy z piątku na sobotę ostatnie mecze tej rundy w fazie pucharowej.**

Argentyna zmierzy się z Republiką Zielonego Przylądka w 1/16 finału. Tymczasem sporo emocji wywołała wypowiedź szamana, który przewiduje sensacyjny scenariusz. Według Nany Kwaku Bonsamy debiutująca reprezentacja ma sprawić niespodziankę i awansować do kolejnej rundy. Co więcej, jego zdaniem Leo Messi wyczerpał już swój „limit" bramek na turnieju, który ma zatrzymać się na sześciu trafieniach.

Niezależnie od tej przepowiedni Messi stanie przed szansą powiększenia dorobku bramkowego. Argentyńczyk ma już 19 goli w klasyfikacji strzelców wszech czasów mistrzostw świata, czyli o jedno więcej od goniącego go Kyliana Mbappé.

Tuż za nimi znajduje się Erling Haaland. Początek meczu Argentyny z Republiką Zielonego Przylądka w sobotę, 4 lipca o północy czasu polskiego. Transmisja w TVP 1 i TVP Sport. Skomentują go Maciej Iwański oraz Radosław Gilewicz.

Kilka godzin wcześniej o awans powalczą Australia i Egipt. Obie reprezentacje zajęły drugie miejsca w grupach. „Kangury" ustąpiły jedynie współgospodarzom turnieju - Stanom Zjednoczonym, natomiast Egipt zakończył fazę grupową za plecami Belgii. Początek spotkania w piątek o godz. 20.00. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.

W meczu Kolumbia - Ghana poznamy ostatniego uczestnika 1/8 finału. Zdecydowanym faworytem jest Kolumbia, która wygrała grupę K, wyprzedzając Portugalię. Ghana awansowała z trzeciego miejsca, kończąc fazę grupową z dorobkiem 4 punktów, za plecami Chorwacji i Anglii. Początek spotkania w nocy z piątku na sobotę o godz. 3.30 czasu polskiego. Transmisja w TVP 2 i TVP Sport.

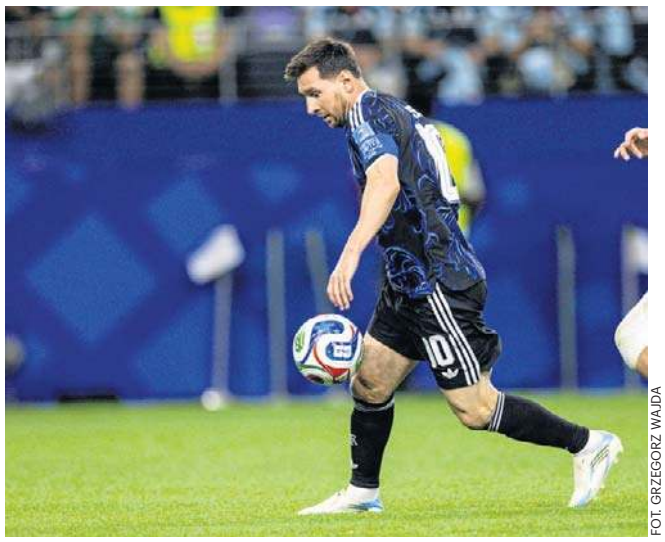

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Na Argentyńczyka Leo Messiego padła klątwa jednego z afrykańskich szamanów. Czy będzie skuteczna?

Hubert Hurkacz: Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda

Agnieszka Bialik z Londynu
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **- Mój trener lubi dopracowywać detale, na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać - przekonuje Hubert Hurkacz.**

Jakie to uczucie być w trzeciej rundzie, po powrocie po kontuzji?
Cieszę się z wygranej, nieważne czy bez straty seta, czy nie. I że będę miał kolejne wyzwanie na mojej drodze. Ambicje mam na pewno większe niż trzecia runda. Każdy mecz na wielkim szlemie jest dużym wyzwaniem. To był trudny mecz, zwłaszcza w pierwszym secie.

Pana kolejnym rywalem będzie Amerykanin Tommy Paul, aktualnie 25. rakieta świata, finalista turnieju w Queens, imprezy poprzedzającej Wimbledon. Graliście cztery razy, trzy z tych spotkań pan przegrał. Jaki to przeciwnik?
Skoro przegrałem trzy razy - to znaczy, że to nieprzyjemny rywal (śmiech). Ma bardzo dobry return i świetnie porusza się po korcie. W ostatnich latach miał dobre wyniki i był w finale w Queens dwa tygodnie temu, więc na trawie czuje się świetnie. Będzie to dobre sprawdzenie moich umiejętności.

Z jakiego elementu gry jest pan najbardziej zadowolony po tych dwóch wygranych?
Grałem równo, solidnie, w kluczowych momentach, kiedy rywal miał okazję na przełamanie, podnosiłem swój poziom. Ważne, że utrzymywałem swój serwis. Dzięki temu wywiera się większą presję na przeciwniku. Łatwiej jest też o szanse i okazje dla siebie.

Jeden z punktów zdobył pan po pięknym rzucie na kort i zagraniu woleja. Czy nie boi się pan takich uderzeń? Przy okazji takiego właśnie zagrania nabawił się pan kontuzji na Wimbledonie dwa lata temu...
Cała rekonwalescencja i powrót były dość ciężkie. Przez kilka miesięcy w ogóle nie mogłem się ruszać. Zabiegi nie dawały poprawy przez długi czas, aż a końcu zacząłem robić progres. Miałem okazję zrobić cały okres przygotowawczy. Pomału nabierałem większej pewności siebie.

Od niedawna pana trenerem jest Francuz Gilles Cervava, który w przeszłości doprowadził Rosjanina Daniła Miedwiediewa do triumfu w wielkoszlemowym US Open. Czy różni się od poprzednich pana szkoleniowców?
To ciekawy szkoleniowiec, niesamowita postać. Jest inny niż poprzedni moi trenerzy. Bardzo dba o szczegóły, ważna dla niego jest komunikacja ze sztabem, z teamem. Lubi dopracowywać detale, by wszystko grało. Na korcie skupia się na jakości. To charyzmatyczna postać.

W pana boksie pojawiła się tajemnicza pani...
To moja wspaniała dziewczyna, Joanna, która jest dla mnie cudownym wsparciem. ©℗

eprasa.pl 88eb43e386

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 1.07
Multi Multi – godz. 22:00
6, 17, 20, 22, 23, 25, 27, 29, 32, 33, 40, 41, 42, 45, 54, 55, 56, [69], 73, 75
Mini Lotto
26, 31, 32, 33, 36

Kaskada – godz. 22:00
1, 2, 4, 7, 8, 9, 13, 15, 16, 18, 19, 22
Ekstra Pensja
10, 16, 26, 34, 35 + 2
Ekstra Premia
15, 17, 22, 23, 34 + 2

CZWARTEK, 2.07
Multi Multi – godz. 14:00
6, 11, 13, [14], 33, 40, 46, 46, 48, 52, 53, 54, 57, 60, 63, 65, 66, 67, 69, 80
Kaskada – godz. 14:00
1, 2, 5, 6, 10, 11, 14, 16, 21, 22, 23, 24

SPORT

www.sportowy24.pl

Kolejny mecz na szczycie z udziałem Sparty

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

ŻUŻEL. **Betard Sparta do dzisiejszego meczu z Fogo Unią podejdzie jako lider PGE Ekstraligi. Wiele wskazuje na to, że zwycięzca tego spotkania wygra rundę zasadniczą.**

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Betard Sparta przed startem tegorocznego sezonu PGE Ekstraligi dwukrotnie mierzyła się z Fogo Unią w sparingach. Oba mecze wygrali Leszczynianie

Rzadko zdarza się, aby jakikolwiek zespół w ciągu tygodnia rozegrał aż dwa mecze na szczycie ligowej tabeli. Taka sytuacja przydarzyła się jednak Betard Sparcie. Wrocławianie w ubiegły piątek pewnie pokonali na Stadionie Olimpijskim Bayersystem GKM Grudziądz 51:39 i z drugiego miejsca wskoczyli na pozycję lidera. Dziś czeka ich starcie ze znajdującą się tuż za ich plecami Fogo Unią. Należy jednak podkreślić, że obie drużyny mają na koncie po 17 punktów.

Tegoroczna walka o udział w play-offach jest najciekawsza od lat, po 10. kolejce aż sześć ekip ma szansę na awans do kolejnej fazy. W takich okolicznościach każdy punkt w tabeli może okazać się na wagę złota.

„Spartanie" udają się do Leszna bez Daniela Bewleya, który wciąż przechodzi żmudną rehabilitację po złamaniu kości udowej. Trener Piotr Protasiewicz po każdym meczu podkreśla, że cały proces powrotu Brytyjczyka do zdrowia przebiega zgodnie z planem, ale z uwagi na fakt, że 27-latek doznał poważnego urazu, należy jeszcze uzbroić się w cierpliwość. Wiele wskazuje na to, że Bewley wspomoże Betard Spartę w fazie play-off.

Z reprezentantem Wielkiej Brytanii w składzie Wrocławianie mieliby większe szanse na odniesienie zwycięstwa w Lesznie, ale należy podkreślić, że również i Fogo Unia ma swoje problemy kadrowe. Występ Janusza Kołodzieja stoi pod znakiem zapytania. 42-latek wciąż odczuwa skutki kontuzji obojczyka, ale oficjalnie może wystąpić przeciwko WTS-owi. - Janusz przeszedł operację, jest zdolny do jazdy, był na treningu, ale uważałem, żeby został w meczu w Gorzowie w parku maszyn - mówił trener Fogo Unii Rafał Okoniewski cytowany przez Radio Gorzów po spotkaniu z Gezet Stalą (53:37 dla Leszczynian). - Czy pojedzie w piątek przeciwko Sparcie? Jeszcze zobaczymy. Janusz jest starszym zawodnikiem. Dłużej odczuwa skutki kontuzji. Jest zdolny do jazdy, ale nie czuje się na tyle dobrze, aby godnie, jak równy z równym rywalizować. Ale jak będzie za tydzień, zobaczymy - dodał.

Betard Sparta w pierwszym w tym sezonie meczu z Fogo Unią wygrała na Stadionie Olimpijskim 50:40 i teoretycznie jest w lepszej sytuacji w kontekście walki o punkt bonusowy. Sęk w tym, że beniaminek PGE Ekstraligi kilkukrotnie udowadniał już w tym roku, że potrafi radzić sobie z silnymi rywalami. „Byki" mogą pochwalić się obecnie serią pięciu zwycięstw, a na rozkładzie mają m.in. aktualnego mistrza (49:41 z PRES Grupą Deweloperską Toruń) i wicemistrza Polski (46:44 z Orlen Oil Motorem Lublin). Fogo Unii nie można lekceważyć.

Ostatnie ligowe starcie Betard Sparty w Lesznie miało miejsce w lipcu 2024 roku. Górą byli wtedy gospodarze, którzy wygrali 47:43. ©℗

11. KOLEJKA PGE EKSTRALIGI

Awizowane składy na mecz Fogo Unia Leszno - Betard Sparta Wrocław (dziś, godz. 20:30, Canal+ Sport, 40:50 w pierwszym spotkaniu)

Unia: 9. Grzegorz Zengota, 10. Emil Konieczny, 11. Benjamin Cook, 12. Maksymilian Kostera, 13. Piotr Pawlicki, 14. Nazar Parnicki, 15. Mania.
Sparta: 1. Artiom Łaguta, 2. Maciej Janowski, 3. Rafał Grzędziński, 4. Daniel Bewley, 5. Brady Kurtz, 6. Mikkel Andersen, 7. Nikodem Mikołajczyk.

Pozostałe mecze: Krono-Plast Włókniarz Częstochowa - Stelmet Falubaz Zielona Góra (dziś, godz. 18:00, Canal+ Sport, Canal+ Sport 5, 34:56), Orlen Oil Motor Lublin - Gezet Stal Gorzów (niedziela, godz. 17:00, Canal+ Sport, 44:46), Bayersystem GKM Grudziądz - PRES Grupa Deweloperska Toruń (niedziela, godz. 19:30, Canal+ Sport, 42:48).

1. Sparta Wrocław	10	17	+64
2. Unia Leszno	10	17	+70
3. PRES Toruń	10	16	+88
4. GKM Grudziądz	10	14	+36
5. Motor Lublin	10	14	+68
6. Stal Gorzów	10	10	+8
7. Falubaz Zielona Góra	10	4	-106
8. Włókniarz Częstochowa	10	0	-228

Nowy rozgrywający Górnika

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Michaelyn Scott dołączył do Górnika Zamku Książ Wałbrzych. Na polskich parkietach występował już w barwach zespołów z Ostrowa Wielkopolskiego i Lublina.**

Górnik w czwartkowy poranek za pośrednictwem mediów społecznościowych przekazał, że jego zawodnikiem został Michaelyn Scott. 32-letni rozgrywający ma 183 cm wzrostu, a poprzedni sezon spędził w rumuńskim klubie CS Municipal Târgu Mureș. Należał do liderów swojej drużyny, notując średnio 14,6 punktu, 5,4 asysty oraz 2,8 zbiórki na mecz. Na wyróżnienie zasługuje skuteczność w rzutach z dystansu - 42,3 proc. za trzy punkty.

Nowego nabytku Wałbrzyszan nie trzeba szerzej przedstawiać obserwatorom Orlen Basket Ligi. Scott pierwszy raz występował na polskich parkietach w sezonie 2018/19. Reprezentował wtedy barwy Stali Ostrów Wielkopolski, z którą wywalczył Puchar Polski. W kampanii 2021/22 był natomiast koszykarzem Pszczółki Startu Lublin, z którą zagrał w finale krajowego pucharu.

W dorobku Scotta znajdują się m.in. mistrzostwo Ligi Bałtyckiej, mistrzostwo NBA G League Southwest Division, mistrzostwo Bułgarii, Puchar Bułgarii, wicemistrzostwo sezonu zasadniczego ligi bułgarskiej, a także liczne indywidualne wyróżnienia.

Dzień przed ogłoszeniem transferu Scotta z Górnikiem pożegnał się z kolei Grzegorz Kulka. 30-letni skrzydłowy po dwóch sezonach spędzonych w zespole z Wałbrzycha przenosi się do drużyny PGE Startu Lublin. ©℗

Z kobiecego Śląska Wrocław do Realu Madryt

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **19-letnia bramkarka Hanna Wieczerzak przeniosła się ze Śląska Wrocław do Realu Madryt. Z hiszpańskim klubem podpisała kontrakt do czerwca 2029 roku.**

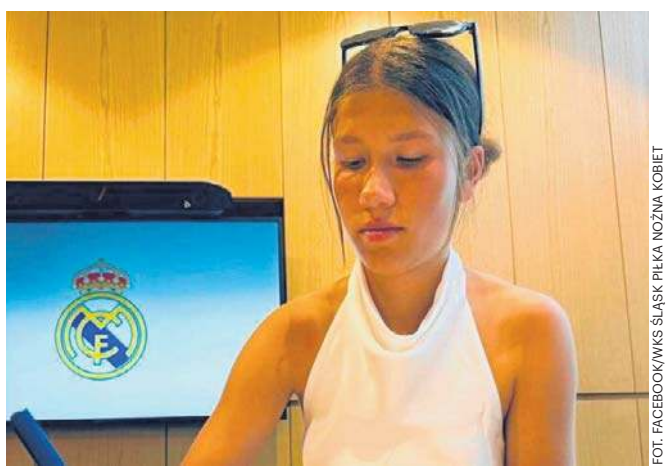

FOT. FACEBOOK/WKS ŚLĄSK PIŁKA NOŻNA KOBIET

19-letnia bramkarka Hanna Wieczerzak najpierw będzie trenowała z zespołem rezerw Realu Madryt

Transfer został ogłoszony 1 lipca. Wieczerzak kończy tym samym pięcioletni etap w Śląsku Wrocław, do którego trafiła ze Ślęzy Wrocław. Początkowo występowała w zespołach młodzieżowych, a następnie znalazła się w kadrze pierwszej drużyny występującej w Orlen Ekstralidze.

Bramkarka zadebiutowała w seniorskiej drużynie WKS-u 10 września 2023 roku, w spotkaniu z Medykiem POLOmarket Konin. W barwach wrocławskiego klubu rozegrała łącznie 29 meczów. W pierwszej połowie sezonu 2025/26 leczyła kontuzję, w rundzie wiosennej wróciła na boisko.

Wieczerzak regularnie otrzymywała również powołania do młodzieżowych reprezentacji Polski. Jest zawodniczką kadry do lat 19, z którą przebywa obecnie na mistrzostwach Europy rozgrywanych w Bośni i Hercegowinie.

Zgodnie z informacjami przekazanymi po transferze, pierwszym zespołem Wieczerzak w strukturach „Królewskich" ma być drużyna rezerw. Real Madryt B występuje w Primera Federación, czyli na drugim poziomie rozgrywkowym kobiecej piłki w Hiszpanii. W minionym sezonie zespół zakończył rywalizację na czwartym miejscu w tabeli.

Wieczerzak będzie pierwszą Polką występującą w Realu. Kontrakt 19-latki z klubem z Madrytu obowiązuje do 30 czerwca 2029 roku. Bramkarka jest kolejną zawodniczką z naszego kraju, która w ostatnich latach przeniosła się do Hiszpanii, gdzie w Liga F grają już Ewa Pajor, Emilia Szymczak i Natalia Padilla-Bidas.

W sezonie 2025/26 Śląsk zajął siódme miejsce w Orlen Ekstralidze. WKS zdobył 26 punktów w 22 meczach, a jego bilans to 8 zwycięstw, 2 remisy i 12 porażek (bramki 39-33). ©℗

eprasa.pl 88eb43e386

Piątek
3.07.2026

| 6,50 ZŁ w tym 8% VAT

WYD. 6

Głogów

Gazeta WROCŁAWSKA

tygodnik
GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 27/152

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

SPORT

JAKUB MUCHA WYWALCZYŁ 13 MEDALI NA ZAWODACH MEDYKÓW W CHORWACJI - MEDIGAMES

str. 31

INWESTYCJA

CZWARTE SKRZYDŁO HOSPICJUM

Umowa opiewa na ok. 6,5 mln zł. Przybędzie 20 łóżek. Już 14 lipca symboliczne wbicie łopaty **str. 3**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206

INTERWENCJA

Duszno, gorąco i bez wody. Petenci poskarżyli się nam na warunki w ratuszu **str. 2**

AWARIA

Duże zapadlisko na ulicy Legnickiej. Uszczelnią fragment kanalizacji **str. 4**

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

REKLAMA 0011464646

FONMED APARATY SŁUCHOWE
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA
Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:
- Videootoskopia
- Tympanometria
- otoemisja akustyczna
- ABR, ASSR
- Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego

ZBADAJ SWÓJ SŁUCH I BEZPŁATNIE
przetestuj aparat słuchowy u siebie w domu
FONMED APARATY SŁUCHOWE od 1997

GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)
76 835 05 01, 888 748 707
www.fonmed.pl

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

eprasa.pl 88eb43e386

Tadeusz Płatek
publicysta

Marianna i Robert. Ludzie i ryby

Po pierwsze, pani Marianna Schreiber ściemnia, że chce być prezydentem Krakowa, choć wiadomo, że nie. Siedzenie za biurkiem szybko doprowadziłoby ją do szału. A nie daj boże, żeby zaczęli przynosić papiery do przeczytania. Ona nie jest, moim zdaniem, biegła w czytaniu. To, czy ktoś czyta i pisze - słychać. U niej słychać wyłącznie niezbyt melodyjny akcent, ubogie słownictwo i bezczelność, którą próbuje przykryć niewiedzę. Nie słychać natomiast namysłu, refleksji, zadumy.

Po drugie, ryby nad Bałtykiem. Nawet mój ukochany Robert Makłowicz niedawno - myślę nieświadomie - przyczynił się do pewnej dezorientacji, oceniając nadmorską smażalnię ryb, jedną z najstarszych, bo z 1976 r. noszącą dźwięczną nazwę „Kergulena". „Wzorcem z Sevres" tę smażalnię nazwał, a samą kergulenę określił mianem „świetnej, zapomnianej ryby". Ja nie wątpię, że ta smażalnia jest wspaniała, doskonale tez zdaję sobie sprawę, że on, Makłowicz wie jakie ryby żyją obecnie w morzu Bałtyckim i które spośród nich można łowić. Więc tu tylko dla porządku przypomnę parę faktów o rybach z Bałtyku.

Dorsza nie wolno łowić. Tak, dobrze słyszeliście. Na Bałtyku połów dorsza jest zakazany. Afera ostatnio się na tik toku zrobiła, że nad polskim morzem zamiast dorsza podają czerniaka (jego troszkę tańszą odmianę), ale nikt się nie zająknął, że ten dorsz, czy tam czerniak, tyle ma wspólnego z Bałtykiem, że z morza. Ale na pewno nie tego.

Wspomniana wcześniej kergulena pływa sobie, ale jak się domyślacie, nie w okolicach przylądka Rozewie, tylko Antarktydy. Tak. Pluskają sobie kerguleny przy Wyspach Kerguelena, w przeciwieństwie do ludzi, bo jest tam tak zimno, że stacjonuje tam ledwie garstka badaczy ubranych w puchowe kurtki. Pluskają kerguleny, dopóki nie wyłowią je chińskie albo chilijskie trawlery i nie wyślą do polski w postaci zamrożonego lodowego kloca. Mówienie więc o kergulenie jako rybie zapomnianej, jest o tyle niefortunne, że ona nigdy w Bałtyku nie pływała, nigdy też nie dotarła do nas świeża, bo to jest fizycznie niemożliwe.

Chciałoby się, żeby niektórzy ludzie (np. Marianna Schreiber) choć w wakacje nie używali głosu, a ryby - wręcz przeciwnie.

GŁOGÓW

Nocny pościg za 21-latkiem

Nocny patrol policji w Głogowie doprowadził do zatrzymania 21-letniego mężczyzny poszukiwanego listem gończym. Mężczyzna próbował uniknąć odpowiedzialności, uciekając przed funkcjonariuszami i podając im nieprawdziwe dane osobowe. Do zdarzenia doszło tuż po północy, 30 czerwca. Policjanci z Wydziału Prewencji Komendy Powiatowej Policji w Głogowie zwrócili uwagę na dwie osoby, których zachowanie wydało się podejrzane. Gdy podjęli interwencję, jeden z mężczyzn rzucił się do ucieczki. Funkcjonariusze szybko ruszyli za nim i po krótkim pościgu zatrzymali 21-latka.

- Podczas wykonywania czynności mężczyzna próbował zmylić policjantów, podając fałszywe dane osobowe. Weryfikacja jego tożsamości wykazała jednak, że jest poszukiwany na podstawie listu gończego i powinien trafić do zakładu karnego w celu odbycia zasądzonej kary pozbawienia wolności - informuje Natalia Szymańska, oficer prasowa KPP w Głogowie.

Zatrzymany został osadzony w policyjnym pomieszczeniu dla osób zatrzymanych. Oprócz wykonania orzeczonej kary odpowie również za umyślne wprowadzenie funkcjonariuszy w błąd co do swojej tożsamości . Grażyna Szyszka

Duszno w ratuszu w upalne dni

Grażyna Szyszka
Głogów

Duszno, gorąco i bez wody - petenci poskarżyli się na warunki w głogowskim ratuszu. Urząd tłumaczy się brakiem klimatyzacji i zapowiada zmiany.

W murach głogowskiego ratusza zrobiło się duszno. Petenci załatwiający sprawy urzędowe twierdzą, że warunki są trudne do zniesienia, a oczekiwanie w kolejce bywa dla wielu prawdziwą gehenną.

- Wróciłam z urzędu miasta, gdzie wyrabiałam dowód osobisty. Nie dość, że trafiłam na sporą kolejkę, czego można się było spodziewać, bo nie ma możliwości wcześniejszej rezerwacji ani systemu numerków, to jeszcze temperatura w środku przekracza chyba 30 stopni. Jest nie do wytrzymania - relacjonowała pani Anna.

Głogowianka zwróciła uwagę, że w pomieszczeniu znajduje się wentylator, który jedynie przemieszcza gorące, duszne powietrze. - Wyszłam cała czerwona, spocona i z bólem głowy, a przede mną był jeszcze powrót do pracy. Co więcej, w urzędzie nie ma nawet wody do picia ani dystrybutora - opowiadała.

Do sprawy odniosła się Marta Dytwińska-Gawrońska, rzeczniczka prezydenta miasta. Przyznała, że wysokie temperatury dają się wszystkim we znaki. Zaznaczyła, że w biurze dowodów osobistych, podobnie jak w wielu innych pomieszczeniach urzędu, w tym także w sekretariacie i gabinecie prezydenta, nie ma klimatyzacji.

- W czasie upałów należy przygotować się na dłuższe przebywanie w gorących pomieszczeniach lub na zewnątrz. W związku z falą upałów zostanie udostępniony dystrybutor wody. Jesteśmy także na etapie wdrażania systemu kolejkowego i biletomatu, a system klimatyzacji jest w fazie projektowania. Za niedogodności przepraszamy, a uwagi mieszkanki zostaną uwzględnione w bieżącej obsłudze - przekazała rzeczniczka.

FOT. POLICJA DOLNOŚLĄSKA

GŁOGÓW

Nasi policjanci najlepsi w województwie

Policjanci z Głogowa okazali się najlepsi w wojewódzkim finale zawodów „Patrol Roku". Konkurowało 28 policyjnych par w czterech wymagających konkurencjach. musieli pokonać tor przeszkód, wykazać się umiejętnościami podczas scenek interwencyjnych z elementami udzielania pierwszej pomocy, osiągnąć jak najlepsze wyniki w strzelectwie oraz rozwiązać test wiedzy ogólnopolicyjnej.

Po zakończeniu wszystkich konkurencji i podliczeniu wyników wyłoniono najlepsze pary patrolowe garnizonu dolnośląskiego. Zwyciężyli funkcjonariusze z Komendy Powiatowej Policji w Głogowie, drugie miejsce zajął patrol z Komendy Powiatowej Policji w Zgorzelcu, a trzecie - patrol z Komendy Powiatowej Policji w Jaworze.

Zwycięski patrol z Głogowa będzie reprezentować garnizon dolnośląski podczas finału ogólnopolskiego, który odbędzie się we wrześniu na terenie Szkoły Policji w Słupsku.
Grażyna Szyszka

TŁUMY NA BASENACH W GŁOGOWIE

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Od piątku, 26 czerwca, głogowianie oblegają baseny odkryte przy pływalni. Już pierwszego dnia basen odwiedziło około dwóch tysięcy osób. Ochłody w 40-stopniowym upale szukało tam podczas weekendu bardzo wielu mieszkańców. Głogowski basen oferuje trzy niecki: sportową, rekreacyjną oraz brodzik dla najmłodszych, a także: dwie zjeżdżalnie, liczne atrakcje wodne, m.in. grzybek, gejzery, masażery i rwąca rzeka, plac zabaw dla dzieci, boiska do siatkówki plażowej, boulodrom, hektar trawiastej plaży do wypoczynku, bar oferujący ciepłe i zimne przekąski. Grażyna Szyszka

tygodnik GŁOGOWSKI

SZEF REDAKCJI LOKALNEJ: **Grażyna Szyszka, grazyna.szyszka@gazeta.wroc.pl.** DZIENNIKARZ: **Wiktoria Żyta, wiktoria.zyta@polskaress.pl, tel. 514 800 964.**
BIURO OGŁOSZEŃ: **Aneta Siwiak, tel. 798751830, aneta.siwiak@polskapress.pl;** PRENUMERATA: **tel. 717276237;** DRUK: **Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a.** WYDAWCA **Polska Press Sp. z o.o. ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10.** PREZES ZARZĄDU POLSKA PRESS GRUPY **Zenon Nowak**. PREZES MAKROREGIONU **Robert Glinkowski**. PROJEKT GRAFICZNY **Tomasz Bocheński**. WYDAWCA **Janusz Michalczyk**

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

POLSKA PRESS GRUPA

eprasa.pl 88eb43e386

INWESTYCJE JEST PLAN DZIAŁAŃ W TEJ SPRAWIE

Jak uchronić Głogów przed powodziami?

Wiktoria Żyta
Głogów

Plan działań w kwestii spraw popowodziowych i budowa obiektu hydrotechnicznego były głównymi wątkami konferencji prasowej.

Na mostku przy ul. Starej zebrali się 29 czerwca przedstawiciele lokalnych władz, parlamentu oraz Wód Polskich. To wszystko po to, by zminimalizować ryzyko podtopień w Głogowie i okolicznych miejscowościach.

Podczas wizyty Komisji Nadzwyczajnej do spraw działań przeciwpowodziowych i usuwania skutków powodzi z roku 2024 w województwie dolnośląskim rozmawiali m.in. o przebudowie wału P1, który rozciąga się na odcinku 26 km od gminy Szlichtyngowa, przez Głogów i Kotlę, oraz o konieczności budowy specjalnej zastawki na ujściu rzeki Czarnej, które powoduje szkody w mieście, gdy na Odrze jest cofka.

- Podczas porannego spotkania rozmawialiśmy o inwestycjach, które już są realizowane. Na usuwanie skutków powodzi w infrastrukturze sportowej w województwie dolnośląskim przeznaczyliśmy już 120 mln zł. Będziemy wspierali tę inwestycję. Zobowiązaliśmy się, że poszukamy możliwości finansowania inwestycji, by mogła ona powstać jak najszybciej - informował Mirosław Suchoń, przewodniczący Komisji Nadzwyczajnej do spraw działań przeciwpowodziowych i usuwania skutków powodzi.

Głos zabrał także poseł Łukasz Horbatowski, który był pomysłodawcą spotkania z komisją.

- Zwracamy uwagę na potrzeby powiatu głogowskiego i regionu od samego początku 2024 roku, od powodzi, która nawiedziła nasze województwo. Były to tragedie, bo mieszkańcy Nosocic, Krzepowa oraz Przedmościa już kolejny raz mieli podtopione domy. Dlatego priorytetem jest budowa zastawki. Mam nadzieję, że koncepcja będzie w niedługim czasie doprecyzowana i uzgodniona z Wodami Polskimi. Koszty nie są miażdżące, to około 8 mln zł na zabezpieczenie kilkudziesięciu budynków - mówił poseł Łukasz Horbatowski.

Prezydent miasta Rafael Rokaszewicz przypomniał, że już w zeszłym roku podpisał list intencyjny, na mocy którego miasto przystąpiło do zlecenia koncepcji technicznej na budowę zastawki przy ul. Starej, której koszt jest oszacowany na około 8 mln zł. Obecnie miasto ma koncepcję wraz z częścią kosztową.

FOT. WIKTORIA ŻYTA

Mirosław Suchoń mówił o realizowanych już inwestycjach

Włodarze podgłogowskich gmin również są zainteresowani zabezpieczeniami przed powodziami

Dwa lata temu wielka woda dotarła do powiatu głogowskiego

- Zastawka, która miałaby służyć jako ochrona przed cofką, na co dzień mogłaby piętrzyć wodę w rzece Czarnej, co powodowałoby nawadnianie pól i tworzenie przyjaznego klimatu. Retencjonowanie wód jest niezwykle ważne. Dziś ta rzeczka wręcz wysycha i jest problem w zakresie nawadniania, ale w czasie powodzi mamy jeszcze większy problem. Wstępnie uzgodniliśmy z Wodami Polskimi, że następnym krokiem będzie wykonanie pełnej dokumentacji, czyli decyzji środowiskowych i prawnych. Następnie trzeba będzie podpisać dokument o współfinansowaniu dokumentacji. Koncepcja kosztowała 115 tys. zł, a dokumentacja to koszt wielokrotnie większy - powiedział Rafael Rokaszewicz.

Marcin Jarzyński, zastępca prezesa Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie ds. Ochrony przed Powodzią i Suszą, swoje przemówienie rozpoczął od komentarza na temat wału P1.

- Wniosek o dofinansowanie tego zadania był złożony w marcu, a obecnie jest procedowany. Wszystko wskazuje na to, że dostaniemy dofinansowanie. Całkowity koszt to 89 mln zł, a koszt samej dokumentacji wynosi 3,5 mln zł. Natomiast koncepcja zabezpieczenia cofkowego jest bardzo świeżym materiałem. Jesteśmy otwarci na podpisanie porozumienia w zakresie partycypacji w kosztach dokumentacji projektowej. Wody Polskie od września 2024 roku przeznaczyły ponad 800 mln zł na usuwanie skutków powodzi. Na ten rok zaplanowaliśmy 150 mln zł dla województw śląskiego, dolnośląskiego i opolskiego - zapewniał Marcin Jarzyński.

W hospicjum będzie czwarte skrzydło

Wiktoria Żyta
Głogów

Umowa już podpisana. Opiewa na około 6,5 mln zł. Na 14 lipca zaplanowano symboliczne wbicie łopaty. Przybędzie 20 łóżek dla pacjentów.

Prezydent miasta Rafael Rokaszewicz oraz prezes Fundacji Hospicjum Głogowskie dr Aleksandra Glińska opowiedzieli o rozbudowie placówki o kolejną część. W zeszłym tygodniu podpisali umowę.

- Termin wykonania to pierwszy kwartał 2027 roku. Zadanie będzie wykonywała ta sama firma, która wybudowała pierwszy etap, czyli Vito i Kinga Serwis - mówił prezydent Rafael Rokaszewicz.

I dodał: - Plac budowy został przekazany i ogrodzony, a firma już zaraz wchodzi na roboty. Trzymamy kciuki, żeby wszystko poszło sprawnie, tak żeby ten termin był dotrzymany, ale przede wszystkim, żeby czwarte skrzydło powstało, dzięki czemu będzie można zwiększyć liczbę miejsc w hospicjum.

Będzie też specjalny pokój kąpielowy, ponieważ pacjenci chcieliby mieć wannę, w której mogliby się w całości zanurzyć

Placówka medyczna po rozbudowie będzie mogła przyjąć o 20 pacjentów więcej.

- Dzięki temu projektowi będzie w hospicjum dodatkowych 20 łóżek dla kolejnych pacjentów - opowiadała prezes Fundacji Hospicjum Głogowskie dr Aleksandra Glińska. - Widzimy już po dwóch latach funkcjonowania hospicjum, że jest to niezbędne, bo pacjenci czekają w kolejce, a wręcz można powiedzieć, że trudno się tu dostać. Wychodzimy naprzeciw potrzebom naszego regionu i liczbie chorych. Stwierdziliśmy, że budowa musi się rozpocząć.

Władze hospicjum wsłuchują się w potrzeby swoich pacjentów i mają w planach rozwiązanie, którego nie ma w pozostałych skrzydłach.

- Czwarte skrzydło będzie się składało z sal chorych, ale będzie też specjalny pokój kąpielowy, ponieważ wiemy, że pacjenci chcieliby mieć wannę, w której mogliby się w całości zanurzyć. Cała infrastruktura, czyli gabinety zabiegowe i pokoje pielęgniarskie znajdują się w pozostałej części budynku - wyjaśnia dr Aleksandra Glińska.

Umowa opiewa na kwotę około 6,5 mln zł, z czego 4 mln zł pochodzi z budżetu miasta Głogowa, 2 mln zł z budżetu Fundacji Hospicjum Głogowskie, zaś 0,5 mln zł przekazało miasto Polkowice. Koszty wyposażenia poniesie fundacja.

FOT. OSP KOTLA

KOTLA/ŻUKOWICE

Groźna burza w okolicy Głogowa

Gwałtowna burza spowodowała we wtorek szkody w gminach Żukowice i Kotla. Strażacy usuwali powalone drzewa i połamane gałęzie, droga na odcinku od skrzyżowania Kotla-Głogówko w kierunku Kulowa była zablokowana po tym, jak na jezdnię przewróciły się drzewa. Na miejscu pracowali strażacy, którzy usuwali skutki nawałnicy. Jeszcze groźniej było w gminie Kotla, gdzie ulewny deszcz doprowadził do podtopień posesji, a silny wiatr przewracał drzewa i łamał konary.

Synoptycy ostrzegali, że zagrożenie burzami utrzyma się przez kilka dni.

Grażyna Szyszka

eprasa.pl 88eb43e386

Duże zapadlisko na ulicy Legnickiej. Uszczelnią fragment kanalizacji

Grażyna Szyszka
Głogów

Spore zapadlisko na jednej z głównych dróg miasta. Na ul. Legnickiej trwają działania naprawcze i wyjaśnianie przyczyn zdarzenia.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Na szczęście żaden z pojazdów nie wpadł do dziury w jezdni

Na ulicy Legnickiej w Głogowie, będącej częścią drogi krajowej nr 12, doszło do zapadnięcia się nawierzchni jednego z pasów ruchu w kierunku Ronda Górników (wylot w stronę Polkowic).

Do zdarzenie doszło w poniedziałek, 29 czerwca. Mimo znacznych rozmiarów zapadliska żaden z przejeżdżających pojazdów nie wpadł w wyrwę ani nie został uszkodzony.

Miejsce zostało niezwłocznie zabezpieczone i oznakowane. Zarządca drogi - Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad - ustalał przyczyny zdarzenia, zwracając się do operatorów sieci uzbrojenia podziemnego o kontrolę infrastruktury w rejonie zapadliska.

W środę, 1 lipca, rzeczniczka wrocławskiego oddziału GDDKiA Magdalena Szumiata poinformowała, że prace naprawcze ma wykonać Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji. Według wstępnych ustaleń do uszkodzenia nawierzchni mogło dojść z przyczyn leżących po stronie spółki.

PWiK wskazuje jednak, że podczas diagnostyki sieci kanalizacyjnej co prawda wykryto punktową nieszczelność, ale nie ma pewności, że ma ona związek z zapadnięciem się jezdni.

- Niezależnie od tego, mając na uwadze, że jest to jedna z głównych arterii miasta, podjęliśmy decyzję o przeprowadzeniu prac naprawczych. Trwają już działania związane z odtworzeniem nawierzchni jezdni - poinformował prezes spółki Wojciech Borecki.

Jak zapowiada PWiK, w sierpniu planowana jest renowacja tego odcinka kanalizacji z wykorzystaniem technologii bezwykopowej. Metoda ta polega na uszczelnieniu przewodu specjalnym rękawem, co pozwala przywrócić jego szczelność i zwiększyć niezawodność przy minimalnej ingerencji w nawierzchnię oraz otoczenie.

PANS jest wysoko w rankingach

Wiktoria Żyta
Głogów

Państwowa Akademia Nauk Stosowanych w Głogowie to najwyżej sklasyfikowana państwowa uczelnia zawodowa w naszym regionie.

VW Rankingu Szkół Wyższych „Perspektywy 2026", głogowska uczelnia zanotowała wysokie miejsca. W zestawieniu, które jest badaniem jakości kształcenia wyższego w kraju, PANS w Głogowie zajęła imponujące pozycje: 14. miejsce w Polsce w klasyfikacji Państwowych Uczelni Zawodowych, 25. miejsce w Polsce w rankingu ogólnym, obejmującym wszystkie uczelnie zawodowe (zarówno publiczne, jak i niepubliczne spośród 242 uczelni).

- Jesteśmy dumni z tego, że znacząco poprawiliśmy wynik ostatniego rankingu, bo z 38. miejsca awansowaliśmy na 14. Oznacza to, że nasza praca jest widoczna i znacząca - zapewniał Jarosław Hermaszewski, rektor PANS w Głogowie.

Opowiedział także, jakie działania uczelni zaważyły na wysokich miejscach w rankingach. - Na wyniku zaważyła nasza działalność w mediach społecznościowych, kadra dydaktyczna, którą wzmocniliśmy, przede wszystkim na kierunkach technicznych, oraz losy naszych absolwentów, którzy szybciej znajdują lepiej płatną pracę niż absolwenci innych uczelni, aczkolwiek wynika to także ze specyfiki naszego regionu. Choć przykładowo kierunek pielęgniarstwo jest popularny i jego absolwenci bardzo szybko znajdują pracę - tłumaczył.

FOT. PANS W GŁOGOWIE

Jarosław Hermaszewski, rektor PANS

Projekt dla dzieci: „Lato w bibliotece"

Wiktoria Żyta
Głogów

Głogowskie biblioteki organizują zajęcia dla dzieci, które będą trwały do końca lipca. W tym tygodniu gospodarzem jest Filia nr 1 przy ul. Budowlanych 10.

Ruszył tegoroczny projekt głogowskich bibliotek „Lato w bibliotece". W tym tygodniu zajęcia organizuje Filia nr 1 przy ul. Budowlanych. Zainteresowanie jest duże, ponieważ limit miejsc wynosił 10, a w warsztatach bierze udział 14 dzieci. Zajęcia są pod hasłem „Morska przygoda". Dzieci dowiedzą się o życiu na morzu, marynarzach, piratach i kierunkach świata.

- W tym tygodniu cała akcja jest utrzymana w klimacie morskim. Zależy nam na tym, by dzieci zaznajomiły się z tematem życia na morzu i terminologią, która nie jest dla nich prosta, ale ją przyswajają. Wczoraj uczyliśmy się trudnych węzłów marynarskich, a dzisiaj alfabetu Morse'a i o stworach morskich. Jutro planujemy piracki dzień i będziemy konstruowali statek, który zatopimy. Na koniec będą gry planszowe. Zależy nam, żeby odciągać dzieci od telefonów, komputerów i telewizorów - zapewniała prowadząca warsztaty Małgorzata Malec, pracownik czytelni.

Dzieci chętnie biorą udział w warsztatach, a rodzice są zadowoleni z aktywności swoich pociech. Jak wspomina prowadząca, dzieci nie mogą doczekać się następnych zajęć:

- Po pierwszych zajęciach dzieci były zachwycone, chciały nawet przyprowadzić na zajęcia koleżanki i kuzynostwo. Dzisiaj dzieci były prawie pół godziny przed czasem, bo nie mogły się doczekać warsztatów. Widać, że dobrze się tu czują - dodała.

Morską dekorację w bibliotece, którą podziwiają uczestnicy warsztatów, zaprojektowała i wykonała pani Joanna Rydz.

FOT. WIKTORIA ŻYTA

Dzieci chętnie biorą udział w warsztatach, a rodzice są zadowoleni z aktywności swoich pociech

Program

6-10 lipca, w godz. 90-11; Miejska Biblioteka Publiczna przy ul. Jedności Robotniczej 15: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, czyli pięć dni dookoła Polski" - każdego dnia wspólnie z bohaterem książki „Kamperem przez Polskę" dzieci będą odkrywały ciekawe miejsca w naszym kraju. Projekt dla dzieci w wieku 7-12 lat. Zapisy pod numerem telefonu: 76 726 56 22 lub osobiście w bibliotece.

13-17 lipca, w godz. 10-12; Filia nr 2 przy ul. Perseusza 13. „Letnie inspiracje na wakacje". Projekt dla dzieci w wieku 7-10 lat. Zapisy pod numerem telefonu: 76 726 56 24 lub osobiście w bibliotece.

20-24 lipca, w godz. 10-11:30; Filia nr 3 przy ul. Budziszyńskiej 3A.

Zabawy animacyjne i plastyczne. Projekt dla dzieci w wieku 6-8 lat, w godz. 11:30-13; Filia nr 3 przy ul. Budziszyńskiej 3A.

Planszogranie. Projekt dla dzieci w wieku 9-12 lat. Zapisy pod numerem telefonu: 76 745 11 19 lub osobiście w bibliotece.

eprasa.pl 88eb43e386

MATERIAŁ INFORMACYJNY

0011520812

Grochowice świętowały Stachuriadę.

Muzyka, poezja i... upał na leśnej polanie.

Przez dwa dni leśna polana w Grochowicach tętniła poezją, muzyką i wyjątkową atmosferą. Mimo blisko 40-stopniowego upału na 32. Stachuriadę przyjechali miłośnicy twórczości Edwarda Stachury z całego regionu.

Artyści na polanie w Grochowicach

Za nami 32. edycja Stachuriady w Grochowicach (26–27 czerwca) w gminie Kotla. Od lat na leśną polanę za wsią przyjeżdżają miłośnicy twórczości Edwarda Stachury i muzyki z kręgu Krainy Łagodności z całej Polski.

Nieodłącznym elementem wydarzenia jest Konkurs Piosenki „Pod Wielkim Dachem". W sobotni wieczór przed publicznością wystąpił krakowski bard Andrzej Sikorowski, a tegoroczną Stachuriadę zakończył wyjątkowy koncert Lubelskiej Federacji Bardów.

– Jestem na Stachuriadzie od kilkunastu lat. Tutaj czas spowalnia. Można odpocząć od codziennego pędu, zanurzyć się w pięknej muzyce i poezji, spotkać znajomych oraz po prostu pobyć razem. Do Grochowic przyjeżdżają całe rodziny. Widać to choćby po zapełnionym polu namiotowym i liczbie kamperów – mówi Kamila Suchocka-Szperlik, wójt gminy Kotla. – Na polanie można przypomnieć sobie czasy dzieciństwa. Dzieci biegają boso, grają w piłkę i chlapią się wodą.

Edward Stachura pracował przy wyrębie lasu w Grochowicach

Miejsce organizacji Stachuriady nie jest przypadkowe. Zimą 1967 roku Edward Stachura mieszkał w Grochowicach, pracował przy wyrębie lasu i jednocześnie przygotowywał materiał do książki „Siekierezada albo zima leśnych ludzi".

Pomysł organizowania cyklicznych spotkań narodził się w latach 80. XX wieku. Głogowscy miłośnicy twórczości Stachury postanowili spotykać się w Grochowicach, by przy ognisku czytać jego poezję. Z czasem wydarzenie przerodziło się w jedną z najbardziej rozpoznawalnych imprez poświęconych poecie w Polsce.

Partnerem CSR wydarzenia jest Energa z Grupy ORLEN w ramach realizacji Strategii Zrównoważonego Rozwoju Grupy Energa.

PATRONAT

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Łukasz Horbatowski – Poseł na Sejm RP
Michał Wnuk – Starosta Głogowski
Rafael Rokaszewicz – Prezydent Miasta Głogowa
Kamila Suchocka - Szperlik – Wójt Gminy Kotla

ORGANIZATORZY

Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Kotli
Gmina Kotla

PARTNERZY, DARCZYŃCY, SPONSORZY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ
MOK w Głogowie
STREFA998
GPK GŁOGÓW
PWiK w Głogowie sp. z o.o.
Partner CSR Energa Grupa Orlen
GŁOGÓW
ŁUKASZ HORBATOWSKI POSEŁ NA SEJM RP
SOBOTA Sp. z o.o.
SWS INVEST Sp. z o.o.
Nadleśnictwo Głogów
Bank Spółdzielczy w Głogowie
TWIST

PATRONI MEDIALNI

Radio Elka
GŁOS Głogowa TYGODNIK LOKALNY
GLOGOW.INFO.PL
myGlogow
GŁOGOWSKI
nam!
miedziowe.pl

eprasa.pl 88eb43e386

LUDZIE KOSMETYCZKA POKAZAŁA MŁODZIEŻY, JAK DBAĆ O SKÓRĘ I WYKONAĆ MAKIJAŻ

Praktyczna lekcja urody dla młodych

Grażyna Szyszka
Serby/Głogów

Jak dbać o skórę i włosy w młodym wieku i jak wykonać lekki makijaż - tego uczyły się uczennice podczas warsztatów w gabinecie „Emka".

W gabinecie kosmetycznym „Emka" zorganizowano warsztaty dla młodzieży ze szkoły w Serbach. Doświadczona kosmetyczka, Mariola Bieńkowska, opowiedziała dziewczętom m.in. o właściwej pielęgnacji twarzy, dłoni, stóp i płytek paznokciowych.

- Ważne jest też to, jak pielęgnować włosy. Mówiłam również o tym, co można nakładać na twarz, a czego unikać w tak młodym wieku. Jakich kremów i preparatów używać do makijażu, by twarz wyglądała lekko, świeżo i młodzieńczo. Na koniec zrobiłyśmy delikatny makijaż dzienny, który można przerobić na dyskotekowy - wyjaśnia Mariola Bieńkowska.

Głogowska kosmetyczka radziła też, które kosmetyki warto mieć w domu.

- Preferujemy nasze, polskie firmy, ponieważ ich produkty są doskonałe, a przy tym niedrogie - dodaje.

Młode uczestniczki warsztatów dopytywały o szczegóły dotyczące pielęgnacji.

- Poznałam zasady dbania o skórę twarzy przed makijażem - komentowała Michalina.

A Karolina dodała: - Dla mnie ważną informacją było to, że włosów nie powinno się myć codziennie.

Z kolei dla Efi ważną informacją było to, że przed treningiem czy innym wysiłkiem nie należy nakładać kremów. - Teraz wiem, że najlepiej zrobić to przed snem.

Spotkanie zorganizowano w ramach konkursu „Szkoła Międzypokoleniowa", w którym szkoła podstawowa w Serbach bierze udział. Dziewczętom towarzyszyła Magdalena Matysiak, liderka projektu.

- Pani Mariola Bieńkowska była uczestniczką naszych warsztatów i zaoferowała zajęcia dla uczniów na temat pielęgnacji ciała. Nie wszyscy mogli w nich uczestniczyć, ponieważ to już końcówka roku szkolnego i część uczniów wyjechała na wakacje - opowiada Magdalena Matysiak.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Uczestniczki warsztatów w gabinecie kosmetycznym „Emka" w Głogowie

Program Szkoła Międzypokoleniowa w Serbach ruszył pod koniec kwietnia i zakończy się w czerwcu. W sumie odbyło się osiem międzypokoleniowych spotkań na różne tematy, m.in. dotyczące sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwa, podstaw obsługi komputera, a nawet gier internetowych.

Jak używać długopisów 3D

Ostatnie zajęcia w Klubie Seniora w Serbach poświęcono wykorzystaniu długopisów 3D. To urządzenia przypominające tradycyjne długopisy, które zamiast zwykłego atramentu pozwalają „rysować" w powietrzu i tworzyć trójwymiarowe obiekty.

- Ostatnio nasi seniorzy uczyli młodzież rękodzieła i pieczenia rogalików, a teraz nasi uczniowie będą nauczycielami w zakresie posługiwania się długopisami 3D - wyjaśnia Magdalena Matysiak.

Liderka przyznaje, że zaangażowanie po obu stronach jest bardzo duże. - Nawiązały się ciepłe, wręcz rodzinne relacje - dodaje.

Ogólnopolski konkurs Szkoła Międzypokoleniowa jest realizowany we współpracy przez Państwowy Instytut Badawczy NASK, Ministerstwo Cyfryzacji, Pełnomocnika Rządu ds. Polityki Senioralnej oraz Ministerstwo Edukacji Narodowej. Do udziału w projekcie zgłosiło się wiele szkół z całej Polski. Ogłoszenie wyników nastąpi w listopadzie.

Wójt Anna Obolewicz z absolutorium

Wiktoria Żyta
Jerzmanowa

Radni udzielili wójtowi gminy Jerzmanowa wotum zaufania i absolutorium za budżet w 2025 roku.

wójt Anna Obolewicz przedstawiła sprawozdanie z wykonania budżetu za rok 2025, który zakończył się nadwyżką ponad 4 mln zł, a zadłużenie gminy spadło o 2 mln zł. Dochody gminy wyniosły 82 mln zł, a wydatki nieco ponad 77 mln zł. Anna Obolewicz na sesji rady gminy przedstawiła inwestycje, które są już zrealizowane, a także plany inwestycji na nadchodzące miesiące i lata. Są to m.in: Centrum Integracji w Potoczku, budowa PSZOK-u, przebudowa Szkoły Podstawowej w Jerzmanowej, budowa ścieżek rowerowych, budowa dróg.

- Jestem bardzo szczęśliwa. Zawsze towarzyszą mi emocje, bo wiem, jak bardzo się angażuję. Jak bardzo cały zarząd i pracownicy starają się, żeby zrobić jak najwięcej dla mieszkańców, by zrealizować ich oczekiwania. Cieszę się, że otrzymałam wotum zaufania i absolutorium, bo to dowód na to, że idziemy razem w dobrym kierunku. Staramy się podejmować działania w każdej miejscowości, realizujemy duże, ale też i małe inwestycje. Czekamy na finansowanie zewnętrzne lub w inny sposób szukamy środków. Jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia - opowiadała wójt.

REKLAMA 0011459123

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

KRÓTKO

POLKOWICE

Tragiczna śmierć psa w samochodzie

Nawet kilkadziesiąt minut w rozgrzanym aucie może zakończyć się tragedią. Przekonał się o tym właściciel psa z powiatu polkowickiego. 27-letni mieszkaniec powiatu polkowickiego podczas wynoszenia swoich rzeczy z mieszkania partnerki pozostawił psa rasy american bully w szczelnie zamkniętym samochodzie na 30-60 minut. Mężczyzna tłumaczył, że stracił poczucie czasu. - Po powrocie do pojazdu zauważył, że zwierzę nie oddycha. Natychmiast wyciągnął psa z auta i rozpoczął reanimację, jednocześnie powiadamiając służby ratunkowe. Niestety, mimo podjętych działań, życia czworonoga nie udało się uratować - informuje mł. asp. Magdalena Wiaderek, oficer prasowa KPP Polkowice. Wezwany lekarz weterynarii stwierdził zgon zwierzęcia. Wstępne ustalenia wskazują, że przyczyną śmierci było uduszenie spowodowane pozostawieniem psa w nagrzanym, pozbawionym odpowiedniej wentylacji samochodzie. SEL

Co powstanie w miejscu kultowej dyskoteki Protector?

Grażyna Szyszka
Głogów

Kiedyś bawiły się tu tysiące osób, dziś miejsce po legendarnej dyskotece czeka na nowy rozdział. Wszystko wskazuje na to, że przy ul. Mickiewicza obiekt teren ma już nowe przeznaczenie.

Klub Protector przy ul. Mickiewicza w Głogowie był kultowym miejscem dla miłośników dyskotek. Przez lata przyciągał imprezowiczów z kilku województw i dla wielu młodych osób stanowił obowiązkowy punkt weekendowej rozrywki.

Protector był częścią sieci klubów muzycznych, których współwłaścicielem był Rafał Kasprzak. Lokale działały w kilku miastach, m.in. w Głogowie i Ostrowie Wielkopolskim, stając się jednymi z największych i najbardziej rozpoznawalnych dyskotek w Polsce na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI wieku.

Historia słynnego „Protka" rozpoczęła się w latach 2001-2002. Pierwszy klub otwarto w Ostrowie Wielkopolskim, a wkrótce później kolejny powstał w Głogowie przy ul. Mickiewicza. Na scenach klubów występowały gwiazdy muzyki i znani DJ-e, a ta także Mandaryna, Doda oraz Peja.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Tak wygląda obiekt przy ul. Magazynowej

Głogowski Protector zakończył działalność w 2010 roku, natomiast lokal w Ostrowie Wielkopolskim został zamknięty dwa lata później.

W 2025 roku budynek dawnej dyskoteki w Głogowie wraz z działką o powierzchni ponad 30 arów wystawiono na sprzedaż za 1,5 mln zł. I wszystko wskazuje na to, że znalazł się nowy właściciel. Jak udało nam się nieoficjalnie ustalić, w miejscu kultowego klubu ma powstać kolejny sklep sieci Dino.

Byłby to już piąty market tej sieci w Głogowie, a to prawdopodobnie nie koniec inwestycji. W planach są bowiem kolejne dwa sklepy Dino, w tym jeden na osiedlu Kopernik.

eprasa.pl 88eb43e386

REKLAMA

0011543281

Upał nie odstraszył uczestników Palinocki Dziadoszan. Obiszów ponownie stał się stolicą kultury dawnych Słowian

Ekstremalny upał nie przeszkodził w świętowaniu. Na polanie w Obiszowie odbyła się kolejna edycja Palinocki Dziadoszan - wydarzenia, które połączyło rekonstrukcje historyczne, koncerty i widowiskowe słowiańskie obrzędy.

Palinocka 2026 przy Grodzie Dziadoszan

Kolejna edycja Palinocki Dziadoszan w Obiszowie (gm. Grębocice). Wyjątkowe powitanie lata na urokliwej polanie podczas Festiwalu Kultury Słowian – i to w blisko 40-stopniowym upale.

– Jakoś sobie z nim radzimy. Są natryski, polewanie wodą, baseniki i mnóstwo wody pitnej. Bliżej wieczora więcej cienia daje nam też las – mówiła Renata Chrzan, dyrektorka Centrum Kultury i Sportu, które wspólnie z Gminą Grębocice zaprosiło mieszkańców gminy i regionu na wyjątkowe powitanie lata.

W sobotę, 27 czerwca od rana na polanie w pobliżu Grodu Dziadoszan rozstawiono namioty i kramy, na których można było znaleźć m.in. biżuterię, szkło oraz naczynia wzorowane na tych z wczesnego średniowiecza. Przygotowano także liczne warsztaty i pokazy przybliżające życie dawnych Słowian. Do Obiszowa zjechały setki rekonstruktorów

Warto zaznaczyć, że do Obiszowa przyjechało blisko 300 rekonstruktorów z całej Polski, którzy wzięli udział w turniejach, pokazach i inscenizacjach historycznych. Ubrani w średniowieczne zbroje, kolczugi i ciężkie hełmy mierzyli się nie tylko z przeciwnikami, ale przede wszystkim z piekielnym upałem.

Widzowie mogli podziwiać rekonstruktorów podczas uroczystego przemarszu przez festiwalową polanę, a następnie obejrzeć inscenizację bitwy Dziadoszan z 1015 roku. Wśród nich był Rafał Bilski z grupy zwanej Sędzimirem.

- Szczerze mówiąc trudno się do tego przyzwyczaić, ale człowiek wie, na co się decyduje. Przeżycia, atmosfera pola i udział w takim przedsięwzięciu warte jest takich poświęceń, nawet w takiej gorączce, jak dziś - przyznał.

Oficjalnego otwarcia Palinocki dokonał wójt gminy Grębocice Roman Jabłoński. Przyznał, że zapowiadane ekstremalne temperatury budziły jego obawy.

– Tym bardziej jestem pełen podziwu dla tych, którzy występują na polanie w ciężkich szyszakach i kolczugach. Życzę wszystkim dobrej zabawy – powiedział.

Koncerty i widowiskowy rytuał ognia

Po historycznych potyczkach polana zamieniła się w koncertową scenę. Od godziny 18 wystąpili:

- Żywiołak,
- Drasta,
- Roderyk,
- Magia Folkloru.

Palinocka to również nawiązanie do obrzędowości dawnych Słowian i obchodów Nocy Kupały. O godzinie 20 organizatorzy zaplanowali widowiskowy rytuał rozpalenia ognia.

– Rozpoczniemy go w wyjątkowy sposób, ponieważ ogień zostanie rozniecony najbardziej pierwotną metodą – za pomocą tzw. świdra ogniowego. Znany białoruski etnograf zbudował go specjalnie dla nas – powiedział Artur Chodor ze stowarzyszenia Wirtualne Muzeum Dziadoszan.

eprasa.pl 88eb43e386

Sława szykuje się na 10. Rap Stację. Na scenie Busta Rhymes, legenda z USA

Grażyna Szyszka
Sława

Nad Jeziorem Sławskim powstaje festiwalowe miasteczko. Na scenie Mata, Gibson, Paktofonika i wielu innych.

Nad Jeziorem Sławskim powstaje festiwalowe miasteczko, które już za kilka dni będzie gotowe na przyjęcie tysięcy fanów rapu z całej Polski. Festiwal rozpocznie się w środę, 8 lipca, i potrwa do soboty, 11 lipca. Na pięciu scenach zlokalizowanych w różnych częściach ośrodka wystąpi ponad 70 artystów.

Jak podkreśla dyrektor ośrodka Tomasz Krzymiński, uczestnicy mogą liczyć nie tylko na muzyczne emocje, ale także efektowną oprawę.

– Mogę zdradzić, że sceny będą bardzo atrakcyjne wizualnie. Jedna z nich, mniejsza, stanie na wodzie – na zacumowanej barce – mówi Tomasz Krzymiński.

Organizatorzy spodziewają się około 20 tysięcy uczestników. Na polu namiotowym wykupiono już miejsca pod około tysiąc namiotów, choć wciąż dostępne są wolne parcele.

Na teren ośrodka będzie można wjechać samochodem jedynie na czas rozładunku bagażu. Następnie pojazd trzeba będzie pozostawić na jednym z wyznaczonych parkingów poza SCKiW. Dla uczestników przygotowano bezpłatne parkingi: przy ul. Głogowskiej 14A, przy ul. Odrodzonego Wojska Polskiego 16, przy ul. Ogrodowej 1.

Na czas festiwalu, oprócz istniejącego zaplecza sanitarnego, na polu namiotowym pojawi się kilkadziesiąt przenośnych toalet oraz dodatkowe kontenery prysznicowe.

– Przyjeżdża specjalistyczna infrastruktura z własnym zasilaniem. Woda jest podgrzewana w specjalnych zbiornikach i wystarczy dla kilkuset osób korzystających z pryszniców jednocześnie – wyjaśnia dyrektor Tomasz Krzymiński.

Aby zapewnić sprawną łączność, na terenie ośrodka ustawiono również tymczasowy maszt telefonii komórkowej.

Podczas trwania Rap Stacji teren Sławskiego Centrum Kultury i Wypoczynku będzie dostępny wyłącznie dla uczestników festiwalu. Plaże zostaną ponownie otwarte dla wszystkich w niedzielę, 12 lipca od godz. 10, jednak całkowite uporządkowanie liczącego kilkanaście hektarów terenu potrwa jeszcze kilka dni.

FOT. RAP STACJA

Busta Rhymes, raper z USA, ma być główną gwiazdą festiwalu w Sławie

FOT. RAP STACJA

W ostatnich dniach trwało instalowanie scen, na których pojawią się wykonawcy

FOT. RAP STACJA

Ekipy sprawnie rozstawiają metalowe konstrukcje na terenie ośrodka

FOT. RAP STACJA

Na wizualizacji wskazano najważniejsze miejsca dla uczestników imprezy

FOT. ERYK ZIENKIEWICZ

Tak bawiono się w Sławie na jednej z ostatnich imprez muzycznych

FOT. RAP STACJA

Trzydniowy festiwal odwiedza co roku około 20 tysięcy fanów. Mimo że nie zawsze pogoda sprzyja zabawie, to nikt tu nie narzeka

eprasa.pl 88eb43e386

Premiera książki Towarzystwa Ziemi Głogowskiej

Wiktoria Żyta
Głogów

Towarzystwo Ziemi Głogowskiej zaprosiło 30 czerwca na premierę książki „Wokół ulicy Jedności Robotniczej... Wspomnienia Głogowian".

W auli Państwowej Szkoły Muzycznej przy ul. Jedności Robotniczej 14 Towarzystwo Ziemi Głogowskiej zorganizowało premierę książki „Wokół ulicy Jedności Robotniczej... Wspomnienia Głogowian" pod redakcją Wiesława Maciuszczaka i Renaty Matysiak. Jest to czwarty tom z serii „Historia Jednego Kwartału". W książce znalazło się mnóstwo zdjęć i opowieści.

- Publikacja jest poświęcona mieszkańcom ulic wokół ul. Jedności Robotniczej. Głogowianie chętnie dzielą się historiami swoich rodzin, które po 1945 roku przybyły do Głogowa. To jest nie tylko ciekawe dla potomków tych rodzin, ale także dla nas wszystkich. Uważamy, że dzięki historiom jednostek poznajemy historię naszego miasta. Robi się to też zdecydowanie łatwiej i przyjemniej. Można odkrywać zakątki, które mijamy na co dzień, a nie wiemy, że miały tam miejsce ważne wydarzenia - opowiadała Renata Matysiak z TZG.

Pani Wiesława mieszka przy ul. Grunwaldzkiej całe swoje życie i jak wspomina, nie wyobraża sobie mieszkać gdzie indziej, bo to miejsce wielu pięknych wspomnień: - Jestem trzecim pokoleniem, które mieszka w Głogowie. Ulica Grunwaldzka przyniosła mi wiele wspaniałych chwil w dzieciństwie, bo z koleżankami bawiłyśmy się na ulicy. Poznaję także inne ulice; pięknie jest przypominać sobie, jak wszystko wyglądało wiele lat temu - mówiła.

W książce znalazło się mnóstwo zdjęć i opowieści

Najnowsza książka wydana przez Towarzystwo Ziemi Głogowskiej to czwarty tom z serii „Historia Jednego Kwartału"

Pani Alicja mieszkała przy ul. Grunwaldzkiej do 1977 roku. Z sentymentem wspomina dawne znajomości i zabudowania:

- Wejście do mojej klatki było od ulicy Grunwaldzkiej. Poznaję, które okno w kamienicy należało do mojego mieszkania. Prawie pod nim był sklep spożywczy, który stał się pasmanterią. Pamiętam układy tych mieszkań, bo miałam w bloku wiele koleżanek, z którymi spędzałam wolny czas. W miejscu dzisiejszej przychodni przy ul. Słowiańskiej była mała polana, na której spędzałam z nimi mnóstwo czasu, m.in. grając w podchody. Bardzo doceniam, że mogę spojrzeć na zdjęcia sprzed lat i przypomnieć sobie tamte czasy - powiedziała.

Ulice wspomnień:
Jedności Robotniczej,
Grunwaldzka,
Słowiańska,
Stawna,
Sikorskiego,
Armii Krajowej,
Rondo Konstytucji 3 Maja.

Mieszkańcy licznie przybyli na premierę nowej książki wydanej przez Towarzystwo Ziemi Głogowskiej

FOT. WIKTORIA ŻYTA
Przygotowano też ekspozycję zdjęć archiwalnych, ukazujących życie powojennych pokoleń

Stowarzyszenie „Szansa" zorganizowało piknik dla dzieci

Wiktoria Żyta
Głogów

Przy ul. Perseusza w Głogowie stowarzyszenie „Szansa" zorganizowało piknik dla dzieci. Było mnóstwo atrakcji dla najmłodszych.

To były cztery godziny frajdy dla najmłodszych, a w programie znalazły się: gry i zabawy z nagrodami, quizy, dmuchańce, malowanie twarzy, modelowanie balonów, spotkanie z policjantką.

- Pomysłodawcami imprezy są nasi wolontariusze. Jest to wydarzenie dla najmłodszych mieszkańców naszego miasta. Najliczniej przychodzą do nas dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. W programie mamy konkurencje sportowe i quizy o bajkach, które najmłodsi lubią najbardziej. Rozdajemy nagrody za konkurencje: paski, plecaki, ochraniacze, bidony itd. Wszystko w stylu sportowym. Dzisiaj w największym natężeniu mieliśmy tu około stu dzieci - informowała Anna Błaszczyk, koordynatorka wolontariuszy stowarzyszenia „Szansa".

FOT. WIKTORIA ŻYTA
Dzieciom i rodzicom piknik się spodobał

Dzieciom i ich rodzicom podobał się piknik.

- Fajna inicjatywa, przychodzimy na pikniki już od 3 lat. Bardzo dużo atrakcji dla dzieci. Moja córka wzięła udział chyba we wszystkich quizach, jej ulubionym był ten o bajkach - opowiadała pani Helena.

- Moim dzieciom najbardziej podobają się dmuchańce i bańki mydlane. Uważam, że to super impreza. Kiedy widzę, że moje dzieci są zadowolone, to ja również jestem szczęśliwa. Moja córka chętnie brała udział w konkurencjach sportowych - powiedziała pani Katarzyna.

Będzie strzelnica laserowa

Grażyna Szyszka
Jerzmanowa

Gmina Jerzmanowa znalazła się w gronie największych beneficjentów programu Ministerstwa Obrony Narodowej „Strzelnica w każdym powiecie 2026".

Dobra wiadomość dla mieszkańców gminy Jerzmanowa oraz wszystkich zainteresowanych szkoleniem strzeleckim i edukacją proobronną. Samorząd otrzymał 142.670 zł dofinansowania w ramach programu Ministerstwa Obrony Narodowej „Strzelnica w każdym powiecie 2026". Całkowita wartość inwestycji wynosi 178.338 zł.

Projekt uzyskał wysoką ocenę formalną i merytoryczną, a podczas sesji pod koniec czerwca Rada Gminy zabezpieczyła środki na wkład własny. Tym samym finansowanie inwestycji zostało w pełni zapewnione i nic nie stoi na przeszkodzie, aby rozpocząć jej realizację.

Nowoczesna, multimedialna strzelnica laserowa powstanie w remizie OSP. Obiekt zostanie wyposażony w profesjonalny system szkoleniowo-treningowy z replikami broni krótkiej i długiej, realistycznym systemem odrzutu oraz zaawansowanym systemem projekcji i kamer, umożliwiającym prowadzenie treningów w wielu scenariuszach.

Nowa infrastruktura będzie służyć młodzieży, mieszkańcom oraz strażakom.

FOT. GMINA JERZMANOWA
W remizie OSP powstanie nowoczesna, multimedialna strzelnica laserowa

eprasa.pl 88eb43e386

Charytatywny Piknik Otwartych Serc

Na Bulwarze Nadodrzańskim zorganizowano 27 czerwca II Piknik Otwartych Serc

Swoje stoiska przygotowały: wojsko, policja, straż pożarna, koła gospodyń wiejskich

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Był punkt malowania twarzy, fotobudka, bańki mydlane, a także kurtyna wodna i smakowa woda

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

PLOTKI

ŻURNALISTA

Nie ma zmiłuj

Wśród nazwisk celebrytów, którzy wystąpią w jesiennej edycji „Tańca z gwiazdami", znalazł się Dawid Swakowski. To popularny podcaster, znany jako Żurnalista. Pudelek dowiedział się, że negocjacje z nim trwały długo i nie były łatwe. – Przez długi czas stał na stanowisku, że chce zarabiać 30 tys. zł za odcinek i uważał, że to i tak nie jest wygórowana cena. Ostatecznie spotkał się z Polsatem w negocjacjach mniej więcej w połowie drogi. Finalnie udało się ustalić, że będzie zarabiał między 20 a 25 tys. zł za odcinek, co i tak jest bardzo dużo, bo większość uczestników zarobi mniej – mówi informator.

AGNIESZKA HYŻY

Współczuje

Prezenterka jest związana z piosenkarzem Grzegorzem Hyżym i ma z nim syna Leona. Poza tym oboje małżonkowie wychowują dzieci z poprzednich związków – ona córkę Martę, a on bliźniaki Wiktora i Alexandra. Przy okazji minionego Dnia Ojca podzieliła się gorzką refleksją nad ojcostwem w rodzinach patchworkowych. „Nie każdy tata odwozi rano do szkoły. Nie każdy czyta codziennie na dobranoc. Czasem ojcostwo mieści się w ośmiu dniach w miesiącu i to nie mówi nic o sile tej relacji. Są ojcowie, którzy walczą o czas. Są ojcowie, którzy uczą się odpuszczać. Są ojcowie, którzy kochają dzieci partnerki i jednocześnie tęsknią za własnymi" – napisała na Instagramie.

DODA

Kochała gangstera

Podczas niedawnego wywiadu dla podcastu „Biznes Misja" piosenkarka nieoczekiwanie zdradziła, że na początku swej kariery w pierwszej dekadzie XXI wieku miała kontakty ze światem mafii. – Byłam raz zakochana w gangsterze. Napisałam nawet dla niego piosenkę. Opiszę to kiedyś w książce. Chciałam to opowiedzieć w swoim filmie, ale niestety nie wyrazili zgody na przeprowadzenie wywiadu z osobami z taką przeszłością. On był jednym z najbardziej nietoksycznych, spokojnych i uczciwych paradoksalnie mężczyzn, których spotkałam na swojej drodze. Nigdy mnie nie sprzedał, był zawsze lojalny, z charakterem i honorowy – powiedziała. RED

FOT. WIKTORIA ŻYTA

Opowiedzieli o wyprawie w Himalaje

Miejska Biblioteka Publiczna w Głogowie i „Fotostopem przez świat" ponownie połączyły siły i zorganizowały spotkanie podróżnicze, którego tematem był trekking po Himalajach. O swoich przygodach opowiedzieli dyrektorka MBP Izabela Owczarek i Zygmunt Waśkowski, wykładowca uczelni. Szczegóły na: glogow.naszemiasto.pl. Wiktoria Żyta

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

KOMENDA POWIATOWA POLICJI - OFICER DYŻURNY
tel. 47 8742200
lub 47 8742201

KOMENDA POWIATOWA STRAŻY POŻARNEJ
tel. (76) 8357714, email
kpglogow@kwpsp.wroc.pl

GŁOGOWSKI SZPITAL POWIATOWY
tel. (76) 8373211, email
sekretariat@szpital.glogow.pl

POWIATOWA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA
tel. (76) 7272594, email
psse.glogow@pis.gov.pl

POWIATOWY LEKARZ WETERYNARII
tel. (76) 7276590, email
glogow@wroc.wiw.gov.pl

URZĄD MIEJSKI W GŁOGOWIE
tel. (76) 7265400, email
sekretariat@glogow.um.gov.pl

STAROSTWO POWIATOWE W GŁOGOWIE
tel. (76) 7282800, email
starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA
tel. (76) 8318361, email
gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW
tel. (76) 8365555, email
gmina@gminaglogow.pl

URZĄD GMINY GRĘBOCICE
tel. (76) 8325300, email
sekretariat@grebocice.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW
tel. (76) 8317126, email
gmina@peclaw.eu

URZĄD GMINY JERZMANOWA
tel. (76) 8312121, email
sekreteriat@jerzmanowa.com.pl

URZĄD GMINY GAWORZYCE
tel. (76) 8316285, email
ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE
tel. (76) 8314241 , email
gmina@zukowice.pl

URZĄD GMINY RADWANICE
tel. (76) 8311478 , email
sekretariat@radwanice.pl

POGOTOWIE GAZOWE
tel. 992

POGOTOWIE CIEPŁOWNICZE
tel. 993, (76) 8568200

POGOTOWIE WODOCIĄGOWE
tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE
tel. 994

URZĄD SKARBOWY
tel. (76) 7272400

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA „NADODRZE"
tel. (76) 8520700, email
sekretariat@smnadodrze.pl

ZAKŁAD GOSPODARKI MIESZKANIOWEJ
tel. (76) 8531102, email
sekretariat@zgm.glogow.pl

HUMOR

- Dlaczego po kryzysie gospodarczym bogaci stają się bogatsi, a biedni biedniejsi?
- Bo po to się je robi.

●

Zięć dzwoni do teściowej:
- Mamo, dostałem pracę!
- Gratulacje, jaką?
- Windykator bankowy.
- Co?!
- Mamo, wiesz już, dlaczego dzwonię?

●

Idą sobie dwa ślimaki. Nagle jeden mówi do drugiego:
- Wiesz co, ja to się w sumie cieszę, że my tak idziemy powolutku...
- Serio? A dlaczego?
- Bo idziemy w złym kierunku...

●

Ojciec pyta dorastającego syna:
- Przyznaj się, piłeś już wódkę?
- Nie, tato! Dziś jeszcze nie...

●

Studenci skarżyli się dziekanowi, że jedzenie w stołówce jest obrzydliwe. Dziekan zadzwonił do szefowej stołówki i zagroził, że ją zwolni. Ta na to:
- Panie dziekanie, nie należy zwracać uwagi na to, co mówią młodzi ludzie. Na przykład w stołówce marudzą na pańskie wykłady.

●

Zięć wita teściową:
- A długo mamusia u nas zabawi?
- Aż się rozwiedziecie.

eprasa.pl 88eb43e386

CO PAPIEŻE ROBIĄ W CZASIE WAKACJI?

W niedzielę 6 lipca Ojciec Święty Leon XIV wyjedzie na letni wypoczynek do papieskiej rezydencji w Castel Gandolfo. To jego drugi pobyt w letniej rezydencji. Z kolei jego poprzednik, papież Franciszek, odpoczywał w Rzymie

Mariusz Grabowski

Jak poinformowała Prefektura Domu Papieskiego, w „drugim Watykanie", w historycznej, malowniczo położonej pod Rzymem posiadłości nad jeziorem Albano, papież będzie łączył „odpoczynek z modlitwą". Wróci do pracy 20 lipca.

„Wakacje duchowe"

Przeczytajmy komunikat Prefektury, w którym podano papieską agendę. I tak: w niedzielę, 13 lipca o godz. 10 w Papieskiej Parafii św. Tomasza z Villanova w Castel Gandolfo Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà, przed Pałacem Apostolskim. W lipcu zawieszone zostaną wszystkie audiencje prywatne, a także audiencje generalne w środy: 9, 16 i 23 lipca. Te ostatnie wrócą od środy, 30 lipca.

W niedzielę, 20 lipca o godz. 9.30, Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą w katedrze w Albano. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà w Castel Gandolfo. Po południu Ojciec Święty powróci do Watykanu.

A co po wakacjach? W piątek, 15 sierpnia o godz. 10 Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą w Papieskiej Parafii w Castel Gandolfo. O godz. 12 odmówi modlitwę Anioł Pański na Piazza della Libertà. W niedzielę, 17 sierpnia o godz. 12.00, modlitwa Anioł Pański na Piazza della Libertà w Castel Gandolfo. Po południu Ojciec Święty powróci do Watykanu.

Dodajmy, że katedra w Albano, gdzie Ojciec Święty odprawi Mszę Świętą 20 lipca, jest kościołem tytularnym kard. Prevosta od chwili nominacji na kardynała biskupa, którego jednak nie zdążył objąć.

Mozart Franciszka

Decyzja Leona XIV o odpoczynku w Castel Gandolfo jest symboliczna. Jego poprzednik Franciszek zrezygnował bowiem z tradycji wakacjowania w miejscu kojarzącym się ze splendorem papiestwa. Wolał odpoczywać w swoim mieszkaniu w Domu św. Marty i pozostawać blisko swojego codziennego otoczenia.

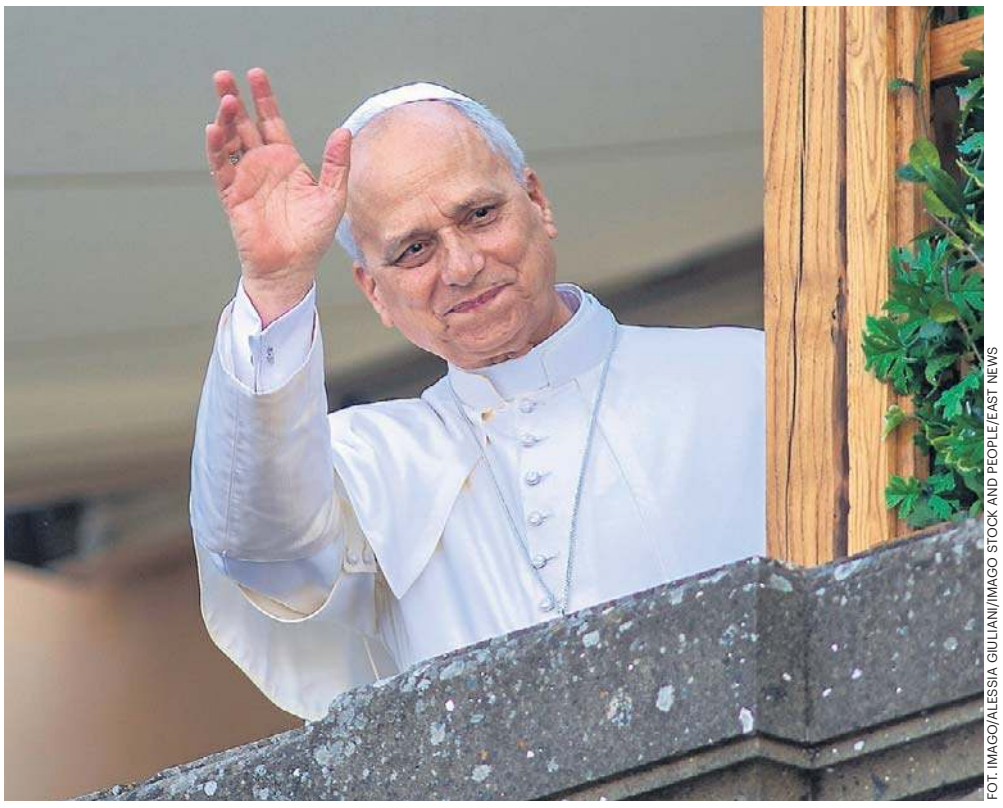

FOT. IMAGO/ALESSIA GIULIANI/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

W ubiegłym roku w Castel Gandolfo Leon XIV odprawił mszę w intencji „opieki nad Stworzeniem", spotkał się też z prezydentem Ukrainy

Charakter letniego odpoczynku papieża Franciszka znamy głównie z jego wypowiedzi. Zawieszał środowe audiencje ogólne, a czas poświęcał na osobistą modlitwę, lekturę książek oraz słuchanie muzyki, głównie klasyków wiedeńskich (lubił zwłaszcza Mozarta w wykonaniu pianistki Clary Haskil). Jednak mimo braku oficjalnych wystąpień publicznych, „nierzadko zajmował się bieżącymi sprawami Kościoła". Studiował np. dokumenty i projekty, które trafiały na jego biurko.

„Wolny czas Ojciec Święty spędza z dużym spokojem. Codziennie, gdy się spotykamy na porannej Mszy, widzę go pogodnego, radosnego. Cały czas zresztą pracuje i ma w rękach jakieś dokumenty albo korespondencję" – mówił latem 2016 r. papieski ceremoniarz ks. Guillermo Karcher. I dodawał: „Bardzo zależy mu na tym, by na jak najwięcej listów samemu odpowiedzieć. Ten czas wykorzystuje właśnie na nadrabianie zaległości w kontaktach z przyjaciółmi i bliskimi ludźmi, na których mu szczególnie zależy".

Tu się oddycha...

Trudno zrozumieć dlaczego Franciszek nie lubił relaksu w Castel Gandolfo, które już w starożytności kusiło patrycjuszy, senatorów i cezarów. Bliskość Rzymu sprawiła, że i książęta Kościoła szukali tu od średniowiecza ochłody i wypoczynku. Kiedy więc pod koniec XVI w. miasteczko-zamek, należący wcześniej do rodu Gandolfich, przeszło w ręce Stolicy Apostolskiej, wzniesiono tu willę papieską ze wspaniałymi ogrodami.

Była ona ulubionym miejscem kanikuły letniej dla wielu biskupów Rzymu aż do upadku Państwa Kościelnego w 1870 r. Po podpisaniu Traktatu Laterańskiego w 1929 r. między Państwem Włoskim a Stolicą Apostolską, pałac papieski w Castel Gandolfo oraz tzw. Willa Barberini i jej ogrody uzyskały status eksterytorialności i stały się częścią posiadłości papieskich.

Po drugiej wojnie Castel Gandolfo rozkwitło szczególnie w okresie pontyfikatów papieży: Piusa XII i Jana Pawła II. Za panowania naszego rodaka na Tronie Piotrowym letnia rezydencja stała się czymś więcej niż miejscem krótkiego wypoczynku papieża – była tętniącą życiem oazą spotkań z wiernymi, sympozjów naukowych i pracy twórczej.

Klasztory i basen

Do pałacu przylega lądowisko helikopterów, którymi papieże przemieszczają się z Watykanu do swej letniej rezydencji oraz odkryty basen, wzniesiony za pontyfikatu Jana Pawła II.

Ciekawą częścią Pałacu Apostolskiego jest także obserwatorium astronomiczne, zwane Specola Vaticana, założone przez papieża Leona XIII w 1891 r. Zostało ono przeniesione do Castel Gandolfo z Ogrodów Watykańskich ze względu na niedostateczną widoczność nieba, którą utrudniały światła Rzymu.

Z kolei ogrody papieskie rozciągają się na przestrzeni setek metrów, pomiędzy centrum miasta a miejscowością Marino. Cały kompleks zajmuje powierzchnię 55 ha – jest zatem o 11 ha większy od Watykanu W jego skład wchodzą trzy wille kardynalskie: Cybo, Del Moro i Barberini, dwa klasztory kontemplacyjne (Klarysek i Bazylianów), 30 ha parku i ogrodów kwiatowych, 24 ha ogrodów warzywnych, obory i budynki gospodarcze.

Po co są wakacje?

Papieże wielokrotnie podkreślali, że wakacje to nie czas bezczynności. To okazja do odnowy sił, ale także – jak mówił w sierpniu 2017 r. papież Franciszek – moment opatrznościowy, by „zwiększyć nasze zaangażowanie w poszukiwanie i w spotkanie z Panem".

Ojciec Święty zachęcał wówczas wiernych, by w letnim okresie „odzyskiwali siły ciała i ducha", nie zapominając o modlitwie i lekturze Słowa Bożego. Franciszek zawierzał Maryi również osoby, które z różnych względów – zdrowotnych i ekonomicznych – nie mogą pozwolić sobie na wakacyjne wyjazdy.

Ponad dekadę wcześniej, 17 lipca 2005 r., papież Benedykt XVI spacerując w Dolinie Aosty przypomniał, że „wakacje dają wyjątkową możliwość zatrzymania się przed cudami natury – tej „wspaniałej »księgi«, dostępnej dla wszystkich, dużych i małych". Bowiem, jak podkreślał, w kontakcie z przyrodą człowiek odnajduje swoją właściwą miarę. „Odkrywa na nowo, że jest stworzeniem (...) otwartym na Nieskończoność" – mówił.

Wstańcie, chodźmy!

Benedykt cenił wakacyjną aktywność, ale prawdziwym rekordzistą pod tym względem był Jan Paweł II. „Prawdziwy wakacyjny wypoczynek polega na tym, że uwalniając od zwykłych codziennych obowiązków, pozwala na nowo odkryć wartości, które zazwyczaj zaniedbujemy, takie jak kontakt z naturą, radość" - mówił będąc w Nowym Targu 8 czerwca 1979 r.

A kilkanaście lat później, w rozważaniach przed modlitwą „Anioł Pański" w lipcu 1996 r. dodawał: „W Księdze Rodzaju czytamy, że Bóg »odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął. Wtedy Bóg pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym; w tym bowiem dniu odpoczął po całej swej pracy, którą wykonał stwarzając« (Rdz 2, 2-3). Te słowa objawiają duchowy sens odpoczynku i podkreślają jego potencjalny wymiar religijny".

Papież-Polak spędzał wakacje czynnie. Nie tylko w Castel Gandolfo, ale także w Lorenzago di Cadore w Dolomitach, a przez dziesięć lat wędrując także przez włoskie Alpy, gdzie miał nawet skromną, zarządzaną przez salezjanów rezydencję w osadzie Les Combes w Dolinie Aosty (później bywał tam Benedykt XVI).

Na górskim szlaku

„Uderza radość Ojca Świętego w kontakcie z naturą. On w przyrodzie widzi więcej niż inni. Kontempluje piękno krajobrazu, bogactwo przyrody; cieszy się deszczem, słońcem, wiatrem" – mówił w 2004 r. Joaquin Navarro-Valls, hiszpański dziennikarz i lekarz, rzecznik Stolicy Apostolskiej, podkreślając, że dla osób, które wędrują z papieżem po Alpach, te wyprawy to także lekcja, jak patrzeć na góry oczyma papieża.

W czasie wakacji 2004 r. odpoczywający w Les Combes Jan Paweł II dostał od lekarzy zakaz wędrówek w góry powyżej 1700 m. Mimo że jego przewodnik Alberto Cerise przygotował dla niego aż 15 alternatywnych tras. „Po ośnieżonych masywach Alp papież częściej teraz spaceruje oczyma" – mówił przepytywany przez dziennikarzy Cerise.

Jan Paweł II odbył więc jedynie spacer do miejsca, skąd można było podziwiać zaśnieżone szczyty. Po dotarciu do celu ochrona rozstawiła namiot, włączyła kocher i przygotowała posiłek. Po posiłku papież kontemplował piękno krajobrazu i odmówił Różaniec.

Wakacje z katarem

Wróćmy jeszcze na chwile do papieża Franciszka, który za wakacjami najwyraźniej nie przepadał. Podczas jednej z rozmów z dziennikarzami „Il Sismografo" w 2016 r. wyznał, że ostatnio na „prawdziwy" urlop wyjechał z Buenos Aires w 1975 r. „Zawsze robię sobie wakacje, naprawdę, ale w domu; zmieniam rytm dnia. Więcej śpię, czytam to, co lubię, słucham muzyki, więcej się modlę. I to mnie relaksuje" – powiedział.

Akurat w 2016 r. o żadnych wakacjach nie było mowy. 27 lipca wyleciał do Polski na Światowe Dni Młodzieży w Krakowie, a kilka wcześniejszych tygodni po prostu przechorował. Już 3 lipca, podczas niedzielnego spotkania z wiernymi na modlitwie Anioł Pański, Franciszek zwrócił się do nich bardzo przeziębiony: kichał, kaszlał i miał wyraźnie zmieniony głos.

Być może w sielskim klimacie Castel Gandolfo dolegliwości fizyczne nie byłyby dlań takie dotkliwe?

eprasa.pl 88eb43e386

PAWEŁ KOWAL O RELACJACH Z UKRAINĄ: W GOSPODARCE IDZIEMY DO PRZODU, ALE W HISTORII DŁUGO NIE ZNAJDZIEMY ZGODY

„Historia jest ważna dla tożsamości, ale nie może zablokować przyszłości Polski i Ukrainy". Paweł Kowal mówi o Konferencji Odbudowy Ukrainy w Gdańsku, o Wołyniu, ekshumacjach i o tym, dlaczego pamięć nie może być wymierzona przeciwko przyszłości

Anita Czupryn

Po co Polsce Konferencja Odbudowy Ukrainy w Gdańsku? Co konkretnie ma z niej wyniknąć i co może się wydarzyć w dniach 25-26 czerwca?
Formuła tej konferencji jest taka: politycy pracują nad pokojem, a równolegle biznes planuje odbudowę. Konferencje URC Ukraina corocznie organizuje wspólnie z krajem goszczącym, w tym wypadku z Polską. Zaproszenia podpisywali polski premier i prezydent Ukrainy. Ukraina jest współgospodarzem tego wydarzenia. Praktycznie przez cały czas trwania obrad będą jeden po drugim podpisywane dokumenty. W trakcie zapowiedziano podpisanie około 200 porozumień i umów dotyczących współpracy ekonomicznej i roli poszczególnych państw w odbudowie Ukrainy. Przynajmniej w kilkunastu z nich uczestniczy Polska. Wśród konferencji, które odbywały się dotąd na świecie, ta jest więc wyjątkowa ze względu na skalę i na gospodarczy konkret, który jest jej istotą. Na czele ukraińskiej delegacji stanie premier Svyrydenko, „matka chrzestna" idei URC, która ją wymyśliła jeszcze przed Lugano. To nada konferencji bardziej gospodarczy, pragmatyczny charakter.

Polska ma własną strategię odbudowy Ukrainy?
Polska ma strategię opartą na trzech elementach. Pierwszy to rozwój eksportu. Mamy historycznie bardzo duży eksport na Ukrainę, wynoszący około 14 mld euro, czyli mniej więcej jedną trzecią całego eksportu Unii Europejskiej na Ukrainę. Drugi filar naszego podejścia do odbudowy, ze względu na nasze położenie, to wszystko, co wiąże się z transportem i łącznością. Słyszę o szykujących się nowych projektach w tej dziedzinie. Trzeci ważny element to inwestycje. Idą one różnymi drogami. Główny program to Ukraine Facility, czyli Instrument na rzecz Ukrainy, który polega na dostarczaniu odpowiednich instrumentów finansowych tym, którzy chcą brać udział w odbudowie Ukrainy. To są dobrze oprocentowane pożyczki, zabezpieczone przez Komisję Europejską i dodatkowo ubezpieczone. W tej chwili pierwsze kilkanaście polskich projektów jest już w trakcie przygotowania. Finansowanie długoterminowe, inwestycyjne, nawet do 15 lat. Kluczowe sektory, w których składane są projekty, to: energetyka, transport i logistyka, produkcja różnych materiałów. Doszły rozwiązania dual use, czyli takie z zastosowaniem w cywilu i dla wojska. Wielkość projektów, które możemy finansować, to od 1 do 50 mln euro. To są już poważne kredyty inwestycyjne, konkretne osiągnięcie rządu Donalda Tuska. Oprócz tego Polska wchodzi dziś na Ukrainę z dużymi inwestycjami; najbardziej znana jest inwestycja PZU, czyli budowanie pozycji jednego z liderów rynku ubezpieczeń na Ukrainie. Mamy szansę zyskać tam prawie milion klientów.

Kto ma być najważniejszym adresatem tej konferencji? Czy są to rządy, czy samorządy, czy ukraińskie firmy, polskie firmy? A może opinia publiczna, którą trzeba przekonać, że pomoc Ukrainie nie jest sprzeczna z polskim interesem?
Myślę, że ci, którzy patrzą na rzeczywistość przez pryzmat interesów, a nie tylko emocji, doskonale wiedzą, że teraz jest ten moment, kiedy zgromadzenie polskiego biznesu w Gdańsku, razem z przedstawicielami najważniejszych instytucji biznesowych świata, jest kluczowe dla przygotowania odbudowy. To pierwszy raz, kiedy ta konferencja odbywa się poza głównymi krajami Zachodu i G7. Pierwsza była w Lugano, potem w Londynie, Berlinie i Rzymie. Ta w Gdańsku jest piąta. Sam fakt, że odbywa się właśnie w Polsce, że Polska wchodzi do takiego grona - do elitarnego grona głównych sił gospodarczych w Europie - pokazuje naszą siłę w procesie przygotowania odbudowy.

Polscy przedsiębiorcy często mówią: chcemy pomagać, ale chcemy też zarabiać. Nie chcą jednak wchodzić tam, gdzie jest chaos, korupcja i ryzyko wojenne. Jak państwo może im pomóc? No i jak zabezpieczyć polski interes, żebyśmy nie ponosili kosztów pomocy, a zyski do odbudowy nie trafiały do większych zachodnich graczy?
Doświadczenia są różne. Z jednej strony są bardzo dobre doświadczenia polskich firm, z drugiej są też przypadki trudne. Natomiast jestem pewien, że jeżeli ktoś korzysta ze środków z Ukraine Facility, to zwiększa szansę, że inwestycja będzie bezpieczna, także ze względu na fundamentalne dla tego programu gwarancje Komisji Europejskiej. To są pieniądze dobrze oprocentowane, dobrze zagwarantowane. Kiedy rozmawiałem z Adamem Góralem o roli polskiego biznesu w odbudowie Ukrainy, powiedział mi: „Nie przejmuj się, ty nie podejmiesz decyzji za przedsiębiorców". Chodzi o to, żeby warunki, które mają polscy przedsiębiorcy, nie były gorsze niż te, które mają francuscy. Dzisiaj mogę powiedzieć, że rząd Donalda Tuska doprowadził do tego, że warunki dla polskich przedsiębiorców są takie same, a nawet lepsze niż dla przedsiębiorców zachodnich. Oprócz tego konferencja w Gdańsku przyniesie dodatkowy zastrzyk środków na bezpieczne inwestycje w ramach programu, który nazywamy Funduszem Flagowym Unii Europejskiej. Ten flagship fund to dodatkowy instrument finansowy. To będą pieniądze na inwestycje przygotowane między innymi z naszej inicjatywy, z inicjatywy moich współpracowników. Będą miały charakter europejski, co oznacza, że są dodatkowo politycznie ubezpieczone. Finalizujemy już powstanie tego funduszu, który także będzie używany do projektów odbudowy Ukrainy.

TRZEBA ZADBAĆ O PAMIĘĆ O WOŁYNIU. I NIE PO TO, ŻEBY BYŁA PRZECIWKO KOMUŚ, ALE PO TO, BY BYŁA PRZESTROGĄ DLA KOLEJNYCH POKOLEŃ

Konferencja odbędzie się w momencie, gdy relacje polsko-ukraińskie są trudniejsze niż na początku wojny. Jak Pan widzi tę sytuację? Co się między nami popsuło?
Nasze relacje są dobre w wielu dziedzinach: w handlu, w przygotowaniach do odbudowy, także w niektórych technologiach dronowych, które Ukraińcy w dużym stopniu kupują również od nas, bo to działa w dwie strony. Jest jednak obszar, w którym się nie zgadzamy i w którym różnice są znaczące. To kwestie dotyczące interpretacji historii. Myślę, że czas na dojrzałość. Trzeba sobie powiedzieć, że w tych sprawach jeszcze długo, a może zawsze nie będziemy się zgadzać i będziemy mieć różne poglądy. Jeśli chodzi o historyczną ocenę konfliktu polsko-ukraińskiego czy ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na mieszkańcach ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, niełatwo znajdziemy wspólne stanowisko. Dochodzi do nas, że to jest obszar, w którym zgody długo nie będzie. Trzeba pójść po rozum do głowy i zainwestować więcej we wspólne badania historyczne. W tym roku już zaczęliśmy, organizując pierwszy tak duży polsko-ukraiński kongres historyczny. Myślę, że także na Ukrainie powoli dojrzewa świadomość, że historia UPA nie jest historią, na której można zbudować mentalną łączność z państwami europejskimi. Podobne procesy przemyślenia własnej historii przeszły już praktycznie wszystkie państwa Europy Środkowej, od państw bałtyckich po Bałkany, gdzie poważnym problemem było zmaganie się z tradycją faszystowską, nacjonalistyczną czy z kolaboracją z Niemcami w czasie II wojny światowej. Wpływ zewnętrznych graczy, sąsiadów, na taką zmianę jest ograniczony. Może dotyczyć tylko tych elementów polityki historycznej, które są w rękach rządu, prezydenta czy wojska. Trudno wpływać na wszystkie decyzje samorządowe u sąsiada. Ale czas będzie tutaj działał na korzyść. Wspólne badania historyczne i dyskusja o faktycznej spuściźnie UPA to proces, który wciąż jest przed nami. Ważne tylko, żeby dobrze podchodzić do konfliktów historycznych. Podobno sekretarz generalny ONZ powiedział kiedyś, że wiele państw ma większy problem z historią niż z przyszłością. Trzeba pamiętać, że historia jest ważna dla tożsamości i dla współczesności, ale jednocześnie nie wolno zablo-

eprasa.pl 88eb43e386

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Paweł Kowal: Dziś głównym ograniczeniem ekshumacji nie jest liczba zgód ze strony ukraińskiej, tylko nasze możliwości prowadzenia tych prac w warunkach wojennych

kować się w myśleniu o przyszłości, o tym, co przed nami.

Ukraina wydała zgodę na ekshumacje. Dlaczego to, co przez lata było niemożliwe, teraz zaczęło być możliwe? I czy można wprost powiedzieć, że obecny rząd osiągnął w tej sprawie przełom?
Jeżeli ktoś jest uczciwy, to w oczywisty sposób powie, że kwestia ekshumacji jest przełomem. Unikam nazywania ekshumacji sprawami historycznymi, bo w tym przypadku chodzi o coś, co określiłbym jako „prawo do godnej pamięci o bliskich". Jest to kwestia uniwersalna i niezależna od opinii na tematy historii czy polityki. Ludzie mają prawo poszukiwać swoich zmarłych, ekshumować ich, pochować i dać sobie możliwość modlitwy czy medytacji. Tak rozumiane prawo do godnej pamięci o bliskich ma też pewne umocowanie w prawie międzynarodowym. Faktycznie jest tak, że ten rząd pierwszy raz od kilku dekad doprowadził do tego, że ekshumacje mają w zasadzie charakter systemowy. Właściwie głównym ograniczeniem dzisiaj nie jest liczba zgód ze strony ukraińskiej, tylko nasze możliwości prowadzenia tych prac w warunkach wojennych. Ekshumacje, nawet w tak trudnych miejscach, jak Huta Pieniacka, gdzie na razie trwały poszukiwania, a akcja ekshumacyjna jest już przygotowywana i odbędzie się w tym albo w przyszłym roku, jeszcze kilka lat temu uważano u nas za niemożliwe. Znam ludzi, którzy mówili mi, że nigdy się to nie uda. A dzisiaj mogę powiedzieć, że rząd Donalda Tuska doprowadził do przełomu w tej dziedzinie. Czasem myślę, że to nadmiernie podsycane napięcie jest reakcją tych środowisk, które nie wierzyły, że w trudnych sprawach można dochodzić do porozumienia. Dla mnie najważniejsze jest to, że udało się rozpocząć ekshumacje. Najpierw były Puźniki, później kolejne miejsca, poszukiwania w Ugłach, Ostrówkach, Hucie Pieniackiej. Coraz więcej jest miejscowości, które znamy jako te, które przestały istnieć w wyniku zbrodni wołyńskiej. Dzisiaj często wracamy tam po to, żeby wypełnić obowiązek, ten archetyp Antygony: odnaleźć i pochować bliskich. To sprawa konkretnych rodzin, ale też sprawa narodowa.

Rozmawiał Pan z rodzinami ofiar Wołynia? Co z tych rozmów w Panu zostało?
Rozmawiałem między innymi z rodzinami ofiar z Puźnik. Byłem z nimi na pogrzebie w tamtym roku. To był pierwszy taki pogrzeb. Na tym pogrzebie większość polityków chciała usiąść w pierwszym rzędzie. Intuicyjnie czułem, że powinienem być z boku. Znalazłem się w gronie dzieci i bliskich ofiar. Z nimi spędziłem trochę czasu: najpierw podczas mszy, a później jeszcze chwilę rozmawialiśmy. To zostało mi w głowie, ale uderzyły mnie pokora i cisza tych ludzi. Oni czekali na ten moment, ale nie robili z tego polityki. Nie miało dla nich znaczenia, jakie barwy polityczne ma ktoś, kto z nimi współpracuje. Szybko się zorientowałem, że oni sami mają różne poglądy polityczne. Ale wobec majestatu śmierci byli wyciszeni i być może po prostu wdzięczni Polsce, że po tych ośmiu dekadach stało się możliwe pochowanie bliskich. Gdzieś tam na cmentarzu we wsi, która już nie istnieje. Ta rozmowa z rodzinami ofiar z Puźnik, dotknięcie tego wszystkiego, co ich poruszyło, zostały mi mocno w pamięci.

Czy Ukraińcy rozumieją, czym dla Polaków jest Wołyń? Nie dyplomatycznie, ale rzeczywiście, emocjonalnie i moralnie?
Są dwie odpowiedzi, które czasami się krzyżują. Z jednej strony coraz więcej Ukraińców zaczyna to rozumieć i zdaje sobie sprawę z tego, że w momencie, kiedy chcą wejść do Unii Europejskiej i do NATO, mając na sztandarze przywódców UPA, nie będzie to proste. Wartości, które stały za czystką etniczną, za ludobójstwem, nie mieszczą się w kanonie zachodnim, do którego Ukraińcy aspirują. Z drugiej strony wielu Ukraińcom wydaje się, że UPA jest najlepszą formą dodania siły, że ta tradycja jest jakąś formą wzmocnienia żołnierzy na froncie. Wydaje mi się to złudne. Myślę też, że tam, gdzie na pewne rzeczy nie możemy się zgodzić, trzeba mówić jasno: decyzja prezydenta Zełenskiego była strategicznym błędem, bo obniża poparcie dla wojennego wspierania Ukrainy w polskim społeczeństwie. Nie jest w interesie Ukrainy, nie jest też w interesie Europy Środkowej, żeby obywatele dużego kraju Unii Europejskiej, jakim jest Polska, zachowywali dystans wobec dzisiejszej polityki Ukrainy. W tym sensie to jest błąd strategiczny, nie tylko polityczny i historyczny, ale odnoszący się do samej istoty legitymacji tych rządów u nas, które chciałyby udzielać Ukrainie wsparcia.

A decyzja prezydenta Nawrockiego o odebraniu prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego? Jak ją Pan ocenia?
Zostawiam ją bez komentarza. Ostatnią rzeczą, której bym chciał, jest dalsze nakręcanie napięcia, które powstało. Myślę, że relacje polsko-ukraińskie, tworzone przez dekady, i zawsze się do tego odwołuję, bo to jest dla mnie jasne, z ogromnym udziałem Jana Pawła II, zasługują na to, żeby je w trudnym momencie chronić. Ta ochrona polega także na tym, żeby unikać wyostrzania komentarzy. W Polsce zgadzamy się, jeśli chodzi o ocenę UPA i jej spuścizny, ale w polityce kluczem jest skuteczność. Chodzi o to, czy narzędzia, których używamy, prowadzą do celu, który chcemy osiągnąć, czyli zmniejszenia gloryfikacji UPA.

Co jest dzisiaj najtrudniejsze w rozmowie z Ukraińcami? Interesy gospodarcze czy historyczne emocje?
Relacje polsko-ukraińskie są jak relacje polsko-niemieckie. Mają właściwie wszystkie możliwe wymiary. Trudno znaleźć jakiś element rzeczywistości, który nie miałby swojego odzwierciedlenia w relacjach polsko-ukraińskich. Musimy się przygotować na to, że one zawsze będą złożone. W jednej sferze będą udane, a w innej, na przykład w sferze pamięci historycznej, musimy się pogodzić z tym, że długo jeszcze nie znajdziemy wspólnego stanowiska.

Wrócę do konferencji. Czy odbudowa Ukrainy nie powinna zaczynać się przede wszystkim od bezpieczeństwa? Co z tego, że odbudujemy elektrownię czy szkołę, jeśli Rosja znowu je zniszczy?
Oczywiście. Dlatego tegoroczna konferencja odbudowy Ukrainy jest prawdopodobnie największą z dotychczasowych i dlatego istotnym elementem jest kwestia obronna, której wcześniej nie było. Wszystko zaczyna się od powstrzymania Rosji. Dlatego tak mocno skupiamy się na sprawach dronowych. Prekonferencja w Rzeszowie była poświęcona właśnie tej tematyce. Dzisiaj bardzo istotne są kwestie dronowe, obronne, udział Polski w ukraińskim doświadczeniu dronowym, a także udział Polski w tej technologicznej gorączce dronowej, która trwa na świecie. Właśnie dlatego tak ważne jest, że Komisja Europejska we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego znalazły dodatkowe pieniądze na produkcję podwójnego przeznaczenia. Chodzi dokładnie o technologie dronowe, które mogą być wykorzystywane w warunkach bojowych, ale jednocześnie są przygotowywane do celów cywilnych: rolnictwa, leśnictwa, transportu, logistyki. Badania nad dronami obejmują dziś wszystkie aspekty tej rewolucji: nowoczesne materiały, optykę, sztuczną inteligencję. Nie ma jednej technologii dronowej, chociaż niektórzy tak to nazywają. Jest wiązka technologicznych osiągnięć, które razem dają efekt nowoczesnego drona. Do tego potrzebna jest jeszcze jedna rzecz: doświadczenie bojowe. Dzisiaj ma je Ukraina i ta sfera jest dla naszej współpracy niezwykle istotna.

Czy Ukraińcy naprawdę widzą Polskę jako strategicznego partnera odbudowy, czy raczej jako sąsiada, przez którego wygodnie przechodzi logistyka, pomoc i dyplomacja?
Pani redaktor, między nami jest dokładnie tak jak między sąsiadami. Sąsiada zawsze postrzega się jako kogoś bliższego, wobec kogo można sobie pozwolić na więcej, na przykład coś powiedzieć, czasami zbyt ostro. I to prowadzi do napięć. Ale nie mam wątpliwości, że wśród polityków i ludzi opiniotwórczych na Ukrainie większość naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, jak istotna jest łączność z Polską. Bo sąsiad to też ten, z którym łączą nas najmocniejsze pozytywne emocje.

Pan występuje w podwójnej roli: z jednej strony jako polityk odpowiedzialny za współpracę z Ukrainą, z drugiej jako historyk, który wie, jak ważna jest pamięć i że ona nie zniknie, bo jest dla kogoś niewygodna. Która z tych ról jest dziś dla Pana trudniejsza?
Jest takie pojęcie, po angielsku contemporary history, po niemiecku Zeitgeschichte. Po polsku nazywamy to po prostu historią współczesną. To specyficzna historia, która mieści się jeszcze w ludzkiej pamięci, mniej więcej trzy pokolenia wstecz, około stu lat. Tyle mamy czasu na zadbanie o pamięć. Potem staje się ona już częścią twardej, odległej historii, już prawie bez żywych emocji. Myślę, że zawsze, kiedy jesteśmy około stu lat od tragicznych wydarzeń, one po raz ostatni tak mocno nabrzmiewają. Tak jest teraz z pamięcią o Wołyniu. Pamiętam, że kiedy zaczynałem zajmować się stosunkami polsko-ukraińskimi, takim nabrzmiałym tematem była wojna polsko-ukraińska z 1918 roku, czyli wojna o Lwów. Dzisiaj już mało kto, poza zawodowymi historykami, pamięta, o co tam chodziło. Myślę, że teraz jest czas, kiedy trzeba zbudować dobre, mądre muzeum wołyńskie. Trzeba zebrać relacje tam, gdzie jeszcze nie zostały zebrane. Trzeba zadbać o pamięć o Wołyniu. I nie po to, żeby była przeciwko komuś, ale po to, by była przestrogą dla kolejnych pokoleń. Ludobójstwo, czystka etniczna, zbrodnie wojenne - one domagają się od każdego polityka jasnego stanowiska. Polityk nie ma prawa dzielić tu włosa na czworo ani unikać odpowiedzi. To nie jest tylko historia dla historii, to się robi po to, żeby pokazać kolejnym pokoleniom, do czego prowadzi zbrodnia, nawet motywowana względami, które ktoś uważał za istotne.

Wierzy Pan, że konferencja o odbudowie Ukrainy w Gdańsku może zapoczątkować odbudowę polsko-ukraińskiego zaufania?
Myślę, że trzeba to czynić. To są relacje międzynarodowe, w których interesy przeplatają się z emocjami. Może potrzebujemy bardziej języka interesów, języka społeczno-gospodarczego, więcej racji gospodarczych. Może to nam pomoże - bardziej pragmatyczne myślenie o tym, co przed nami.

Nawet jeśli nie będzie przełomu, to po czym poznamy,że mimo wszystko idziemy w polsko-ukraińskich stosunkach w dobrą stronę?
Jestem pewien, że tak będzie. Wydarzenie na taką skalę i ogromny wysiłek organizacyjny Polski zostaną zauważone przez wiele osób, szczególnie w środowiskach gospodarczych na Ukrainie, ale także w całej Europie i w USA. Tak wynika z moich ostatnich rozmów prowadzonych w Waszyngtonie.

eprasa.pl 88eb43e386

„MASZ GODZINĘ, IDŹ SIĘ SPAKUJ". A ZA KRATAMI RZECZYWISTOŚĆ NIE DO OGARNIĘCIA

Przez 22 lata kawałeczek świata widział tylko przez więzienne kraty. A kiedy – ku własnemu zaskoczeniu – opuścił zakład karny, rzeczywistość runęła na niego z całą swoją siłą

Andrzej Pięs

Sąd skazuje oskarżonego na dożywotnie pozbawienia wolności - usłyszał Piotr Pytel w 2006 roku z ust sędziego Sądu Krajowego w Monachium, spędziwszy wcześniej dwa lata w niemieckim areszcie tymczasowym. Dwie dekady potem przyznawał, że nie wierzył w to, co usłyszał, że nogi się pod nim ugięły, bo przecież nie zabił Ecateriny I., nigdy nie był w jej mieszkaniu, nigdy jej nie widział, więc nie wierzył, że można zostać skazanym za zbrodnię, której się nie popełniło. - Przyszła decyzja, wychodzisz - usłyszał 22 lata później z ust wychowawczyni w Zakładzie Karnym w Rzeszowie. I tym razem nie uwierzył w to, co usłyszał, zachwiał się na nogach. Wychowawczyni podsunęła mu krzesło, by nie runął na więzienną posadzkę. Identyczna reakcja, jak dwie dekady wcześniej, choć wtedy na wieść koszmarną, a tym razem na radosną wiadomość, o którą zabiegał przez lata. Dzień po opuszczeniu ZK przyznawał, że wciąż nie bardzo wierzy, że jest po drugiej, jasnej stronie rzeczywistości.

Prapoczątki gehenny

Pracował w Niemczech, gdy w wynajmowanym przez niego mieszkaniu w Monachium pojawił się młody człowiek. Powołał się na wspólnych znajomych. Piotr wziął go pod opiekę, nieświadom, że gości żołnierza zorganizowanej grupy przestępczej przysłanego do bawarskiej stolicy, by ukradł obraz z galerii sztuki. Młody człowiek (17 lat) w oczekiwaniu na taką okazję postanowił zabić czas kradzieżami i rabunkami. Upatrzył sobie Ecaterinę I., luksusową prostytutkę, którą zamierzał obrabować ze wszystkiego, co w jej mieszkaniu znajdzie cennego. Nie miał pojęcia o topografii miasta, więc Piotr zapakował jego i siebie do tramwaju, dowiózł do miejsca zamieszkania kobiety i został na przystanku. Wiedział, w jakim celu Tomasz Lis, bo tak się przedstawiał, chce odwiedzić Ecaterinę, ale nie było mowy o zabójstwie.

O tym, że Ecaterina została brutalnie zamordowana, dowiedział się następnego dnia z radia. Tomasz zniknął, a po niego przyszła niemiecka policja. Potem oskarżenie i wyrok o zabójstwo, do którego konsekwentnie się nie przyznawał. Lisa niemieccy śledczy nigdy nie odnaleźli; odnalazła go polska policja, w rzeczywistości nazywał się Tomasz W. Przed prokuraturą w Polsce przyznał się do zabójstwa w Monachium, przyznał polskiemu sądowi, będąc oskarżonym i skazanym w innej sprawie, przyznał niemieckim organom ścigania i tamtejszemu sądowi. I za każdym razem stanowczo twierdził, że Piotra na miejscu zbrodni nigdy nie było, że to on sam zabił. Nie miał żadnego interesu, by kłamać. Odsiedział tylko 9 lat z woli bawarskiego sądu za to morderstwo, bo popełnił je jako nieletni.

Piotr spędził za kratami 22 lata z dożywocia. Pierwsze pięć w Niemczech, następne w polskim więzieniu. Jeszcze w 2010 roku prokuratorzy z tarnobrzeskiej okręgówki zwracali uwagę niemieckim kolegom, że wobec nowych dowodów wypadałoby wznowić proces Piotra. Niemiecki wymiar sprawiedliwości nie chciał o tym słyszeć. Pisemne wnioski w tej sprawie Piotra w ogóle ignorował. Piotr trzykrotnie prosił prezydenta Andrzeja Dudę o ułaskawienie. Wnioski popierały sądy okręgowy i apelacyjny w Rzeszowie, dyrekcja zakładu karnego wspierała te inicjatywy pozytywnymi opiniami o osadzonym. Ze strony Kancelarii Prezydenta RP nie było żadnej reakcji. Czwarty wniosek Piotra trafił na biurko prezydenta Karola Nawrockiego. Piotr ma nadzieję, że tym razem stanie się cud. Bo przecież już jeden się zdarzył: „Prokurator Generalny Waldemar Żurek zarządził wobec skazanego P. P. przerwę w wykonywaniu kary dożywotniego pozbawienia wolności. Zarządzenie przerwy w wykonywaniu kary P. P. ma charakter tymczasowy i pozostaje w bezpośrednim związku z toczącym się postępowaniem ułaskawieniowym" - oficjalnie zakomunikowała Prokuratura Krajowa wkrótce po tym, jak za Piotrem zatrzasnęły się bramy ZK w Rzeszowie. On sam wierzy, że już tam nie wróci, nawet sobie nie wyobraża, że wrócić musiałby.

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Piotr Pytel z Rzeszowa ocenia, że pewnie miną tygodnie, a raczej miesiące, nim zaadaptuje się w nowym dla siebie świecie

- Jeśli ten człowiek został faktycznie niesłusznie skazany, to należy się tą sprawą po prostu zająć - stwierdził w wywiadzie telewizyjnym Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta RP. - To pierwsza decyzja ministra sprawiedliwości, którą należy pochwalić - oceniał decyzję Waldemara Żurka o przerwie w wykonaniu kary przez Piotra. Co nadzieję na decyzję ułaskawiającą czyni bardziej uzasadnioną.

Wolny, oszołomiony

Nie miał czasu, by oswoić się z myślą, że będzie wolny, na co czekał ponad dwie dekady. Miał godzinę na spakowanie się i bramy ZK na Załężu załomotały już za jego plecami. O tym, że „wychodzi", nie wiedzieli nawet jego bliscy. Wsiadł w taksówkę za złotówki zaoszczędzone „pod celą", stanął na progu rodzinnego domu. Matka nie wierzyła, że go widzi.

- Mama zobaczyła mnie w drzwiach, nie wierzyła, że przed nią stoję - opowiadał dzień później podczas wywiadu dla „Nowin". - Potem był już tylko płacz, bo długo nie mogła uwierzyć. Ja też nie.

Ale dzień wcześniej, dwie godziny po uwolnieniu, matka, która przez lata wspierała syna w staraniach o wolność, była w euforii radości, by chwilę potem uderzyć w płacz ze wzruszenia, po czym znów nieopisana radość i uśmiech na twarzy. Z Piotrem w koszulce z wizerunkiem Matki Bożej na piersi pogadać się nie dało - strzępy zdań, urywane nagle wątki, zachowanie, jakby nie do końca istniał w tej rzeczywistości. Pewnie trochę za dużo wrażeń naraz, żeby zapanować nad emocjami i umysłem. Rankiem dzień później w redakcyjnym studiu „Nowin" już mocniej stąpał umysłem po ziemi. Przyznał, że ta pierwsza noc na wolności była bezsenna, a w głowie kłębiły się tysiące myśli. Pierwsze chwile, pierwszy kontakt z poza więziennym realem? Świat przez szybę taksówki, którą zmierzał do domu w godzinach rzeszowskiego ulicznego korka. Jego obraz rodzinnego miasta miał ponad 20 lat.

- Tamten Rzeszów z niemal pustymi ulicami, a my przeciskaliśmy się w korku samochodów. A ilość zabudowy w Rzeszowie... Pamiętam telefony Nokii z klawiszami. Teraz dostałem smarfona, do którego mówiłem, a on odpowiadał. Poszedłem do sklepu samoobsługowego po warzywa, śmieszna scena, tego będę się musiał nauczyć, ale obłędna ilość towaru, wszystkiego można dotknąć, każdy sprawdzić... Wciąż jestem i pewnie długo będę przytłoczony natłokiem nowej rzeczywistości. Najbardziej ciekaw jestem nowinek technicznych, jak bardzo to wszystko się zmieniło i jak bardzo człowiek jest mały wobec tych zmian. Dziś zapytałem mamy, czy poczta jeszcze po tej stronie istnieje, bo w więzieniu jeszcze tak. Poza tym mnogość i jakość aut, jakie dotychczas widział tylko w telewizji.

Przyznaje, że wciąż oszołomiony jest tą nową rzeczywistością, gwarną, barwną, szybką, dynamiczną, ale - mówi - „człowiek potrafi się wyciszyć, okazać w sobie pokorę". Szacuje, że pewnie miną tygodnie, a raczej miesiące, nim zaadaptuje się w tym nowym dla siebie świecie.

Przyszłość? Obaw przez zaadoptowaniem się do nowej rzeczywistości nie ma, no może zdrowotne, bo zła przeszłość za kratami hojnie obdarzyła go poważnymi dolegliwościami. Plany? Najpierw kurs na Jasną Górę, żeby podziękować Najświętszej Panience za ocalenia życia. - Wyszedłem w dzień świętej Rity, patronki spraw beznadziejnych - podkreśla swoje przywiązanie do religii. - Dla Boga nie ma przypadków.

Potem trzeba wyrobić dowód osobisty, bo stary dawno stracił ważność, a i w ewidencji PESEL chyba nie występuje. Skutkiem czego dla administracji publicznej nie istnieje, więc jak np. zapisać się do lekarza, w ogóle jak żyć bez papierów? Jego prawu jazdy też już dawno minął termin przydatności. - Jestem trochę jak człowiek widmo - pokazuje, że stać go na autoironię.

Przyszłości się nie obawia, do przeszłości wracać nie chce, choć - spodziewa się - że takie myśli „będą do niego powracać jak źle rzucony bumerang".

Marzenia o wolności się spełniły?

- Nie do końca - uprzedza. - Spełnią się, jeśli pan prezydent w swojej łaskawości przychyli się do wniosku o akt łaski dla mnie. Wtedy będę wolnym człowiekiem, będę mógł walczyć w Niemczech o odwrócenie tego wszystkiego.

Bo prezydenckie ułaskawienie da mu wolność, ale wciąż pozostanie prawomocnie skazany na dożywotnie pozbawienie wolności za zabójstwo, co orzekł przed laty monachijski sąd. - Nie ustanę, by mój krzyk rozpaczy został wysłuchany do końca - zapowiada. - Ale teraz chciałbym bardzo, ale to bardzo podziękować panu ministrowi Waldemarowi Żurkowi za okazane wsparcie i pochylenie się na moją sprawą, pani wiceminister Marii Ejchart i pani Ewie Wrzosek.

A co dziś, jutro, pojutrze? - Powolutku będę się uczył żyć - mówi Piotr Pytel. - Trochę jak nowo narodzony. ©℗

MUSI WYROBIĆ DOWÓD OSOBISTY, BO STARY DAWNO STRACIŁ WAŻNOŚĆ, A I W EWIDENCJI PESEL CHYBA NIE WYSTĘPUJE

eprasa.pl 88eb43e386

Stała się tragedia. Ania zabiła Piotra. Zadźgała go nożem. Zostały sieroty

W Grucie pod Grudziądzem żona ugodziła męża nożem kuchennym. Cios był śmiertelny. Kobieta trafiła za kraty. Córeczkami małżeństwa zaopiekowała się babcia

Aleksandra Pasis

Moje wnusie Nikolka i Lenka zostały sierotami. Mamusia zabiła tatusia. Jaką karę dostanie? Nie wiemy... Wszystko będę robiła dla dzieci. Wychowam je najlepiej, jak tylko będę potrafiła i ile mi sił starczy - łzami zalewa się Jolanta Helt spod Grudziądza, babcia dziewczynek. I spogląda na zdjęcie syna, którego niemal miesiąc temu pochowała.

- Brak mi go. Serce pęka. Młody, mógłby żyć. Poszedł do nieba - pani Jolanta nie może pogodzić się z dramatycznym odejściem swojego dziecka. Piotra. Miał 28 lat.

Rozental. To niewielka rolnicza miejscowość w gm. Radzyń Chełmiński w powiecie grudziądzkim. Przy głównej ulicy stoją rozpadające się dawne obory. Zajeżdżam na podwórze. Tutaj sporo zabawek dziecięcych, kojce z psami.

- Pani się nie boi, on nie gryzie - witają mnie pani Jola i czarny kundelek merdający ogonem. - Ten pies i samochód przed domem to... po synu.

Wchodzimy do domu. W pokoju jest półtoraroczny Tymek, który macha do mnie małą rączką. To synek córki pani Joli, Kasi i jej męża. Na stoliku pod oknem stoją zdjęcia Piotra. Na jednym z nich jest w bluzie i szaliku GKM-u. Był fanem grudziądzkiej drużyny żużlowej. Drugie - portretowe. - Widzi pani te spinki przypięte do zdjęcia? - mówi seniorka. - To Lenki, młodszej wnuczki... Tak sama chciała...

Dobra mina do złej gry?

Siadamy w kuchni. - Dzień przed tą tragedią córka miała urodziny. Synowa z synem i dziewczynkami też przyjechali. Wspólnie świętowaliśmy. Synowa siedziała u Piotra na kolanie. Czule do niego się zwracała: „Mój kochany mąż". Nie wiem, czy to była dobra mina do złej gry? Trudno powiedzieć - wspomina pani Jolanta.

- Nic nie wskazywało, że niedługo dojdzie do takiego dramatu... On był dobry dla Ani, synowej. Zajmował się córeczkami. Grał z nimi, bawił się, wygłupiał. Wyjazdy organizował. Był dobrym ojcem.

FOT. ALEKSANDRA PASIS

Jolanta Helt, babcia Lenki i Nikoli chce zapewnić wnuczkom jak najlepszą przyszłość. Prosi o wsparcie zbiórki „Dziewczynki Malutkie Sieroty" organizowanej na pomagam.pl

Pani Jola dodaje, że dziewczynki od dłuższego czasu mają wykupione bilety do parku wodnego pod Łodzią.

- Kto teraz z nimi pojedzie? Rodziców nie ma... Ona osierociła je z ojca, a sama siedzi... - wtrąca pani Jola. I dodaje: - Coś przeczuwałam. Jestem starszą osobą i Boga prosiłam w każdej modlitwie, żeby tam do „czegoś" nie doszło.

Babcia dziewczynek nie chce oczerniać synowej, ale twierdzi, że „wieść gminna niosła", iż ona była zazdrosna o Piotra, a Piotr o nią. Zdarzały się kłótnie. - Mój syn był zmęczony życiem. Pracował ciężko i dużo - uważa pani Jola. - Pomagał każdemu, a ona to wykorzystywała...

„Nożem go zadźgała"

„Stała się tragedia. Gdzie? W Grucie" - telefon z taką wiadomością odebrał w nocy z 25 na 26 kwietnia najstarszy syn pani Joli, Marcin. To on po tym, jak udał się na miejsce dramatu i zobaczył, jak bratową w kajdankach wyprowadza policja, przyjechał nad ranem powiadomić resztę rodziny. - Spaliśmy. Usłyszałam pukanie do drzwi. Otwieram, a tam stoi Marcin. Poprosił, żebym usiadła. Powiedział: „Stała się tragedia. Ania zabiła Piotra. Nożem go zadźgała". On mnie uspokajał, ja jego - wspomina przez łzy pani Jola.

FOT. ALEKSANDRA PASIS

Na grobie 28-letniego Piotra jest żółto-niebieskie serce z kwiatów. To barwy GKM-u, którego fanem był tata Nikoli i Leny. Dziewczynki przyjeżdżają tu z babcią zapalać znicze

Babcia dziewczynek spogląda przez okno na stodołę. To tutaj składowane są meble i sprzęty z domu jej zmarłego syna. - Pralka, kabina prysznicowa. Wszystko we krwi - płacze. - Nie było ratunku. Dlaczego to zrobiła? Nie wiem... Dobrze, że dzieci tego nie widziały. Były wtedy u sąsiadki.

Ciszę, która zapadła, przerywa dźwięk małych stópek Tymka, który jeszcze chwiejnym krokiem zmierza do babci. Wtula się w panią Jolę, jakby wyczuwał, że jest smutna. Proponuję, abyśmy zobaczyli pokoik Nikolki i Lenki, aby choć na chwilę odsunąć bolesne wspomnienia. Pani Jola prowadzi. Jasne ściany, zabawki, maskotki i piętrowe łóżko. To teraz tu jest ich mały świat. Urządzony na szybko.

Zbiórka na „Dziewczynki - Malutkie Sieroty"

- Tęsknota za mamą i tatą coraz bardziej pogłębia się. A ja im rodziców nie zastąpię. Zdaję sobie z tego sprawę, ale zrobię co w mojej mocy, aby dziewczynkom niczego nie brakowało - spod okularów płyną kolejne łzy.

- Dużo mi nie zostało. Młoda już nie jestem. Stawy, dyskopatia, ciśnienie. Z tym się borykam. Wnuczki są priorytetem. Serce pęka mi z żalu. Biedne dzieciaczki. Wszystko robię z myślą o nich.

By zebrać pieniądze na zapewnienie przyszłości Nikoli i Leny zorganizowana została zbiórka na portalu pomagam.pl pod hasłem „Dziewczynki - Malutkie Sieroty". Każdy, kto chciałby wesprzeć, może wpłacić dowolny datek. Czytamy m.in. „Dzieci mają dziś tylko 6 i 11 lat. Są za małe, by zrozumieć, dlaczego ich świat rozsypał się w jeden wieczór. Za małe, by pojąć śmierć ojca i nieobecność matki. Zostały same z bólem, tęsknotą i traumą, która będzie z nimi przez całe życie. (...). Dlatego prosimy o pomoc. Każda wpłata to nie tylko wsparcie finansowe. To sygnał dla tych dzieci, że mimo niewyobrażalnej tragedii nie zostały same".

- Złotówki nie chcę z tej zbiórki dla siebie. Wszystko dla wnuczek. Co tylko będę miała, to jeszcze dołożę - mówi Jolanta Helt. - Żyję z oszczędności. Boga proszę, żeby dał mi siłę i zdrowie, żebym mogła je wychować. Czy to się uda? Chciałabym im urządzić własne pokoje. Potrzebują też opieki psychologicznej, żeby uporały się z traumą utraty rodziców. To wszystko kosztuje.

Babcia decyzją sądu ma przyznaną na teraz opiekę nad dziećmi Anny i Piotra.

Na sierpień wyznaczono termin rozprawy w sądzie rodzinnym z udziałem matki dziewczynek.

W tej tragicznej sytuacji, jaka z dnia na dzień spotkała rodzinę, pani Jola przyznaje, że pomagają jej m.in. najstarszy syn z żoną, sąsiedzi, przyjaciele Piotra. Starają się zapewniać wnuczkom atrakcje, zabawy, aby choć w ten sposób dać im namiastkę dziecięcej radości w tej traumie.

„Nigdy nie wybaczę, że zamordowała mi syna"

Pytam panią Jolę, która wstała od stołu, by przygotować obiad dla Nikoli i Lenki - dziewczynki niebawem mają wrócić ze szkoły - jakiego wyroku oczekuje dla synowej? - Ona jest matką moich wnuczek. Potrafię wybaczać, ale tego, że zamordowała mi syna, nie wybaczę. Wyrok niech wyda sąd. Dla niej wyrokiem jest to, że będzie żyła z tą świadomością, że zabiła - ucina seniorka. I po chwili milczenia dodaje: - Co człowiek musi w życiu przejść? Jakie życie pisze scenariusze... niewyobrażalne.

Pani Jola jak na 63 lata i przeszła już w życiu wiele. Tragicznie w wieku 24 lat zginął jej brat. Wychowała piątkę dzieci: Marcina, bliźniaków Piotra i Pawła, Bogusia i Kasię. Dwa lata temu pochowała męża, który chorował na nowotwór. Pochowała też rodziców, babcię. W Górnej Grupie, tutaj również spoczął Piotr. - Jeździmy tam z dziećmi. Chcemy, aby pamiętały o tatusiu - kończy pani Jola.

Synowa pani Joli, 27-letnia Anna H. przebywa w tymczasowym areszcie. Usłyszała zarzut zabójstwa męża. Przyznała się do ugodzenia nożem kuchennym, ale zaprzeczyła, że chciała zabić. Gdy zatrzymywała ją policja, była pod wpływem alkoholu.

Na jakim etapie jest śledztwo? - Niebawem będziemy składali wniosek do sądu o skierowanie podejrzanej na czterotygodniową obserwację psychiatryczną w warunkach szpitalnych - wyjaśnia Magdalena Chodyna, zastępca prokuratora rejonowego w Grudziądzu. - W dalszym ciągu trwa gromadzenie materiału dowodowego. Kobiecie grozi dożywocie.©℗

eprasa.pl 88eb43e386

ZBRODNIA, WENEZUELCZYK I HEJT NA ADWOKATA

11 czerwca rozpoczął się proces Wenezuelczyka oskarżonego o zabójstwo 24-letniej Klaudii w parku „Glazja" w Toruniu. Zbrodnia do dziś budzi silne emocje. Obrońcą oskarżonego z urzędu jest adwokat Mateusz Chodziak. Wylał się na niego niesamowity hejt, ale murem stanęła za nim adwokatura. – Zdarzenia, jakie miały miejsce w Toruniu, są idealną pożywką dla niektórych partii politycznych – mówi prof. Michał Wróblewski, socjolog UMK

Małgorzata Oberlan

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Wenezuelczyk oskarżony jest o bestialskie zabójstwo 24-letniej Klaudii

Dokładnie po roku od zbrodni w parku „Glazja", 11.06.2026 r., Sąd Okręgowy w Toruniu rozpoczął proces młodego Wenezuelczyka, który odpowiada za zabójstwo 24-letniej Klaudii, dokonane ze szczególnym okrucieństwem.

Obrońcą przyznanym oskarżonemu z urzędu - przez sąd - od blisko roku jest adwokat Mateusz Chudziak. Reprezentuje Yomeykerta R.-S. od momentu jego zatrzymania i posiedzenia aresztowego. Zna język hiszpański, ale obcokrajowcowi zapewniono też od początku tłumacza.

W sieci i realu osoba Wenezuelczyka budzi silne emocje. Środowiska skrajnie prawicowe zbrodnię tę próbują wykorzystywać jako swoiste paliwo polityczne. Ale adwokat został zaatakowany werbalnie właśnie przy okazji początku procesu.

„Jak możesz bronić mordercy?" - te słowa padają już na sali sądowej, rzucone w kierunku prawnika przez aktywistów skrajnej prawicy, którzy weszli tutaj jako publiczność, na listę wpisując się jako przedstawiciele organizacji pozarządowej.

Prawdziwa fala hejtu wylewa się jednak w internecie na różnych forach i w komentarzach pod medialnymi relacjami z procesu. „Jaką trzeba być szmatą, żeby kogoś takiego bronić" i „za pieniądze zrobi wszystko" - to jedne z łagodniejszych obelg.

Po tym hejcie murem za obrońcą stanęła natychmiast Okręgowa Rada Adwokacka, przypominając o podstawach, czyli prawie do obrony, i o tym, że obrońca z czynem czy osobą oskarżonego się nie identyfikuje.

Adwokat Mateusz Chudziak mówi dziś, że bardzo to docenia i ufa w wymiar edukacyjny oświadczenia adwokatury. Sam od początku zachowuje pełen profesjonalizm i stara się emocjom nie ulegać. - Nie miałem momentu zawahania, podejmując się wyznaczonej mi przez sąd roli obrońcy. Nie miałem też myśli, że czegoś żałuję - mówi, gdy rozmawiamy po dziesięciu dniach.

Socjolog: Zdarzenia w Toruniu są pożywką dla partii politycznych

Sam Mateusz Chudziak, jak i większość ludzi, dobrze zdaje sobie sprawę z faktu, że u podłoża hejtu leży sama osoba oskarżonego. Emocje byłyby przynajmniej o połowę mniej gorące, gdyby nie chodziło o ciemnoskórego emigranta z Wenezueli. Dodatkowo, jak się szybko okazało, w momencie zbrodni już „nielegalnego" w Toruniu (nie przedłużył pozwolenia na pobyt).

Brutalne zabójstwo młodej doktorantki UMK, która krytycznej nocy wracała skrajem parku „Glazja" do domu po pracy w pubie, spotkałoby się z ogromnym sprzeciwem wobec zła - to oczywiste. Emocje towarzyszące całej sprawie miałyby jednak inne barwy i nie byłyby wykorzystywane w dyskursie o polityce wobec emigrantów etc. A podpalić te emocje wobec każdego „obcego" nie tylko w Toruniu jest dziś dość łatwo...

Skąd w nas taka agresja wobec „innego"?

- Inność często postrzegana jest przez społeczeństwo jako niebezpieczeństwo, głównie ze względu na potencjalne zagrożenie i obcość. W antropologii opisany jest mechanizm kozła ofiarnego, który polega na obarczaniu winą określonej osoby bądź grupy. Tego typu praktyki mają miejsce głównie w czasie nieporządku społecznego, kiedy określone wartości stają się niepewne, a światem społecznym zaczyna rządzić chaos. Obarczanie kogoś winą, chociaż brzmi to nieco dziwnie, ma za zadanie rozładować negatywne emocje społeczne i przywrócić pewien porządek. Mówiąc nieco inaczej, ludzie czują, że ich świat jest bardziej uporządkowany, kiedy mogą obarczyć winą kogoś za zło, którego konsekwencje mniej lub bardziej bezpośrednio doświadczają - wskazuje dr hab. Michał Wróblewski, prof. UMK, dyrektor Instytutu Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Jak objaśnia socjolog, tego typu emocje i postawy społeczne mogę być wzmacnianie przez określone zjawiska czy działania niektórych grup, podmiotów czy instytucji. W przypadku reakcji na wydarzenia, jakie miały miejsce w Toruniu, należy, zdaniem naukowca, wspomnieć o kilku kwestiach.

- Po pierwsze, żyjemy w czasach niebezpiecznych, straszy się nas wojną i różnymi zagrożeniami. Społeczeństwo funkcjonuje niejako w ciągłym alercie, a każde zdarzenie łatwo może zostać wyolbrzymione i stać się potencjalnie źródłem dużych niepokojów społecznych. Zagrożenie wojenne wyczula naszą uwagę na różne zagrożenia, przez co funkcjonujemy w trybie nieustannego napięcia. Po drugie, żyjemy w mocno spolaryzowanym społeczeństwie, w którym silne emocje społeczne są głównym paliwem politycznym. Zdarzenia, jakie miały miejsce w Toruniu, są idealną pożywką dla niektórych partii politycznych, które nie tylko wykorzystują naturalny do pewnego stopnia lęk przed obcością, ale jeszcze wzmacniają negatywne emocje społeczne, podsycając nienawiść wobec innego i strach przed zagrożeniem porządku społecznego - podkreśla prof. Michał Wróblewski.

Po trzecie wreszcie, kwestia polityki migracyjnej od wielu już lat wywołuje duże niepokoje społeczne. - Począwszy od europejskiego kryzysu migracyjnego z 2015 roku po wydarzenia na granicy polsko-białoruskiej, polskie społeczeństwo jest mocno rozgrzane tematem uchodźców, migrantów czy kulturowej obcości - wskazuje socjolog.

W takich właśnie okolicznościach toczy się teraz proces Wenezuelczyka w Toruniu, a na jego obrońcę z urzędu wylewa się hejt. Tym jednak, co na pewno okazało się budujące, była błyskawiczna i zdecydowana reakcja adwokatury.

Dziekan ORA: „Obrońca nie utożsamia się z czynem czy z oskarżonym"

Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Toruniu i jego koledzy stanowczo i natychmiast po rozpoczęciu procesu wyrazili sprzeciw przeciwko podważaniu prawa do obrony każdego człowieka i wezwali do opanowania. W Toruniu ogłoszono specjalny apel w związku z opisywaną sytuacją.

„Prawo do obrony jest jedną z podstawowych zasad demokratycznego państwa prawa. Przysługuje każdej

eprasa.pl 88eb43e386

osobie oskarżonej niezależnie od charakteru stawianych jej zarzutów, społecznych emocji towarzyszących sprawie czy oceny opinii publicznej. Nie jest ono przywilejem oskarżonego, lecz gwarancją procesową służącą ochronie praw i wolności wszystkich obywateli" - podkreśla w wydanym oświadczeniu mecenas Jan Kwietnicki, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej Toruniu.

Dalej zwraca uwagę na to, że adwokat podejmujący się obrony - zarówno z wyboru, jak i z urzędu - nie utożsamia się z osobą oskarżonego ani z zarzucanym mu czynem. Jego rolą jest czuwanie, aby postępowanie toczyło się zgodnie z prawem, proces był uczciwy, a oskarżony został wysłuchany. „Realizowanie tych obowiązków stanowi istotę zawodu adwokata" - tłumaczy dziekan ORA.

„Nie może istnieć kategoria osób pozbawionych prawa do obrony"

Adwokat Jan Kwietnicki podkreśla też, że z głębokim niepokojem adwokatura przyjmuje sugestie, że obrońca omawianego oskarżonego winien był odmówić podjęcia się tego obowiązku - z uwagi na charakter zarzutów czy społeczne oburzenie.

„Oczekiwanie takie pozostaje w sprzeczności z fundamentami państwa prawa. W systemie nie może istnieć kategoria osób pozbawionych prawa do obrony" - stanowczo podkreśla adwokat Jan Kwietnicki.

Odezwę toruńskiej adwokatury kończy stanowczy sprzeciw przeciwko hejtowi, mowie nienawiści i publicznemu piętnowaniu adwokatów wykonujących swoje obowiązkowi oraz apel o opanowanie.

„Apelujemy o powściągliwość w formułowaniu ocen, poszanowanie konstytucyjnych gwarancji procesowych oraz umożliwienie sądowi wydania rozstrzygnięcia wyłącznie na podstawie zgromadzonych dowodów i obowiązującego prawa" - kończy adwokat Jan Kwietnicki.

Nowelizacja prawa w Sejmie. Hejt na adwokatów będzie ścigany z urzędu

Problem jest szerszy. W całym kraju adwokaci i radcy prawni skarżą się, że coraz częściej w swojej pracy narażeni są na hejt, agresję, znieważanie i stalking. Chodzi nie tylko o działania w internecie, ale i całkiem realne - bywa, że agresorów nie powstrzymują nawet sala sądowa i obecność sędziego.

Z tego powodu prawnicy chcą, by w ustawach ich dotyczących wprowadzony został przepis, zgodnie z którym podczas i w związku z wykonywaniem obowiązków zawodowych będą objęci ochroną przewidzianą dla funkcjonariuszy publicznych i wynikającą z Kodeksu karnego.

Radcy prawni swój zapis wywalczyli w nowelizacji przyjętej już przez Sejm. Z kolei odpowiednia poprawka do „Prawa o adwokaturze" zdaje się mieć szeroką akceptację posłów i spore szanse na przyjęcie. Oczywiście, wszystkich problemów zhejtowanych adwokatów to nie rozwiąże, ale - jak sami wskazują - zapis byłby podstawą, na którą przynajmniej mogliby się powoływać, oczekując ścigania hejterów, osób ich znieważających etc.

- Osobiście jestem zdecydowanie za tą nowelizacją, jak zapewne większość moich koleżanek i kolegów. Hejterskimi komentarzami pod adresem adwokata Mateusza Chudziaka jestem oburzony. Takie zachowania są nieakceptowalne i dobrze się stało, że Okręgowa Rada Adwokacka w Toruniu natychmiast zareagowała - mówi adwokat Adam Wygralak. On był obrońcą „Anioła Śmierci z Torunia" (z wyboru), czyli nieprawomocnie skazanego na dożywocie Macieja B., przedsiębiorcy, który ubezpieczał ludzi, był uposażony do odbioru odszkodowania w razie ich zgonu i starał się to wykorzystać. Karę dożywocia toruński sąd wymierzył mu za kilka czynów, ale kwalifikowało się na to już samo wywołanie pożaru, w którym zginęła seniorka, pani Maria. „Zabił, by zainkasować pieniądze z ubezpieczenia na życie" - do tego sprowadzać miała się jego motywacja.

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Z prawej adwokat Mateusz Chudziak,obrońca, z lewej tłumaczka języka hiszpańskiego przyznana oskarżonemu

Tylko pod naszymi publikacjami o tej sprawie i procesie toczącym się w pierwszej instancji (niebawem ruszy proces apelacyjny w Gdańsku) pojawiały się zaczepne komentarze wobec jego obrońcy, adwokat Wygralak ich jednak nie śledził. Ich liczba i natężenie emocji były jednak nieporównywalnie mniejsze niż przy sprawie Wenezuelczyka.

Proces za zamkniętymi drzwiami. Czy to obniży poziom emocji?

Jak dalej potoczy się proces Wenezuelczyka w Toruniu? Druga rozprawa odbyła się 18 czerwca, kolejne są zaplanowane. Proces toczy się już za zamkniętymi drzwiami - jawność wyłączono.

W praktyce oznacza to m.in. brak możliwości wejścia na salę rozpraw zarówno przedstawicieli mediów, jak i innych osób w charakterze publiczności. A tam, gdzie błysku fleszy i światła kamer brak, żaden „aktywista" już nie zaistnieje. Już to powinno obniżyć nieco poziom emocji narosłych wokół procesu, osoby oskarżonego i jego obrońcy.

Oczywiście nie zmienia to faktu, że opinia publiczna będzie wyczekiwać finału procedowania, wyroku i kary. Pamięć o zbrodni w parku „Glazja" i jej ofierze trwa - zwykli mieszkańcy do dziś zatrzymują się w miejscu tragedii. Stoją tam krzyż, znicze, kwiaty.

Okoliczności zbrodni w Toruniu. Liczne ciosy nożem i próba gwałtu

Przypomnijmy krótko okoliczności opisywanej zbrodni w Toruniu. W nocy z 11 na 12 czerwca 2025 roku mający wówczas 19 lat Wenezuelczyk brutalnie zaatakował w parku „Glazja" młodą kobietę. Rzucił się z nożem na 24-letnią Klaudię, która wracała wtedy do domu po pracy w pubie na starówce. Usiłował ją zgwałcić, zadał liczne i silne ciosy nożem po całym ciele.

Młoda kobieta rozpaczliwie wzywała pomocy. Zareagował na to pan Błażej, mieszkaniec okolicy. Spłoszył napastnika, wezwał „112". Potem w miejskim szpitalu trwała dramatyczna walka o życie ofiary napaści. Niestety, 24-letnia Klaudia zmarła.

Yomeykert R.-S szybko został zatrzymany. Do Polski przybył legalnie, do mieszkającej już tutaj i pracującej matki. Ale potem pozwolenia nie przedłużył i jego pobyt stał się nielegalny. Wiadomo, że - będąc w Toruniu - nie uczył się i nie pracował.

Wenezuelczyk od roku jest nieprzerwanie tymczasowo aresztowany. Zapewniono mu obrońcę z urzędu i tłumacza języka hiszpańskiego już na etapie posiedzenia aresztowego, w czerwcu 2025 roku. Identycznie jest w procesie sądowym.

Mężczyźnie oskarżonemu o zabójstwo dokonane ze szczególnym okrucieństwem grozi kara dożywotniego więzienia.

©℗

OŚWIADCZENIE OKRĘGOWEJ RADY ADWOKACKIEJ W TORUNIU

Stanowisko Okręgowej Rady Adwokackiej w Toruniu w związku z komentarzami dotyczącymi wykonywania obowiązków obrońcy w postępowaniu karnym

„W związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej, w szczególności w mediach społecznościowych, komentarzami dotyczącymi udziału adwokata wyznaczonego z urzędu do obrony oskarżonego w toczącym się postępowaniu karnym, Okręgowa Rada Adwokacka wyraża stanowczy sprzeciw wobec wypowiedzi podważających istotę prawa do obrony oraz godzących w niezależność wykonywania zawodu adwokata.

Prawo do obrony jest jedną z podstawowych zasad demokratycznego państwa prawa. Przysługuje każdej osobie oskarżonej, niezależnie od charakteru stawianych jej zarzutów, społecznych emocji towarzyszących sprawie czy oceny opinii publicznej. Nie jest ono przywilejem oskarżonego, lecz gwarancją procesową służącą ochronie praw i wolności wszystkich obywateli.

Adwokat podejmujący się obrony – zarówno z wyboru, jak i z urzędu – nie utożsamia się z zarzucanym czynem ani z osobą oskarżonego. Jego rolą jest czuwanie nad tym, aby postępowanie przebiegało zgodnie z prawem, z poszanowaniem zasad rzetelnego procesu, prawa do wysłuchania oraz prawa do sprawiedliwego osądzenia sprawy przez niezawisły sąd. Realizowanie tych obowiązków stanowi istotę zawodu adwokata i służbę na rzecz wymiaru sprawiedliwości.

Przypominamy, że w demokratycznym państwie prawa o winie lub niewinności rozstrzyga wyłącznie sąd po przeprowadzeniu postępowania dowodowego. Publiczne przesądzanie odpowiedzialności karnej przed wydaniem prawomocnego wyroku pozostaje sprzeczne z zasadą domniemania niewinności, która chroni każdego obywatela.

Z niepokojem odnotowujemy pojawiające się w debacie publicznej sugestie, że adwokat powinien odmówić prowadzenia obrony ze względu na charakter zarzutów lub społeczne oburzenie. Oczekiwanie takie pozostaje w sprzeczności z fundamentami państwa prawa. W systemie sprawiedliwości nie może istnieć kategoria osób pozbawionych prawa do profesjonalnej obrony. Podkreślamy również, że adwokaci każdego dnia reprezentują nie tylko oskarżonych, ale także osoby pokrzywdzone przestępstwami, ich rodziny oraz świadków. Misją adwokatury jest stanie na straży praw człowieka i obywatela oraz zapewnianie każdej stronie postępowania profesjonalnej pomocy prawnej.

Okręgowa Rada Adwokacka stanowczo sprzeciwia się wszelkim przejawom mowy nienawiści, personalnym atakom, próbom publicznego napiętnowania adwokatów wykonujących swoje ustawowe obowiązki oraz działaniom mogącym podważać zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Debata publiczna, nawet w sprawach budzących silne emocje, powinna opierać się na szacunku dla drugiego człowieka, faktów oraz zasad państwa prawa.

Apelujemy o powściągliwość w formułowaniu ocen, poszanowanie konstytucyjnych gwarancji procesowych oraz umożliwienie sądowi wydania rozstrzygnięcia wyłącznie na podstawie zgromadzonych dowodów i obowiązującego prawa".

eprasa.pl 88eb43e386

FOT. 123RF

Katarzyna Krzywicka-Zdunek: Przyjezdni próbują wprowadzać na wieś miejski porządek, wprost z zamkniętych osiedli, gdzie po godzinie 18 nie kosi się trawnika, o 22 jest cisza nocna

KATARZYNA KRZYWICKA-ZDUNEK: POLACY ZAKOCHALI SIĘ WE WSI JAK Z INSTAGRAMA

Dlaczego Polacy fantazjują dziś o ucieczce na wieś, czego w tej fantazji nie chcą widzieć i dlaczego dobre życie poza miastem wymaga pieniędzy, samochodu oraz pokory wobec lokalnej społeczności – mówi socjolożka Katarzyna Krzywicka-Zdunek z socjolożki.pl

Anita Czupryn

Polacy pokochali wieś – na to wskazują najnowsze badania socjolożek.pl. Skąd w ogóle pomysł, żeby to zbadać?
Zaczęło się od tego, że znana influencerka nagrała filmik, w którym ogłosiła: „Teraz zaczynam moją countryside era". Opowiadała, że będzie chodziła na ryneczek i kupowała jajka od szczęśliwych kurek. Internauci ją wykpili. Pisali, że romantyzuje polską wieś, że życie na wsi nie jest takie różowe, a ona zapewne przeprowadza się nie na wieś, tylko pod Warszawę, czyli na przedmieścia. I że jedyne, co będzie miała, to własny ogródek, a zakupy i tak będzie robiła w pobliskim Dino. Stwierdziłyśmy więc, że sprawdzimy, czy według Polek i Polaków życie na wsi jest atrakcyjne.

Okazało się, że jest?
Tak. Ale to jest ciekawa atrakcyjność, bo z jednej strony Polacy widzą pozytywne aspekty: spokój, ciszę, bliskość natury, czyste powietrze, własny dom z ogrodem, większą przestrzeń, wolniejsze tempo życia. Pojawia się też poczucie bezpieczeństwa, choć nie aż tak często, jak można by sądzić. Tylko co czwarty Polak uważa, że na wsi jest bezpieczniej. Natomiast spokój i ciszę wskazuje 66 procent badanych. Z drugiej strony kobiety częściej niż mężczyźni dostrzegają, że na wsi jest mniejszy wybór szkół i zajęć dla dzieci, mniej możliwości związanych z pracą, sklepami, kulturą czy edukacją. Czyli cała ta różnorodność, którą mamy w mieście, jest trudniej dostępna. Mężczyźni trochę częściej widzą wieś przez pryzmat bezpieczeństwa i spokojnego życia.

Jeśli 66 procent badanych uważa życie na wsi za atrakcyjne, to ono jest atrakcyjne do czego? Do mieszkania? Do codziennego życia?
Do życia, do codziennego funkcjonowania. Ale w tej atrakcyjności objawia się przede wszystkim tęsknota za odpoczynkiem, za odskocznią od zabieganego życia. Tylko że często to jest dobre na chwilę. Bo zaraz wracamy do naszego pędu. W intensywnym życiu zawodowym wieś mogłaby nam się szybko znudzić. Może takie życie jest dobre, kiedy jesteśmy na emeryturze, ale gdy jesteśmy wciągnięci w pracę, to już nie jest takie oczywiste.

Ciekawa jestem, czy zmieniło się nasze myślenie o wsi?
Zmieniło się o tyle, że kiedyś była może tęsknota za dworkiem szlacheckim. W latach 90., kiedy na wsiach budowano wille, była w tym aspiracja do klasy wyższej albo wyższej średniej. Teraz to jest raczej tęsknota za prostym życiem. Takim, w którym wracamy do relacji z sąsiadami, do lokalnych kontaktów ze sprzedawcami. To jest tęsknota za bliskością, za dzieciństwem. W dużej mierze jesteśmy jednak społeczeństwem chłopskim. Wielu z nas pochodzi ze wsi.

Mieszkałam na wsi w dzieciństwie, dojeżdżałam do szkoły w miasteczku, dzieciaki nazywały mnie „wieśniarą". Wtedy marzeniem było, żeby ze wsi uciec do miasta. Dziś coraz częściej fantazjuje się o ucieczce na wieś. Co się stało?
Ten powrót na wieś czy ucieczka na wieś nie oznacza już tego samego, co dziesięć czy dwadzieścia lat temu, gdy mówiło się: rzucę wszystko i wyjadę w Bieszczady, będę wypasać owce i robić sery. Przekonaliśmy się, że to nie działa. Trzeba się z czegoś utrzymać. Sama wizja, że tam odzyskam spokój, jest bardzo romantyczna. Tymczasem, żeby móc fantazjować o powrocie na wieś, trzeba mieć kapitał ekonomiczny. Taki, który pozwoli pracować zdalnie z domku na wsi.

Skończył się pogardliwy język wobec wsi? Mówimy dziś o wsi z większym szacunkiem?
Myślę, że tak. Widzimy, jak wieś radzi sobie w trudnych warunkach, ale też ta wieś nie jest już „zabita dechami". To nie jest taka wieś, o której mówiło się kiedyś z pogardą: że ktoś jest „wieśniarą", że nie ubiera się tak, jak trzeba, że jest gorzej wyedukowany. Też mam to za sobą. Trzeba było wyżej stawać na palcach, niż było to konieczne. Dzisiaj szanse bardziej się wyrównały: jest internet, można się uczyć, można się rozwijać. Myślę, że osoby ze wsi nie powinny mieć kompleksów.

Po pandemii wiele osób wróciło na ojcowiznę, bo nie poradziło sobie z życiem w mie-

eprasa.pl 88eb43e386

ście. Dla nich ten powrót miał smak porażki?
Tak, ten powrót może być przyznaniem się do tego, że się nie udało. Warszawa jest ekstremalna, życie tutaj jest drogie. Ci, którzy zmuszeni byli wrócić do mniejszych miejscowości, zobaczyli, że znajomi tam już się urządzili, mają pobudowane domy, rodziny, stabilną pracę, biznesy. A oni mają poczucie, że duże miasto ich wypluło.

Z drugiej strony pandemia pokazała, że praca zdalna może ułatwić mieszkanie na wsi.
Ale trzeba pamiętać jeszcze o czymś. Tam, na tej wsi, już żyją ludzie. Mają swój kapitał społeczny, swoje relacje, swoją strukturę, swoje historie i konflikty. Kiedy przyjeżdżamy z miasta, jesteśmy przybyszami. To nie jest tak, że pojawiamy się z naszymi pomysłami i od razu zaczniemy reformować wieś. Raczej to my musimy się dopasować do tego, co tam już jest.

Akurat w weekend byłam u przyjaciół, którzy prowadzą na świętokrzyskiej wsi agroturystykę. Funkcjonują tam od 20 lat i powiedzieli mi, że dla miejscowych nadal są obcy.
Tak, bo obcym się nie ufa. To nie jest twoja ojcowizna. Chyba że wracasz na przykład na Warmię, do domu rodziców. Wtedy jesteś Anitą, która wróciła na ojcowiznę czy matczyznę. Ale jeśli przyjeżdżasz z innego miejsca, bo kupiłaś siedlisko, musisz się z tą społecznością jakoś zdefiniować.

Co dzieje się z lokalnymi społecznościami, kiedy na wieś przyjeżdżają ludzie z dużych miast, z dużym kapitałem i zupełnie innymi oczekiwaniami? Przyjaciółka opowiadała mi, że próbowała skrzyknąć wieś, żeby zrobić coś razem, a spotkała się z reakcją: „O, przyjechała damulka z Warszawy i będzie nam mówiła, co mamy robić”.
Bo to bywa odbierane jako poczucie: ja wiem lepiej. Może i mam większe kompetencje społeczne, może wiem, jak organizować warsztaty i jak aktywizować ludzi. Ale najlepsze działania dzieją się wtedy, kiedy wychodzą ze środka. Działam w stowarzyszeniu Liderki Innowacji. Tam są kobiety ze wsi: sołtyski, wójtki, kobiety, które przejęły ziemię czy gospodarstwo po rodzicach i je rewitalizowały. One pochodzą stamtąd. Jedna zajmuje się pstrągami ojcowskimi i zrobiła z tego świetny biznes. Inne prowadzą gospodarstwa ekologiczne, różne lokalne inicjatywy. Spotykają się, dzielą wiedzą.

W różnych miejscach Polski, także w małych miejscowościach, pojawiają się też prywatne domy kultury. One przejmują to, czego często nie robią albo nie są w stanie zrobić instytucjonalne domy kultury: organizują koncerty, wystawy, zapraszają ciekawych ludzi. I bardzo często są to inicjatywy osób, które przyjechały na wieś, coś kupiły i zaczęły działać.
Ale to wymaga ogromnego wyczucia. Łatwo wejść w wieś z miejskim przekonaniem: my was teraz nauczymy życia. Trzeba uważać, żeby to nie było odebrane tak, jakby ktoś wchodził do czyjegoś domu w zabłoconych butach i mówił gospodarzom, jak mają żyć.

Co najbardziej drażni miejscowych w nowych przyjezdnych?
Wprowadzanie swoich porządków. Nieliczenie się z tym, co jest na miejscu. Albo przeciwnie: całkowite izolowanie się. Ktoś przyjeżdża, ma swój domek, z nikim nie rozmawia i nie chce wejść w żadną relację. A to nie jest tak, że miejscowi są zamurowani i nie można z nimi nawiązać kontaktu. Tylko to przyjezdni muszą się bardziej postarać niż odwrotnie.

Wiem, jak wygląda prawdziwa wieś. Nie zawsze pięknie pachnie, zwłaszcza kiedy trzeba na polu roztrząsać gnój. Drogami jeżdżą ciężkie traktory, w żniwa pracują kombajny, jest kurz, hałas, są muchy, szczury i myszy. To nie jest wieś ze zbiorowej wyobraźni mieszczuchów.
Tak, bo częściej pojawia się obraz cichej, spokojnej wsi z domkiem pod lasem, gdzie pod płot podchodzą sarny, które można karmić. A sytuacje, o których mówisz: gnojówka, kombajny, traktory, kogut piejący o piątej rano albo psy szczekające do nocy, to jest zderzenie z rzeczywistością. Na grupach na Facebooku można przeczytać, że ludzie, którzy przenieśli się na wieś, zmagają się z różnymi tego rodzaju dylematami. Piszą: do której godziny może szczekać pies? Do której może jeździć traktor? Co ze śmieciami? Nagle okazuje się, że nie ma spokoju. Wieś żyje rytmem pór roku, prac polowych i tego, co musi być zrobione. I wtedy pojawia się szok. Przyjezdni próbują wprowadzać na wieś miejski porządek, wprost z zamkniętych osiedli, gdzie po godzinie 18 nie kosi się trawnika, o 22 jest cisza nocna, więc nie wbija się gwoździ ani nie włącza pralki o szóstej rano. Chcielibyśmy to przenieść na wieś, ale tak się nie da. Znajoma mieszkanka wsi dostała karteczkę od przyjezdnej sąsiadki, żeby jej pies tak nie biegał i nie szczekał. Wrzuciła pytanie na grupę. Uczestnicy podzielili się na dwa obozy. Wybuchła wojna. Jedni mówili: jeśli przenosisz się na wieś, musisz liczyć się z tym, że tam jest inny rytm. Drudzy odpowiadali: ale my tu potrzebujemy spokoju.

Czyli w tej nowej opowieści o countryside era nie ma miejsca na obornik, pracę o świcie i konflikty sąsiedzkie?
Myślę, że w tej wyobrażonej „countryside era” ludzie często nie chcą o tym pamiętać. Bo gdyby pamiętali, to mogliby pomyśleć: a może jednak nie odzyskamy tam takiego spokoju, jakiego szukamy.

Czego zwykle nie ma na tej wymarzonej, instagramowej wsi?
No właśnie na pewno nie zawsze będzie spokój. Nie zawsze będą ładne zapachy. Nie ma ryneczku. Są te same problemy, które mamy w dużym mieście, a dodatkowo nie ma anonimowości. W małych miejscowościach wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Może i sąsiad mija nas bez słowa, ale w swojej grupie, na przyzbie, nasze życie jest omawiane od A do Z.

Można też zapytać o to, co miasto robi z ludźmi, skoro to we wsi zaczęli upatrywać ratunku.
Miasto zrobiło z nas zapracowanych ludzi, ogarniaczy. W pewnym momencie słowo „ogarniaczka” stało się powodem do dumy. To miało znaczyć, że jestem osobą, która panuje nad całym swoim życiem. Ale to jest złudne, bo w istocie jesteśmy zmęczeni, przebodźcowani, kładziemy się spać i myślimy, że jutro znowu trzeba iść do pracy. Sami sobie zrobiliśmy taki kierat. Stąd z romantycznym rozmarzeniem myślimy o spokojnej wsi.

Czy Polacy naprawdę chcą wsi, czy raczej chcą uciec od miasta?
Myślę, że tęsknimy za wspólnotą. Za tym, żeby móc znowu pójść do sąsiada po szklankę mleka albo pożyczyć szklankę cukru. Za normalnymi, prawdziwymi relacjami. Media społecznościowe zrobiły swoje: mamy kontakt z wieloma ludźmi, a często nie znamy własnych sąsiadów. Ten kontakt bywa iluzoryczny. Ale ja bardzo lubię ulicę, przy której mieszkam. Rzadko chodzę do Biedronki, bo mam pana w warzywniaku, który powie mi: „Dziś nie bierz truskawek, bo są wczorajsze”. Mam panią w mięsnym, która zapyta: „Odłożyć pani pierś z kurczaka? Bo wiem, że kupowała pani tydzień temu”. To są normalne, sąsiedzkie, prawdziwe więzi.

W MAŁYCH MIEJSCOWOŚCIACH WSZYSCY O SOBIE WSZYSTKO WIEDZĄ. MOŻE I SĄSIAD MIJA NAS BEZ SŁOWA, ALE NASZE ŻYCIE JEST OMAWIANE OD A DO Z

Jak bardzo Instagram, TikTok, seriale i język reklamy wpłynęły na obraz wsi w głowach mieszkańców miast?
Erving Goffman, jeden z moich ulubionych socjologów, pisał w „Człowieku w teatrze życia codziennego”, że nasze życie dzieli się na scenę i kulisy. Odgrywamy różne role. To, co widzimy na Instagramie u osób, które być może znalazły cichą przystań na wsi, jest sceną. To odgrywany i wyobrażony obraz wsi. Kulis nie pokazujemy: trudu, ciężkiej pracy, wstawania o świcie, rytmu żniw i innych prac polowych. Kiedy opowiadam swoim dzieciom, że w ósmej klasie jeździliśmy ze szkołą na wykopki, one kompletnie nie mają pojęcia, co to jest. A ja pamiętam, że kiedy człowiek był zmęczony, najlepiej smakowała bułka z żółtym serem i kawa Inka.

Z waszego badania wynika, że romans ze wsią może się udać, jeśli jest samochód. Dlaczego on jest tak ważny?
Największa słabość wsi, co widać z tego badania, to trudniejszy dostęp do pracy i słaby transport. Wykluczenie transportowe jest rzeczywistym problemem. Likwidowane są linie autobusowe, nie ma lokalnych pociągów. Ludzie są zdani na siebie albo na sąsiada z samochodem, który podrzuci do fryzjera, dentysty, lekarza. Powinniśmy głośno mówić o wykluczeniu komunikacyjnym, bo ono utrudnia życie nie tylko starszym osobom, ale też dzieciom i młodzieży. Trzeba też pomyśleć o starszych osobach: jak mogą mieć spokój, ciszę i bezpieczeństwo, a jednocześnie nie zostać sami.

Jak wygląda codzienność nastolatków, seniorów, samotnych matek, osób chorych na wsi?
Dla nastolatków problemem jest sposób spędzania wolnego czasu. Kiedy robiliśmy badanie młodych ludzi, okazało się, że punktem kulturalnym nie był dom kultury, ale przystanek autobusowy. Pytanie o wykluczenie transportowe jest ważne, bo decyduje o pracy, edukacji, zdrowiu i relacjach. Tylko że polska wieś zmieniła się strukturalnie. Rolnicy są wspierani przez dotacje unijne, mają lepsze domy, lepsze warunki, mają samochody. Stąd to myślenie, że jakoś sobie poradzą.

Co z samotnością, która jest plagą naszych czasów? Jeśli na wsi wszyscy się znają, co ta samotność oznacza?
Myślę, że samotność może dotyczyć szczególnie osób starszych, których dzieci wyjechały do miasta. Również wdów, osób niedomagających, ludzi, którzy mają daleko do lekarza. To temat wart osobnego przebadania. Osoby w wieku 30, 40, 50, a nawet 60 lat są jeszcze mobilne. Ale starsi ludzie, którzy mają problemy ze zdrowiem, mogą bardzo cierpieć z powodu samotności. Internet tego nie załatwi.

Spotkałam się z historiami, kiedy ludzie, którzy kilkanaście lat temu rzucili wszystko i wyjechali w góry, żeby prowadzić pensjonat, dziś jako seniorzy wracają do miasta, bo chcą mieć lekarza na miejscu.
Miasto to jednak udogodnienia. Możesz zamówić lodówkę przez internet i ktoś ci ją przywiezie. Ale chodzi też o dostęp do osób i usług, które na starość stają się potrzebne. Myślę, że w przypadku starszych osób na wsi rozgrywa się wiele dramatów.

Kogo dzisiaj stać na dobre życie na wsi?
Myślę, że trzeba mieć pieniądze albo taką pracę, która pozwala na zdalną. Trzeba mieć samochód, możliwość dojechania raz na jakiś czas do dużego miasta, gdzie są klienci, spotkania, sprawy do załatwienia, projekty. To polega na takim trochę lepieniu sobie życia. Pojawiają się pytania: co będzie, kiedy dzieci dorosną? Czy zostaną na tej wsi? Czy będą chciały do liceum w Warszawie? Trzeba też zobaczyć różnicę między osobami, które mają dobrą pensję, pracę zdalną i dwa samochody, a tymi, którzy dojeżdżają komunikacją do pracy za najniższą krajową. To są dwa różne światy.

Wieś stała się dziś luksusem klasy średniej?
Stała się symbolem poukładania sobie życia w taki sposób, żeby złapać równowagę między pogonią przypisaną do dużego miasta a prywatnością. Kończę pracę, wychodzę do ogrodu, idę z psami na spacer. Mam poczucie, że zachowuję równowagę między życiem zawodowym i prywatnym.

Zmieniła się definicja komfortu? Kiedyś komfort oznaczał bliskość sklepów, szkół, usług. Dziś komfortem jest natura, przestrzeń, spokój i cisza?
Myślę, że komfortem stał się nasz dobrostan. To, że nikt nie przekracza naszych granic, nie mówi nam, jak żyć, nie dyktuje, nie daje rad. Jesteśmy w stanie zapewnić sobie komfort racjonalny, jeśli oczywiście mamy środki. Na wielu wsiach są paczkomaty, sklepy, apteki, dyskonty. Dostęp do towarów nie jest już tak trudny. Czasem na wsi masz lepsze produkty niż w Warszawie; w mieście dostaniesz je tylko w superdelikatesach czy na targach śniadaniowych.

Który wynik tego badania najbardziej cię poruszył?
To, że tylko 24 procent badanych uważa, że wieś oznacza bezpieczeństwo. Wydawało mi się, że wieś jest postrzegana jako bezpieczniejsza niż miasto. Z innych badań wiem, że w mieście boimy się na przykład samotnego mężczyzny idącego pustą ulicą, szczególnie nocą. A tu okazuje się, że na wsi też mogą być lęki. Pytanie, jakie to lęki. Czy związane z tym, że dom jest pod lasem i ktoś może się włamać? Czy z tym, że jestem sam, coś mi się stanie i co wtedy z lekarzem? A jeśli jest zima, zawieja, daleko do drogi? To są konkretne pytania.

Podsumowując: Polacy zakochali się w takiej wsi, która wydaje się dla nich trochę Toskanią. Można fantazjować o prostym życiu, ale pod warunkiem, że ma się pieniądze?
Trzeba mieć pieniądze, trzeba mieć kapitał ekonomiczny. Ale trzeba też pamiętać, że trafiamy w miejsce, w którym jest już zbudowany kapitał społeczny. Tam jest społeczność, z którą musimy się zmierzyć. I albo się z nią zasymilujemy, albo cały czas będziemy tak naprawdę osobą obcą, turystą.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Katarzyna Krzywicka-Zdunek
Socjolożka, badaczka jakościowa. Współtwórczyni projektów o polskich kobietach i mężczyznach oraz platformy internetowej socjolozki.pl

eprasa.pl 88eb43e386

GRZYWNA ZA GARSTKĘ PIASKU Z PLAŻY, MANDATY DROGOWE PO KILKU MIESIĄCACH

Na co uważać podczas wakacyjnych podróży po Europie?

Norbert Ziętal

Wkrótce samochodami, samolotami, pociągami czy promami ruszymy na wakacje w Europie. Sprawdziliśmy, na jakie turystyczne niespodzianki muszą być przygotowani turyści z Polski, którzy często błędnie przyjmują, że „cała Europa jest w zasadzie taka sama".

FOT. NORBERT ZIĘTAL

Kraje południowej Europy – słońce, palmy, zabytki. Na zdjęciu Korsyka (Francja)

„Pozdrowienia" z kraju, który odwiedziliśmy na wakacjach

Przychodzące nawet po kilku miesiącach mandaty drogowe to zdecydowanie numer jeden wśród nieprzyjemnych pamiątek z wakacji. Za co możemy dostać takie „pozdrowienia", skoro pilnowaliśmy limitów prędkości i nie łamaliśmy innych przepisów drogowych?

Pierwsza pułapka - choć rzadziej występująca - czeka na nas już przy dojeździe na miejsce wakacyjnego wypoczynku. Wsiadamy w samochód np. w Rzeszowie i przez Słowację i Węgry - albo Czechy, Austrię i Słowenię - po kilkunastu godzinach lub dwóch dniach (jak ktoś woli bezpiecznie dzielić tak długą podróż na etapy) dojeżdżamy do Chorwacji. Dopiero tutaj spotykamy - znane z Polski - pierwsze bramki na autostradzie, na których regulujemy opłaty.

Nieświadomy kierowca może się cieszyć, że taki szmat drogi przejechał bez opłat. Tymczasem w każdym z krajów, przez który przejechaliśmy w drodze do Chorwacji, na autostradach obowiązują winiety. Różnią się okresem obowiązywania, rodzajem pojazdu. Pozornie nikt ich nie kontroluje, całą drogę przejedziemy bez przykrych konsekwencji, nikt nas nie zatrzyma. W rzeczywistości autostrady objęte są ścisłym monitoringiem, „mysz się nie prześlizgnie". System wyłapuje auta bez winiet i nawet po kilku miesiącach w swojej skrzynce możemy znaleźć wysoki mandat.

Winiety najłatwiej kupić przez internet (ważna jest na numer rejestracyjny samochodu). Są portale, w których wystarczy wpisać markę pojazdu i trasę, aby otrzymać komplet potrzebnych nam winiet. Zapominalscy mogą je kupić na granicach (choć przejść nie ma, to pozostała po nich infrastruktura) lub pierwszych czy ostatnich stacjach paliw.

NA SKANDYNAWSKICH PLAŻACH PRAKTYCZNIE NIE SPOTYKA SIĘ PARAWANÓW. PLAŻOWICZE ROZKŁADAJĄ SIĘ W DUŻYCH ODSTĘPACH OD SIEBIE

Parkowanie to zmora turystów w całej Europie

Druga plaga drogowych mandatów to sankcje za niewłaściwe parkowanie. Dotyczy to zwłaszcza południa Europy. Zmorą polskich kierowców są różne kolory linii przy miejscach parkingowych, które oznaczają, że w danym miejscu parkowanie jest bezpłatne (rzadkość), płatne lub zabronione. We Włoszech białe oznaczają parkowanie gratis, niebieskie za opłatą, a parkingi oznaczone żółtymi liniami przeznaczone są np. dla mieszkańców, dostawców, służb, niepełnosprawnych.

Mandat i tak jest mniejszym złem niż odholowanie samochodu, co nie należy do rzadkości np. w Chorwacji, gdy zostawimy samochód na parkingu tylko dla miejscowych. Co ciekawe, Chorwaci to nie tylko arcymistrzowie w budowie autostrad, mostów i dróg w wyjątkowo trudnym terenie, ale również „parkingów" dla turystów. Niemal każde większe chorwackie miasto oferuje taki lub takie, poza ścisłym centrum, w wielu przypadkach nawet bezpłatne. No ale jeśli chce się mieć nie więcej jak 100 metrów do atrakcji turystycznej, to trzeba być przygotowanym na przykre niespodzianki.

W wielu europejskich krajach coraz powszechniejsze są strefy ograniczonego ruchu. Część z nich jest otwarta tylko dla miejscowych, inne dla określonego rodzaju pojazdu (ekologia). To także pułapka dla wielu kierowców z Polski.

Za kierownicą bez klapek na nogach

Na co jeszcze powinni być przygotowani kierowcy?

Jednym z najbardziej znanych przykładów są klapki na nogach kierującego. W wielu krajach nie ma wprawdzie wprost zakazu prowadzenia samochodu w japonkach, ale jeśli policja uzna, że obuwie utrudniało bezpieczne kierowanie pojazdem, kierowca może zostać ukarany. Dotyczy to m.in. Hiszpanii czy Francji. Jeszcze większym problemem może być jazda boso.

Hiszpania słynie z przepisów, które dla Polaków bywają zaskoczeniem. Mandat można otrzymać nie tylko za niewłaściwe obuwie. Kary grożą również za prowadzenie pojazdu w sposób ograniczający swobodę ruchów, np. w bardzo ciężkiej kurtce lub przy wystawianiu łokcia przez okno. W przypadku kontroli funkcjonariusze zwracają uwagę także na odpowiednie zabezpieczenie przewożonych przedmiotów.

We Francji kierowcy często zapominają o obowiązku posiadania kamizelki odblaskowej w łatwo dostępnym miejscu. Nie powinna leżeć w bagażniku, lecz znajdować się w kabinie pojazdu. W razie awarii kierowca powinien założyć ją jeszcze przed opuszczeniem samochodu.

Niektóre kraje wymagają dodatkowego wyposażenia. W Czechach, na Słowacji czy w Austrii obowiązkowa jest apteczka samochodowa. W wielu państwach wymagany jest również trójkąt ostrzegawczy, a w części krajów zaleca się wożenie zapasowego kompletu żarówek.

Duże zdziwienie budzą lokalne ograniczenia prędkości. W Holandii na wielu autostradach w ciągu dnia obowiązuje limit 100 km/h. W Austrii czy Niemczech kierowcy muszą natomiast pamiętać o tworzeniu tzw. korytarza życia. Pojazdy powinny zjechać do boków jezdni natychmiast po utworzeniu się korka, a nie dopiero po pojawieniu się sygnałów pojazdu uprzywilejowanego. W Czechach dodatkowo kie-

eprasa.pl 88eb43e386

rowcy trąbią w trakcie ustawiania się do takiego pasa.

Porysowany i poobijany samochód

Porysowane auta, zwłaszcza zderzaki, to codzienność na południu Europy. Szybka jazda po wąskich drogach, parkowanie na zderzak czy wąskie wjazdy na wielopoziomowe parkingi aż proszą się o rysy. Bądź na to przygotowany.

Chyba najbardziej niezrozumiała dla polskiego kierowcy jest zasada trzeciego pasa np. w Serbii lub Bośni i Hercegowinie. U nas się mówi: „wyprzedza na trzeciego" i trąbi się na takiego delikwenta. Tam zjeżdża się maksymalnie do prawej krawędzi jezdni, aby ułatwić wyprzedzanie.

Osobny temat to wypożyczenie samochodu, obojętnie czy jedziemy nim z Polski, czy wynajmujemy dopiero na miejscu, po przylocie samolotem. Aby uniknąć przykrych i typowych niespodzianek, należy dokładnie przeczytać umowę najmu i... wykupić pełne ubezpieczenie, choć to niekiedy przewyższa wartość „gołej" usługi wypożyczenia. Korzystajmy ze znanych, globalnych wypożyczalni. Choć zdarzają się wyjątki. Np. Chorwaci zbudowali własną wypożyczalnię, która lepszymi autami i bardziej profesjonalną obsługą wykosiła światowych graczy.

Sklepy zamknięte w niedzielę

Organizacja wakacji na własną rękę oznacza konieczność robienia zakupów. Rzadko kto decyduje się na codzienne jedzenie śniadań, obiadów i kolacji w restauracji. Co najbardziej szokuje Polaków w zakresie zakupów w krajach europejskich? Zamknięte sklepy w niedzielę w Niemczech i Austrii, długa sjesta we Włoszech i Hiszpanii (na jej początku możemy zostać po prostu grzecznie, ale stanowczo wyproszeni ze sklepu), bardzo wysokie ceny w Skandynawii, ogromna popularność gotówki w Niemczech i niemal całkowity jej brak w Szwecji.

W Niemczech większość sklepów jest zamknięta w niedziele. Jeśli ktoś zapomni zrobić zakupy w sobotę, może mieć problem. Wyjątkiem są niektóre punkty na dworcach, lotniskach czy stacjach benzynowych. Jeszcze gorzej (z punktu widzenia Polaków) jest w Austrii. Wiele supermarketów zamyka się już w sobotnie popołudnie, a w niedzielę handel jest mocno ograniczony. Podobnie jest w Danii.

We Włoszech czy Francji w dużych sklepach, przed stoiskami mięsnymi, obowiązują numerki - jak podczas wizyty w polskich szpitalu. Turyści często są zdziwieni, gdy widzą kolejkę klientów wymachujących numerkami. Jeszcze niedawno Polaków dziwił widok miejscowych, np. w Chorwacji, targających w wózkach marketowych wory pełne plastikowych butelek. Na szczęście w Polsce również mamy już system kaucyjny i zdążyliśmy się przyzwyczaić do podobnych widoków, choć część osób nadal uważa, że cotygodniowe oddawanie butelek czyni z nich śmieciarzy.

Letni wypoczynek, szczególnie dla mieszkańców takich regionów, jak Podkarpacie, nieodłącznie kojarzy się z plażami nad morzem, jeziorem czy rzadziej rzeką. Okazuje się, że i tutaj co kraj, to obyczaj.

W Europie możemy wybrać między pięknymi, szerokimi, piaszczystymi plażami, ale z zimną wodą na północy, np. w Danii, a zatłoczonymi plażami południa, do tego często z kamieniami zamiast piasku, ale za to z cieplutką wodą. Największy szok dla Polaków na plażach Europy? Nagość lub topless na północy i w Niemczech oraz opłaty na południu.

Europa jest pełna plażowych zwyczajów, które dla miejscowych są czymś naturalnym, a dla Polaków bywają źródłem zdziwienia, a czasem nawet lekkiego szoku.

Na skandynawskich plażach praktycznie nie spotyka się parawanów. Plażowicze rozkładają się w dużych odstępach od siebie i szanują przestrzeń innych. Zajmowanie dużego fragmentu plaży byłoby postrzegane jako niepotrzebne. W zachodniej Jutlandii na niektóre plaże można wręcz wjechać samochodem i rozstawić się tuż obok.

FOT. NORBERT ZIĘTAL

Zatłoczone plaże południowej Europy, z ciepłą wodą w morzu...

FOT. NORBERT ZIĘTAL

...lub puste plaże w Danii, na które można wjechać nawet samochodem, lecz z zimną wodą w morzu

FOT. NORBERT ZIĘTAL

O konieczności wykupy winiet na przejazd autostradami przypominają znaki drogowe na granicy. Na zdjęciu granica słowacko-austriacka

PRZYCHODZĄCE NAWET PO KILKU MIESIĄCACH MANDATY DROGOWE TO ZDECYDOWANIE NUMER JEDEN WŚRÓD NIEPRZYJEMNYCH PAMIĄTEK Z WAKACJI

We Włoszech Polaków zaskakuje liczba płatnych plaż. W wielu nadmorskich miejscowościach większość atrakcyjnych odcinków wybrzeża zajmują tzw. lida lub stabilimenti balneari - prywatne kąpieliska z rzędami identycznych leżaków i parasoli. Za miejsce trzeba zapłacić, czasem niemało.

W Chorwacji po plaży chodzi się w specjalnych butach. Powodem są kamienie, jeżowce i śliskie skały. Kupno takich butów nie jest dużym wydatkiem, ale warto je zabrać z Polski. Nieprzebrane masy wypoczywających to zmora chorwackich plaż. Puste i najlepsze plaże w tym kraju, bez tłumu turystów, to takie, które dostępne są tylko od strony morza. Dopłynąć do nich można np. wynajętą motorówką.

Nie wszystko można przywieźć z wakacji

Dla wielu osób wakacje to czas na „pokazanie się". I tutaj może nas spotkać niemiła niespodzianka. W zamożnych krajach europejskich obnoszenie się z bogactwem (lub tylko udawanie, jak to często jest w zwyczaju gadżeciarzy) jest niemile widziane. Eksponując markową odzież, możemy być uznani za dziwaka np. w Danii.

Co przywieźć z wakacji w Europie? Pytanie raczej powinno brzmieć: czego nie wywozić? Okazuje się, że zabranie wielu rzeczy „na pamiątkę" w wielu krajach może mieć przykre finansowe konsekwencje. Oprócz standardowych - jak kawałki zabytków, budynków czy chronione gatunki zwierząt czy roślin - wiele innych jest na cenzurowanym.

Bezkonkurencyjna pozostaje Sardynia, włoska wyspa na Morzu Śródziemnym, i jej białe plaże. Wielu turystów uważa, że garść piasku zabrana do słoika nie ma znaczenia. Tymczasem władze wyspy od lat walczą z masowym „znikaniem" plaż. Dlatego dziś nawet niewielka ilość może stać się powodem nieprzyjemności podczas kontroli i mandatem w wysokości kilku tysięcy euro. Na lotniskach Sardynii, np. w Cagliari - ku przestrodze - są umieszczane zdjęcia zarekwirowanych przy wylocie butelek, słoików i worków z piaskiem.

Podobnie surowo karane jest w wielu krajach zabieranie na pamiątkę fragmentów zabytków, np. ukruszonego kamienia z jakiejś budowli.

Na koniec bezpieczeństwo. W tym zakresie w Europie nastąpiły ogromne przetasowania i - nie ma co ukrywać - powodem tego jest masowa imigracja z państw pozaeuropejskich. Skandynawia, przez dziesięciolecia uważana za oazę spokoju, obecnie wprowadza najwyższe albo prawie najwyższe stopnie zagrożenia zamachami terrorystycznymi.

Duńskie służby bezpieczeństwa oceniają zagrożenie terrorystyczne dla Danii jako significant (wysoki poziom zagrożenia). Zaleca się zachowanie szczególnej ostrożności, zwłaszcza w miejscach zgromadzeń większej liczby osób. Na terenie Szwecji obowiązuje trzeci (podwyższony) stopień zagrożenia terrorystycznego (w pięciostopniowej skali). W obu krajach zagrożenie przestępczością pospolitą jest z kolei niewielkie - turyści głównie narażeni są na kradzieże kieszonkowe.

Na całym terytorium Francji obowiązuje najwyższy poziom zagrożenia terrorystycznego zgodnie z rządowym planem „Vigipirate" Oznacza to, że według władz francuskich istnieje wysokie ryzyko zamachu. W Hiszpanii obowiązuje czwarty stopień zagrożenia terrorystycznego (w pięciostopniowej skali). Z powodu zagrożenia działaniami terrorystycznymi kontrole na lotniskach oraz dworcach z reguły są bardzo dokładne.

Polska, mimo że obecnie jest krajem przyfrontowym w związku z wojną toczoną w Ukrainie, w oczach obcokrajowców uchodzi za bezpieczną. I to nawet bez względu na to, że przestępczość pospolita jest u nas bardziej dokuczliwa niż np. w Skandynawii. Podobnie jest z większością krajów bałkańskich - choćby z Chorwacją czy Słowenią.

Oficjalne i na bieżąco aktualizowane informacje o bezpieczeństwie, ale również wiele innych przydatnych danych można znaleźć w internecie na stronie „Informacje dla podróżnych" polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Praktyczne wskazówki odnośnie do zagranicznych podróży można znaleźć także na stronie granica.gov.pl, gdzie są aktualne informacje straży granicznej i Krajowej Administracji Skarbowej.

©℗

eprasa.pl 88eb43e386

Z Tomaszem Karolakiem, aktorem i reżyserem, realizującym w Teatrze Powszechnym w Łodzi spektakl „Meczycho” Juliusza Machulskiego, rozmawia Dariusz Pawłowski

POZBYWAM SIĘ NAPIĘĆ I DZISIAJ GŁÓWNIE DZIĘKUJĘ. WSZYSTKIM ZA WSZYSTKO

Dariusz Pawłowski

Spektakl „Meczycho” Juliusza Machulskiego, który Pan reżyseruje w Teatrze Powszechnym w Łodzi, to opowieść rodzinna. Mecz pomiędzy trzema pokoleniami. Jaki będzie jego wynik?

Wynik meczu będzie jedynym z możliwych. Ale, co może być podpowiedzią i takie sformułowanie pada w tym tekście, piłka nożna jest jedyną dziedziną sportu, w której remis może dać komuś zwycięstwo. Nie ma czegoś takiego w tenisie, koszykówce czy siatkówce. Piłka nożna jest ważna w tym przedstawieniu, choć rzecz jasna nie najważniejsza. Ale chciałbym, żeby widzowie się zastanowili, jak bardzo zjawisko pod nazwą piłka nożna nas otacza. Piłka nożna stała się częścią popkultury, związane z nią emocje weszły w nasze życie, czy tego chcemy czy nie. Jak zawsze w swoich działaniach, dążę do zgody, w spektaklu również tej wielopokoleniowej, i do wyjaśniania zaległych spraw. Naszym zadaniem – a pretekstem staje się oglądanie meczu polskiej reprezentacji – jest przeprowadzenie tego procesu na scenie tak, żebyśmy wyszli z siebie, ujrzeli się trochę z boku. I zobaczyli, że my dostajemy szału właściwie nie wiadomo dlaczego i po co. Widzimy 22 facetów, którzy biegają za kulką po trawie, uczestniczymy w jakimś szaleństwie, które ogarnęło cały świat, zapominając nieco, że jest to po prostu ogromny przemysł, niezależny, do którego już nawet poszczególne narody nie mogą się wtrącać, bo FIFA to państwo nad innymi państwami.

Pan też uczestniczy w tym szaleństwie i pasjonuje się piłką nożną?

Unikam piłki nożnej jak ognia, także dlatego, że jestem wychowany na boisku. Mój ojciec był sędzią piłkarskim. Co ciekawe, doznałem déjà vu, kiedy przyjechałem do Łodzi na pierwszą próbę „Meczycha” i zobaczyłem, że sala Pieter Smit, gdzie powstaje spektakl, jest tuż za stadionem Widzewa. I nagle uświadomiłem sobie, że w dzieciństwie, w komunie, moim najwspanialszym trofeum był wpinany w klapę znaczek RTS Widzew, który był metalowy, kolorowy i stanowił dla mnie jakąś świętość. Jednocześnie jednak moje dzieciństwo kojarzy mi się z nudą, siedzeniem w samochodzie i czekaniem na ojca, bo ileż tych meczów można oglądać. Nie doceniałem wtedy, że oglądam w akcji wielkie gwiazdy polskiej piłki nożnej, od Lubańskiego po Smolarka, bo byłem chłopakiem, miałem 5-6 lat i mnie to nie za bardzo interesowało. Wolałem w niedzielę spędzać czas z kolegami, niż po raz kolejny jechać z ojcem na mecz. Piłka nożna stała się więc dla mnie traumą. I w życiu dorosłym zorientowałem się, że choć cieszę się, kiedy polska reprezentacja i inne nasze drużyny osiągają sukcesy, to im dalej w las, tym bardziej tego fenomenu nie rozumiem. Nie pojmuję też tych kolosalnych zarobków, pomników budowanych w świecie, który ma dziś tyle innych potrzeb.

Przy tym wszystkim, sądząc po reakcjach dużej części kibiców, to dyscyplina, która poprzez emocje, jakie wyzwala, tak samo łączy, jak i dzieli.

O tym też mówimy w przedstawieniu. W pewnym momencie dwójka głównych bohaterów przebija czwartą ścianę, wychodzi z monologami o piłce nożnej wprost do publiczności. Kobieta mówi, że nie zmienia ona jej życia, a mężczyzna przeciwnie – że to bardzo ważna sprawa, która łączy ludzi na całym świecie. To pytanie zadałem mojemu 13-letniemu synowi po zwycięskim meczu naszej reprezentacji – czy to nas jakoś zmienia wewnętrznie? On odpowiedział: „tato, nie i nie łudź się, że kiedykolwiek będzie inaczej”. On, jeszcze bez żadnych naleciałości dorosłego życia, nie widzi, by piłka nożna jakoś nas zmieniała, rozwijała charaktery i ja też takiej zmiany nie widzę. Ba, teraz to ja się nawet tej całej piłki nożnej boję.

Zostawmy więc piłkę nożną. Reżyseruje Pan komedię, czyli gatunek, który w Polsce wciąż traktuje się niepoważnie, uznając, że nie jest on przeznaczony do istotnych rozważań. Czy chce Pan się takiemu myśleniu przeciwstawiać?

Jestem uczniem Mikołaja Grabowskiego i cudowny czas zespołowego teatru miałem w Łodzi, kiedy po studiach, w 1999 roku, znalazłem się w Teatrze Nowym, którego dyrekcję objął właśnie Mikołaj Grabowski. I wtedy repertuar tej sceny był naszpikowany spektaklami reprezentującymi gatunek, który moglibyśmy nazwać tragikomedią. To jest bardzo trudna dziedzina teatralnej twórczości, ale prowadząc widza w pewnej sinusoidzie – raz poważniej, raz śmieszniej – rzeczywiście najlepiej wzbudza jego emocje. To doświadczenie tkwi we mnie głęboko i dziś wspólnym celem moim oraz aktorów „Meczycha” jest osiągnięcie takiego, tragikomicznego efektu. Jestem przy tym wrogiem tak zwanego grania komediowego. Nawet nie rozumiem, co to jest. Gram w serialu „Rodzinka.pl”, który jest komedią, ale proszę zauważyć, że nie gram tam komediowo i nikt aktorów do takiego grania tam nie nakłania. Moim zdaniem granie komediowe zaczyna być mylone z wygłupem aktora na scenie. Uważam, że to raczej kabaret teatralny, nie moja bajka. Wydaje mi się, że komediowość – i nie mówię o farsach, które są komedią omyłek – osiąga się poprzez kontekst, w jakim funkcjonują bohaterowie. Tak konstruujemy nasz spektakl. Co więcej, namawiałem aktorów do filmowego grania. Takiego, że najważniejszy jest temat, który niosę, a nie to, czy ja dobrze gram lub czy to się podoba publiczności. Wbrew pozorom to nie jest łatwe. Sam jestem aktorem i wiem, że publiczność ma oczekiwania, kusi aktora, by zrobił coś pod nią. Tymczasem chodzi o to, by się temu nie poddawać. Najciekawsze jest takie budowanie roli, oparte na intymnym procesie, który polega na połączeniu mojej własnej, prywatnej prawdy z obcym tekstem. Wtedy powstaje taka iluzja, że oto znam jakiegoś aktora, ale jednocześnie go nie znam, bo on wypowiada z przekonaniem zaskakujące teksty, niesie inny światopogląd. To jest nasz cel: nie wygłupiać się na scenie, rozśmieszyć widza ujęciem tematu, często trudnego.

FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

Tomasz Karolak czeka na widzów w sali Pieter Smit Theater przy ul. Nowogrodzkiej 2b

A jakie to tematy?

Podstawowym jest rodzina, ale przecież opowiadamy tutaj chociażby o Litzmannstadt, czyli o Łodzi z czasów okupacji. Opowiadamy o tym, kim są dla nas Niemcy. To jest taki temat, który myślałem, że już nigdy nie wypłynie, a tu proszę bardzo – są politycy, którzy nam co jakiś czas przypominają o tym, że Niemiec czyha na nas za Odrą i nie wypłacił reparacji. Moim zdaniem to wracanie do stereotypów, o których chcielibyśmy już zapomnieć. Mamy też postać, jaka myślałem, że już nie istnieje, czyli Cypriana, który nienawidzi Niemców, dziadka, którego zagorzały antyfaszyzm przemienia w szowinistę. Tymczasem, gdy pokazałem ten tekst jednemu z przyjaciół, to on stwierdził, że to jest o jego ojcu.

Ciekawe, co by się w Polsce działo, gdyby PZPN, wzorem związków z innych krajów, uczynił trenerem polskiej reprezentacji Niemca lub Rosjanina…

Nie chcę nawet o tym myśleć. W naszym przedstawieniu jest taka fantastyczna scena, w której córka pyta swego ojca, który jest też wspomnianym dziadkiem, co u taty stało w garażu przez wiele lat. On mówi: samochód. A jaki? Niebieski. Mercedes stał. Bo te Teutony to tylko umieją robić maszyny, bomby V1 i V2. Ciągle pokutuje nasze stereotypowe pojmowanie niemieckości. Jest o czym gadać.

Czy w kontekście Pana doświadczeń z Łodzią ma znaczenie to, że ten spektakl powstaje właśnie w Łodzi?

Ależ niebagatelne! Ewę Pilawską, która jest dyrektorką Teatru Powszechnego, pamiętam jeszcze z czasów, kiedy byłem w Teatrze Nowym. To pani dyrektor złożyła mi propozycję wyreżyserowania „Meczycha”, za co jej bardzo dziękuję. I kiedy pomyślałem sobie, gdzie ja miałbym zaczynać moją poważną reżyserską przygodę, to w Łodzi. To Łódź dała mi wzorzec zespołu teatralnego. Swój Teatr Imka w Warszawie założyłem przecież z tęsknoty za tym, co tu się działo. Za tym, jaki to był zbudowany zespół, jak zespół łódzko-krakowski się zintegrował, jak aktorzy byli precyzyjnie prowadzeni przez dyrekcję, że powstawały realizacje nowych dramatów, na które przyjeżdżała cała Polska. W Łodzi doszło do mojego spotkania z Kazimierzem Dejmkiem, którego byłem asystentem przy realizacji „Snu pluskwy”. Łódź w moim życiu teatralnym jest ogromnie ważna. Tak samo jak Kraków, w którym zaczynałem, gdzie grałem w Teatrze Starym, Słowackiego, Stu i gdzie poznałem Krystiana Lupę, Mikołaja Grabowskiego czy Jerzego Jarockiego. Łódź jest niesamowitym miejscem, niezwykle inspirującym. Gdy padła propozycja reżyserowania w Łodzi, nie wahałem się nawet chwili, mimo że jestem cały czas w zdjęciach do serialu, mam swoje zobowiązania. Udało mi się to wszystko pogodzić.

Cisną się do głowy wspomnienia?

To jest dla mnie niesamowite. Jeżdżę łódzkimi ulicami, patrzę na dobrze znane, stare kąty, idę do Łodzi Kaliskiej, gdzieśmy kiedyś przesiadywali dniami i nocami. Przypominają mi się spektakle z tamtych lat – „Prorok Ilja”, w którym grałem, „Kadisz” w reżyserii Remigiusza Brzyka, przedstawienia z Teatru Jaracza. To jest dla mnie tym ważniejsze, że ja tak naprawdę nie mogę się odnaleźć w środowisku teatralnym Warszawy. Są w stolicy instytucje, które są moimi ukochanymi miejscami, ale w większości, muszę to powiedzieć, mam wrażenie, że ludzie nie za bardzo interesują się aktorstwem teatralnym i tym, co się dzieje na scenie. Raczej walczą o widza. Konrad Swinarski powiedział kiedyś, sam tego doznaję, że do Warszawy przyjeżdża się do teatru zwiedzać twarze.

W Łodzi jestem bardzo podekscytowany, bo trafiam na kolegów, którzy nie grają w serialach i w filmach, założyli tutaj rodziny i ten teatr, dla którego poświęcili swoje życie, jest dla nich miejscem świętym. Natychmiast złapaliśmy ze sobą wspólny ję-

eprasa.pl 88eb43e386

zyk i mogę cieszyć się ich profesjonalizmem, jak w teatralnym przysłowiu: przychodzę na trzecią próbę, a wszyscy umieją tekst. W Warszawie jest to właściwie nie do uzyskania. W Łodzi odzyskuję spokój, czuję się przez to miasto utulony.

Rzeczywiście są w Łodzi miejsca, w których niewiele się zmienia – idziemy do Łodzi Kaliskiej, a tam za barem ciągle Łukasz…
No właśnie!

Ale czy od momentu pierwszego przyjazdu do Łodzi do dziś zmieniło się Pana postrzeganie samego miasta, relacje z jego mieszkańcami?
Przyjechałem do Łodzi w 1999 roku, wyjechałem w roku 2003, czyli 23 lata temu. Patrzę jak Łódź się rozwija, ciągle mam tu swoich znajomych, z którymi jestem w dobrych relacjach. Pamiętam lekki ostracyzm łódzkiego środowiska teatralnego, kiedy pojawiliśmy się w Teatrze Nowym jako słynna dziś „trzynastka" z Krakowa. Ale w cztery lata – i to przecież nie sami, tylko z Łodzianami – zrobiliśmy tu jeden z najlepszych teatrów w kraju. Wsparli nas Jan Peszek i Jan Frycz, kierował nami Mikołaj Grabowski, ale tworzyliśmy całym zespołem, z pracującymi tu wtedy Wojtkiem Walasikiem, którego już z nami nie ma, Barbarą Dębińską, Mirką Olbińską, Dymkiem Hołówko. Oni wszyscy przecież zabawili się razem z nami w ten teatr.
A Łódź? Zmieniła się bardzo, idzie cały czas do przodu, wyładniała w wielu kwartałach. Przecież wtedy nie było Manufaktury, Piotrkowska inaczej wyglądała. Nie było nowego dworca Fabrycznego, nowego centrum. Wydaje mi się również, że polepsza się samopoczucie Łodzian. To nie jest już miasto, które mimo że leży w środku Polski, to jest jednak gdzieś z boku. Jadąc dziś tutaj z Warszawy, natykamy się na świetny billboard: „Zamieszkaj w Łodzi!". Zrób sobie sypialnię w Łodzi. To się stało już bardzo łatwe, wszystko się zbliżyło – ja na próby do Powszechnego dojeżdżam codziennie z Warszawy. Kiedyś to było nie do pomyślenia. Teraz wymiana energii, myśli następuje mocniej, żwawiej.

„Meczycho" to już piąty tekst Juliusza Machulskiego wystawiany w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Czy pojawia się u Pana myśl, że widzowie tego teatru będą porównywać to przedstawienie do poprzednich?
Nie myślę o tym, nie wiem, czy to będzie porównywane. Jestem już 30 lat na scenie i nauczyłem się, że nie zadowolę wszystkich. Staram się jedynie być wiernym sobie i swojemu postrzeganiu rzeczywistości w odczuwaniu tego materiału. Znam teksty Julka Machulskiego, do jednego nawet się przymierzałem, by go zrealizować w Warszawie. Mówię o sztuce „Machia" o Machiavellim i Florencji. Znam fascynację Julka historią, co zresztą nas łączy, bo historia to też moja pasja. Jednak w przypadku tej pracy postawiłem sobie jeszcze inne zadanie, niż tylko analiza tekstu. Otóż namówiłem aktorów, by stali się na scenie prawdziwym, funkcjonującym na równych prawach zespołem. I właściwie wszystko w tej inscenizacji jest temu podporządkowane. A to w przypadku aktorów oznaczało rezygnację z własnych, osobistych ambicji. Cieszy mnie, że oni poszli za wizją, którą z Wojtkiem Stefaniakiem, autorem scenografii i Dominikiem Strycharskim, który zrobił muzykę, im zaproponowaliśmy. Zobaczymy, jak to zostanie przyjęte. Nie roztrząsam jednak tego. Wiele tłumaczy fakt, że w minioną niedzielę obchodziłem 55. urodziny. W Łodzi wiązało się to z optymizmem, który jest teraz ze mną cały czas.

To miłe, bo często mam wrażenie, że w Łodzi dysponujemy raczej albo bezkrytycznym infantylizmem, albo jesteśmy codziennością skrajnie zmęczeni.
Może to przez upał? Ja czegoś takiego nie czuję. Trzymam się tego, co przeżyłem w Łodzi 23 lata temu, tego, że zrobiliśmy wtedy kilka fajnych przedstawień i tego, co robię w Łodzi dzisiaj. To wszystko sprawia, że czuję się tu świetnie i nie przejmuję się tym, co z czym zostanie porównane.

Czy jest Pan takim reżyserem, w którym podczas pracy budzi się aktor i wyrywa do tego, żeby pokazać innym aktorom, jak mają zagrać?
Robię wszystko, by tego nie robić, dwa razy w ciągu naszej pracy nastąpiła taka sytuacja. Próby w Teatrze Powszechnym zaczęły się od tego, że powiedziałem: proszę państwa, ja wiem, co to są próby w teatrze i że jest to długa, żmudna i nudna robota. Bo na czym polega istota aktorstwa? Podam osobisty przykład. Grając kilka lat temu, z wybitnym aktorem, w hitowym przedstawieniu, które jest opowieścią o trudnej relacji między ojcem a synem, ja nie mogłem tego konfliktu grać. Musiałem być sobą w tej awanturze, także ze względu na doświadczenia związane z moją relacją z ojcem. Mózg aktora to mózg człowieka; mózg, który nie wie, że aktor gra. Mózg myśli, że to się dzieje naprawdę. Konsekwencją jest późniejsze odchorowywanie tego, co się wydarzyło, w domu. Pewnego dnia poczułem na scenie, że choć osoby na widowni mnie słuchają, oglądają, identyfikują się ze mną i prezentowanymi przeze mnie problemami, to ja zacząłem nie lubić tej sytuacji. Obnażenie mojego wnętrza przy ludziach nagle wydało mi się czymś za dużo. Kto mi dał takie prawo, ba, dlaczego ja sam je sobie dałem, żeby uzewnętrzniać się przed takim gremium. Co mi to daje? Skąd to się wzięło? Bo to nie jest normalne. Przecież panu takie wystąpienie nie byłoby do czegokolwiek potrzebne. A ja muszę wychodzić i mówić do publiczności. Czym się różnią ludzie tacy jak pan i inni, którzy nie muszą wychodzić na scenę, od nas, którzy pchamy się przed kamerę i na scenę? I oczywiście odkryłem, że wszystko jest w dzieciństwie. Uważam, że wszyscy, którzy wychodzimy na scenę, cały czas – i to jest specjalnie dobrane słowo – żebrzemy o akceptację i miłość ludzi. Dlaczego? Dlatego, że zaistniała najprawdopodobniej w naszym dzieciństwie jakaś sytuacja, w której postępowanie rodziców lub osób z najbliższego otoczenia, zinterpretowaliśmy jako brak akceptacji i miłości. Co w dodatku często nie musi być prawdą. Uświadomienie tego sobie było dla mnie niezwykle silnym doznaniem. Zrozumiałem, dlaczego robimy coś tak trudnego, jak wychodzenie na scenę, poddawanie się obserwacji i jeszcze wydobywanie z siebie autentycznych emocji. Oczywiście, nie mają z tym problemu aktorzy, którzy nie są prawdziwi, ale ci, którzy są szczerzy w tym zawodzie, poruszają ukryte w sobie struny, pokazują swój wewnętrzny ból i pragnienie akceptacji, przeżywają wszystko po wielokroć i męczą się z tym. No to ja zacząłem od stwierdzenia: wiem, że wy się tu męczyć będziecie, że wam będzie strasznie, ale zróbmy to tak, żeby było nam jak najprzyjemniej. I kto wymyślił na to rozwiązanie? Kazimierz Dejmek. Przerwa na papierocha, kawę, herbatę co pięćdziesiąt minut. Nie ma „międolenia" godzinami. Często zostawiałem aktorów samych na próby tekstowe, żeby słuchali siebie. I oni się zbierali, na początku czytali tekst, recytowali go, a potem zaczęli nim rozmawiać. Bardzo to ukróciło uciążliwość prób. Narzuciłem też przedstawieniu bardzo wyraźną, formalną wizję. Ona okazała się kluczem do całości. Ale to już trzeba zobaczyć w teatrze.

Czy od początku się wie, że w tym gronie, z tym materiałem, w tym zestawie aktorskim, uda się zrobić spektakl, czy też dopiero w pewnym momencie wydarza się coś takiego, że całość „zaskoczy"?
Ja przystępuję do pracy zawsze z wielką wiarą w efekt. Nie znałem aktorów, obsada została zaproponowana przez panią dyrektor Ewę Pilawską. Co się okazuje potem w trakcie pracy? Że oni są idealnie obsadzeni. Poznaję ich jako ludzi, ich charaktery, nagle widzę, że to są dokładnie te osoby, o które chodziło. Gdy wsłuchałem się w to, jak oni rozmawiają ze sobą, szybko pojawiło się przekonanie, że poniżej pewnego poziomu wypowiedzi teatralnej nasza praca nie spadnie. Bo oni są tak zestawieni ze sobą, że musi zaiskrzyć – ten rywalizuje z tym, ten lubi tego, ten jest mistrzem dla tego, a ci są liderami. To ich ciągnęło i wszystko się poskładało.

Reżyseria jest narkotykiem? Ma już Pan pragnienie realizowania kolejnych przedstawień?
Wyreżyserowałem już wcześniej dwa czy trzy przedstawienia, które z premedytacją robiłem dla tak zwanej publiczności familijnej. Czyli na przykład historię o byczku Ferdynandzie, który został zapomniany przez stado, wiezione tirem na targi żywności w Madrycie. I on goni to swoje stado rowerem, który dostał na pierwszą komunię świętą, przez wszystkie kraje Europy, w każdym ma jakąś przygodę. Przyjeżdża do Hiszpanii i wychodzą hiszpańskie krowy, czyli zespół aktorski, który tańczy flamenco. Ale ja się cały czas broniłem, znając swoje miejsce w szeregu, przed wypowiedzią wprost do ludzi w naszym wieku. Co prawda, przychodził pan na przedstawienie z córką, ona się śmiała, ale pan też dostawał swoje momenty do śmiechu – na przykład polskie stado przedstawiało się tekstem Jakuba Przebindowskiego, znakomitą piosenką ze słowami: „Polska krowa, z polskiej łąki, puszcza tylko polskie bąki". Aż teraz przyszła taka sytuacja, że trzeba było wziąć odpowiedzialność za wypowiedź poważniejszą, przeznaczoną wyłącznie dla dorosłych widzów. Sądzę, że technicznie i warsztatowo się do tego przygotowałem, jedyna wątpliwość, jaka się pojawiała, to dotycząca mojej wiedzy, historycznej w przypadku tego tekstu. Reżyserowanie w takiej sytuacji, jak praca nad „Meczychem" postrzegam jednak bardziej jako organizowanie przestrzeni pracy dla super aktorów. A dla mnie super aktorami są wszyscy zawodowi aktorzy, także z tego powodu, że mają w sobie jakieś przetrącenie, które skłoniło ich do wybrania tego zajęcia. I uważam, że nie ma złych aktorów, są co najwyżej nietrafione koncepcje reżyserskie czy producenckie. Dlatego moje zadanie traktowałem jako dyscyplinowanie pracy, sprawienie, żeby duże dzieci, jakimi są aktorzy, poczuli się zaopiekowani. Przecież aktorzy, jak dobrze zagrają na próbie jakąś scenę, to nagle mają setki pytań. Bo chcą zostać przytuleni, pochwaleni, podkręceni dobrym słowem…

W każdym zawodzie trochę tego potrzebujemy.
Ja to rozumiem. W pracy nie wiem, co to znaczy mówić aktorowi, jak ma grać. Potrafię powiedzieć, jakie chciałbym wrażenie wywołać, co wnosi dana postać, co ją boli, o czym mówi. A jak to ktoś przekaże na scenie, to już jego sprawa. Niestety czy stety, to też jest styl Dejmka. Pamiętam jedną z prób przy realizacji „Snu pluskwy" w Teatrze Nowym, w trakcie której z Andrzejem Konopką wcielaliśmy się w role ciemnych charakterów, ruskich bandytów. Wwozimy na scenę grającego główną rolę Mariusza Saniternika w tekturowej atrapie Mercedesa, wywlekamy go z bagażnika, mamy go odstrzelić, ale zaczyna się nad nim dywagacja filozoficzna. Saniternik leży na scenie, a ja mówię do Dejmka: i co teraz? A on paląc papierosa odpowiada: no jak to co, grajcie! Ale co – pytam. A Dejmek dalej paląc: wy jesteście po szkołach aktorskich, to k… grajcie. O tym właśnie mówię: on stwarza świat, z którego aktorzy czerpią, zobaczą siebie w tym świecie, i to, co się w nich zrodzi będzie tym, co jest potrzebne. On buduje kontekst, a reszta, czyli prawda, to już jest nasza sprawa. I to jest hit. Ta próba została zresztą nagrana i gdy po latach ją zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć, że byłem wtedy taki durny.

A czy w związku z Pana różnymi aktywnościami, również muzycznymi przecież, były dla Pana, jako reżysera, kuszące inne formy teatralne, niż komedia – na przykład musical?
Chyba nie, może jakieś mniejsze formy muzyczne. Oczywiście, pojawiają się we mnie tematy, które chciałbym podjąć. Tę pychę, by wziąć odpowiedzialność za reżyserię i inscenizację całego przedstawienia, dało mi przecież także to, że w każdej realizacji jako aktorzy zostawiamy swój wkład, proponujemy swoje rozwiązania. Ale na razie postrzegam siebie jako realizatora, który słyszy czy aktorzy naprawdę dialogują, czy grają, że dialogują. I w tym zakresie mogę im pomóc. Ja uwielbiam improwizować, z czego jestem podobno znany. Lubię to robić i na scenie, i przed kamerą, w ogóle się improwizacji nie boję. I w dużej mierze właśnie tę umiejętność w pracy z aktorami wykorzystuję. Aczkolwiek lubię sobie zaświecić światełko, lubię podinscenizować, lubię zrobić impresję, lubię widzieć, że publiczność wychodzi z teatru zadowolona, że zobaczyła pełne widowisko. Sam nudzę się trochę na przedstawieniach, gdy w inscenizacji nic się nie dzieje. Spektakle powyżej dwóch godzin wytrzymuję tylko u Krystiana Lupy. Gram też w teatrze, nie chcę w żaden sposób męczyć widzów.

Jesteśmy w podobnym wieku, ja urodziny miałem ledwie w maju, więc pozwolę sobie zadać osobiste pytanie. Kiedy jest się już dobrze po pięćdziesiątce to dobry moment na porządki i zmiany, ociosanie swojego życia z rzeczy niepotrzebnych, oskrobanie z napięć. Czy właśnie reżyseria pełnego spektaklu to taki moment w Pana życiu?
Świetnie pan to wyczuł, to jest dokładnie ta chwila. Dostajemy cięgi od życia, doznajemy zawodów, cierpimy, rozpadają nam się nasze konstelacje, potem się zbieramy – to jest tak zwane doświadczenie. Gdy w pewnym momencie przeanalizowałem swoją działalność, wytłumaczyłem sobie, jakim jestem aktorem, dlaczego nim zostałem – przecież cztery razy zdawałem do szkoły teatralnej, a przede wszystkim gdy osiągnąłem pewien konsensus w relacjach z moimi rodzicami, w tym ojcem – wojskowym, kiedy się dogadaliśmy i sobie co było trzeba wybaczyliśmy, to wtedy poczułem, że nie muszę być w zawodzie tym, kim jestem. Że nie muszę aktorstwem, rolami udowadniać, że jestem dobrym czy wartościowym człowiekiem. Znalazłem się na drodze, po której pędzimy od roli do roli, od zadania do zadania, by coś komuś udowodnić, a głównie udowodnić sobie. I uświadomiłem sobie, że wcale na tej drodze nie chcę być. Pierwszym krokiem ku zejściu z niej był mój improwizowany stand-up. By samemu przed publicznością, bez kostiumu, przeanalizować, co takiego jest w tej energii, którą daję widzom, a oni mi ją potem oddają. Stosuję metody socjotechniczne, badam tę sytuację. I to się okazało moim sukcesem. Następnie wraz z reżyserem Patrickiem Yokim i Małgorzatą Kożuchowską przeformatowaliśmy konstrukcję realizacji serialu „Rodzinka.pl". Proszę sobie wyobrazić, że powstaje on teraz w trakcie nagrań, przed kamerą. Nie ma scenariuszy kolejnych odcinków, jesteśmy rzuceni w improwizację, teksty powstają na planie. To jest genialne, rozwala system. A w teatrze mogę teraz reżyserować, czyli spojrzeć na siebie i swoją pracę z boku. Codziennie rano dziękuję panu Bogu, że dostałem taką szansę.

Na koniec rozmowy aktorów i reżyserów pyta się o najbliższe plany. Człowieka w trakcie zmiany zapytam jednak: co teraz?
Nie wiem, nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje. I na razie nie chcę wiedzieć. Ta zmiana spowodowała we mnie poczucie wielkiej wdzięczności. Każdego wieczoru, gdy kładę się spać, dziękuję za wszystko, za to i za tamto, za mnóstwo rzeczy. Gdy jeszcze widzę, że moje dzieci są po prostu fajnymi ludźmi, osiemnastoletnia córka i trzynastoletni syn mają swoje zainteresowania, pasje, są inteligentni, radzą sobie z przeciwnościami w swoich życiach, to nieustannie mówię: dzięki, dzięki, dzięki! Dziękuję, że jestem w Łodzi, dziękuję, że się spotkałem z tak świetnymi aktorami – w tym z Dymitrem Hołówko, który był ze mną w zespole Teatru Nowego, z Karoliną Łukaszewicz, z Arturem Zawadzkim, z którego bratem Krzysztofem byłem na roku w szkole aktorskiej w Krakowie. Przedstawienie nie będzie do końca miłe, postawimy nim wielki znak zapytania, ale za nie też już dziękuję.

eprasa.pl 88eb43e386

MARIA SOBOCIŃSKA: AKTORSTWO TO TAKI ZAWÓD, W KTÓRYM CZŁOWIEK CAŁY CZAS SIĘ MARTWI

Jej mama to ceniona aktorka Hanna Mikuć, a tata – nieżyjący już znakomity operator filmowy Piotr Sobociński. Ona początkowo chciała iść inną drogą, ale ostatecznie wygrała w niej miłość do kina i teatru. Oglądamy ją właśnie w serialu „Proud" w serwisie HBO Max. Nam Maria Sobocińska zdradza, czy znane nazwisko pomogło jej rozpocząć karierę

Paweł Gzyl

W zawodzie aktora zawsze była duża konkurencja. Ale w dzisiejszych czasach jest ona chyba wyjątkowo ostra. Odczuwasz to na własnej skórze?
Na pewno ma na to wpływ to, że bardzo dużo osób kończy co roku szkoły aktorskie. Ostatnio ktoś mi nawet powiedział, że to ponad 120 osób, ponieważ są to zarówno państwowe, jak i prywatne szkoły. Siłą rzeczy tych osób na rynku robi się coraz więcej. Niby projektów teraz też jest sporo, ale mam poczucie, że nadal nie jest to wystarczająca ilość dla takiej liczby aktorów.

Młodzi aktorzy chwalą sobie obecność światowych platform streamingowych w Polsce, bo to dzięki temu mają więcej szans na role.
Zdecydowanie. Jeszcze do niedawna nie było tych seriali premium, tylko te codzienne telenowele, kręcone przez główne stacje telewizyjne. Dzięki Netflixowi czy HBO Max mamy większe możliwości. Seriale premium są jednak rzadsze, nie jest to więc produkcja za produkcją, rola za rola. Wszystko to rozkłada się w czasie. Są więc też momenty, kiedy musimy czekać, bo nie ma pracy na planie.

Dzisiaj podstawowym sposobem zdobywania pracy przez aktora jest casting. Wielu twoich kolegów i koleżanek nie przepada jednak za tym. Jak jest z tobą?
Uczestniczę w castingach już parę dobrych lat i niestety nadal towarzyszy mi przy tym stres, który często blokuje i sprawia, że nie jestem z siebie zadowolona. Oczywiście są różne castingi i różni ludzie, każdy jest inny, ale za każdym razem jest się poddawanym ocenie, co niestety jest częścią tego zawodu.

Oglądamy cię teraz w głównej roli kobiecej w serialu serwisu HBO Max – „Proud". Jak zostałaś Kiki?
Tym razem dostałam bezpośrednią propozycję od twórców. Najpierw było to generalnie pytanie, czy chciałabym wziąć udział w tym projekcie: żebym zapoznała się z tematem i podjęła taką decyzję, ale bez ostatecznego potwierdzenia. Aby ono się dokonało trzeba było czekać aż rok. Musiało się na to bowiem złożyć wiele dalszych decyzji i to nie tylko tu w Polsce, ale też za granicą. Nie do końca miałam więc pewność, że ostatecznie zagram w „Proud". Otrzymałam to potwierdzenie dopiero po roku.

Kiki to barwna i emocjonalna postać. Co cię najbardziej w niej zaciekawiło, gdy przeczytałaś scenariusz?
Na pewno to, że znajduje się w przełomowym momencie swego życia. Ma już odchowane nastoletnie dziecko i może zacząć zupełnie od nowa. To było szczególnie interesujące, tym bardziej że to życie, które sobie właśnie zaplanowała rozpocząć, nie do końca układa się tak, jakby chciała. Nie mogę za wiele zdradzić, ale generalnie świat nie okazuje się dla niej zbyt łaskawy.

Kiki jest młodą matką. To dla ciebie jeszcze obce doświadczenie. Jak sobie z tym poradziłaś?
Bardzo mnie ucieszyło, kiedy czytałam scenariusz, że nastoletnia córka Kiki jest bardziej dojrzała niż ona sama. (śmiech) To mi na pewno pomogło, bo nie musiałam grać matki, która jest wszechwiedząca. Kiki ma wiele do przepracowania – i taka postać jest mi zdecydowanie bliższa.

Zastanawiałaś się jaką przeszłość ma twoja bohaterka?
Oczywiście. Rozmawialiśmy na ten temat dużo z reżyserem. Ponieważ jest to postać drugoplanowa, wiele dotyczących jej wydarzeń rozgrywa się poza kamerą. Trzeba było więc sobie je dopowiedzieć, żebym wiedziała z czym mam wchodzić w scenę. Nie można było pokazać jej całego życia, sporo więc rozmawialiśmy, abym mogła się od tego odbić w budowaniu tej postaci.

Grasz w otoczeniu swoich rówolatków, młody był też reżyser. Dzięki temu mieliście lepsze porozumienie na planie?
Podczas realizacji „Proud" bardzo się zżyliśmy – i to nie tylko aktorzy ze sobą, ale też z ekipą i z reżyserem. Udało nam się więc stworzyć fajną grupę i na pewno znalazło to przełożenie na dobrą współpracę.

„Proud" to pierwszy polski serial o środowisku queerowym. Jak się odnalazłaś w tej tematyce?
Bardzo się cieszę, że ten temat został poruszony i z tego, że nasz serial nie narzuca sposobu myślenia o nim, tylko daje przestrzeń, by zastanowić się i wyrobić sobie swoje zdanie. To mnie najbardziej interesowało. Szczerze powiedziawszy, najważniejsze było nie to, jaką orientację seksualną ma główny bohater, ale to, jakim jest człowiekiem i z czym się mierzy.

No właśnie: Filip to gej, który niespodziewanie musi zrezygnować z hedonistycznych uciech i zająć się małym dzieckiem.
Mam nadzieję, że jeżeli ktoś da szansę serialowi i obejrzy wszystkie osiem odcinków, to zobaczy, iż jest to naprawdę wielowarstwowa i uniwersalna historia o miłości. Pokazuje, jak człowiek może się zmienić, bo to również opowieść o tym, że można stać się kimś lepszym. O tym, że w każdym z nas jest potencjał, z którego możemy nawet nie zdawać sobie sprawy.

„Proud" pokazuje, że nasza najbliższa rodzina niekoniecznie musi być połączona więzami krwi, ale mogą ją tworzyć nasi przyjaciele. Zgadzasz się z tym przesłaniem?
Tak. „Proud" to opowieść o tym, że możemy mieć rodzinę z wyboru. Każdy z jej członków nie jest idealny, ma swoje problemy, ale razem jesteśmy silniejsi.

W twoim przypadku niezwykle ważna jest ta prawdziwa rodzina: twoja mama jest aktorką, tata i dziadek byli wybitnymi operatorami. Uczestniczyłaś od dziecka w ich filmowym i teatralnym życiu?
Trochę tak. Czasem byłam na planie u taty. Początkowo uciekałam jednak od pomysłu, żeby pracować przy filmach. Chciałam robić coś zupełnie innego. Dlatego to wcale nie było oczywiste, że zostanę aktorką. Tak się jednak poukładało, że serce mi pokazało inną drogę niż chciałam.

Podobno początkowo chciałaś być lekarką i miałaś studiować medycynę.
To prawda. Nie udało się jednak z tą medycyną – i dobrze, bo nie mam predyspozycji do bycia lekarką i nie sprawdziłabym się w tym zawodzie. (śmiech)

Co sprawiło, że tuż przed maturą zdecydowałaś się na Akademię Teatralną?
Mówiąc w skrócie: miłość do kina i teatru.

Twoja mama dobrze pewnie znała blaski i cienie zawodu aktorki. Nie odciągała cię od pójścia tą drogą?
Wszyscy w mojej rodzinie odciągali mnie od tego. A to oczywiście zadziałało w drugą stronę, jak to zazwyczaj bywa.

Studiowałaś w warszawskiej Akademii Teatralnej. Dziś wiemy, że nauka w tego rodzaju szkołach może być trudnym doświadczeniem. Jak było w twoim przypadku?
Ja akurat bardzo dobrze wspominam szkołę. Moim opiekunem roku był Andrzej Strzelecki, który bardzo się o nas troszczył. Dużo rzeczy się słyszało, ale ja nigdy nie doświadczyłam na uczelni czegoś, co by mnie zblokowało czy straumatyzowało.

Znane nazwisko w polskim światku filmowym było dla ciebie na początku kariery bardziej parasolem ochronnym czy niosło większy ciężar oczekiwań?
Ludziom się wydaje, że kiedy ma się w rodzinie kogoś znanego w zawodzie, to jest łatwiej zdać do szkoły i znaleźć potem ciekawą pracę. Tymczasem jest zupełnie inaczej. Kiedy wchodziłam w zawód, ciężko mi było mierzyć się z opiniami, że nazwisko może pomóc zdobyć pracę. Bardzo bałam się zagrać w filmie, do którego zdjęcia robił mój brat, mimo że przeszłam klasycznie przez casting. Martwiłam się, że ktoś coś sobie pomyśli. Teraz jednak mam już inny stosunek do tego. Obaj moi bracia są w zawodzie i z przyjemnością pracuję z nimi, jeśli zdarzy mi się z którymś z nich spotkać na planie.

Nie miałaś na studiach i na początku pracy wątpliwości, że wybrałaś właściwą drogę kariery?
Do tej pory je mam. (śmiech) Za każdym razem, kiedy oglądam film ze swoim udziałem, martwię się, że wszystko zrobiłam źle. Z kolei, kiedy nie gram i siedzę w domu, też się martwię, tym razem o to, że nie mam pracy. Z tego wynika, że aktorstwo to taki zawód, w którym człowiek cały czas się martwi. (śmiech)

No ale zadebiutowałaś przecież od razu u reżysera z najwyższej półki – w „Wołyniu" u Wojtka Smarzowskiego. Jak wypadło to spotkanie?
Miałam naprawdę wielkie szczęście, że zadebiutowałam u Wojtka, bo to nie tylko wspaniały reżyser, ale też świetny człowiek. Kręciliśmy w „Wołyniu" polsko-ukraińskie wesele i były to niesamowite sceny. Ten plan był jakiś taki magiczny i nigdy go nie zapomnę.

Potem zagrałaś w „Weselu" i ostatnio w „Domu dobrym". Jesteś już częścią aktorskiej rodziny Smarzowskiego?
Mam nadzieję!

W „Domu dobrym" zagrałaś siostrę głównej bohaterki. Jak budowałaś tę siostrzaną relację z Agatą Turkot?
Na pewno pomogło nam to, że znałyśmy się z Agatą już wcześniej. Bardzo się więc ucieszyłam, kiedy dowiedziałam się, że będę grać jej siostrę. Scena-

eprasa.pl 88eb43e386

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maria Sobocińska: Chciałabym, żeby dane mi było dalej grać, żeby przychodziły do mnie propozycje, bo mimo swoich wad, jest to piękny zawód

riusz był też świetnie napisany, tak, że można się było od czegoś odbić. Mimo że moja bohaterka jest na drugim planie, to sama też ma swoje problemy. Obie siostry konfrontują się więc na tym polu.

Waszą matkę zagrała Agata Kulesza. To też było ciekawe spotkanie?
Tak. Ale z Agatą spotykamy się również często prywatnie, bo jesteśmy sąsiadkami. (śmiech)

Za występ w „Domu dobrym" dostałaś nominację do Orła. To już trzecia twoja nominacja do tej nagrody. Takie wyróżnienia nie są dla ciebie potwierdzeniem, że wybrałaś właściwą drogę kariery?
Dużo bardziej przeżywam nieudane castingi niż nominacje do Orłów. (śmiech) Jakoś to nie jest dla mnie równoważne. Bardzo się jednak cieszę z każdej nominacji. Jest to duże wyróżnienie. I są to zdecydowanie chwile szczęścia. Ale potwierdzeniem są przede wszystkim kolejne propozycje.

Pierwszą nominację do Orła dostałaś za maturzystkę Dagnę w „Panu T.". Ta rola wymagała od ciebie dojrzałości, ale i przełamania barier przed intymnymi scenami. Jak sobie z tym poradziłaś?
Otrzymałam duże wsparcie od Pawła Wilczaka, z którym miałam takie sceny.

A Paweł Wilczak ma opinię trudnego aktora. Jak to się stało, że znaleźliście akurat tak dobre porozumienie?
Nie wiem, dlaczego ma taką opinię. „Pan T." był jednym z moich pierwszych planów i Paweł, grając główną rolę, wprowadził atmosferę, w której wszyscy dookoła czuli się dobrze.

Ciekawą rolę stworzyłaś potem w „Drużynie AA". To film, który łączy dramat z komedią. Trudno ci było znaleźć ten balans w swojej postaci?
Przy tym filmie mieliśmy za zadanie nie grać komedii, aby ta komedia wydarzała się jakoby naokoło nas, choćby w różnych wydarzeniach, które się nam przytrafiają, w kostiumach czy w scenografii, ujętej w nieco komiksowy sposób. My mieliśmy za zadanie pokazać autentyczne dramaty naszych bohaterów. Cieszę się, że przynajmniej raz na jakiś czas mam okazję zagrać takie bardziej złożone postaci.

Jak przygotowujesz się do takich ról?
Różnie. Do każdej roli trochę inaczej. W „Drużynie AA" moja bohaterka była uzależniona od alkoholu. Zapoznałam się więc z terapią AA, rozmawiałam z ludźmi, którzy ją przeszli, trochę o tym czytałam. To ciekawe, że przy każdym filmie człowiek uczy się czegoś nowego.

Najbardziej komediową rolą w twoim dorobku jest chyba Paulina z „Sexify". Na planie mieliście taki sam ubaw jak potem widzowie przed ekranem?
Często mówi się: „Śmiech na planie, płacz na ekranie". Ale tutaj wszyscy byliśmy zgrani i mieliśmy sporo zabawnych momentów. Komedię trzeba jednak grać poważnie – i choć każdemu chce się śmiać, nie można temu ulegać i jakoś wytrzymać.

Paulina była niewiele młodsza od ciebie i też dopiero wchodziła w dorosłe życie. Dużo siebie odnalazłaś w tej postaci?
Na pewno również byłam w takim momencie poszukiwania siebie. Ale jednak charakterologicznie była to postać daleka ode mnie, więc nie czerpałam z własnych doświadczeń.

Paulina przechodzi najbardziej wyrazistą przemianę w serialu. Ty też miałaś taki moment w życiu?
Na pewno również poszukiwałam siebie, tak jak ona. Właściwie dalej przez to przechodzę. Chyba nigdy jednak nie przeszłam przemiany aż tak radykalnej. To była postać komediowa, więc dużo zachowań było tam, delikatnie mówiąc, przerysowanych.

Podobno stworzyłyście z Sandrą Drzymalską i Olą Skrabą siostrzany dream team na planie. To prawda?
Bardzo się ze sobą zżyłyśmy i cieszę się, że mogłyśmy zagrać wspólnie aż w dwóch sezonach tego serialu.

„Sexify" bardzo się spodobał poza Polską. Miałaś tego dowody?
Byłam bardzo tym zaskoczona, bo nikt z nas nie spodziewał się, że to tak daleko pójdzie. Dostawałyśmy z dziewczynami wiadomości od ludzi z zagranicy, wręcz z drugiego końca świata. Byłam w wielkim szoku, że kiedy pojechałam gdzieś za granicę, ponieważ rozpoznano mnie tam na ulicy. Zdarzyło mi się to w różnych krajach. A kompletnie się tego nie spodziewałam.

Twoi rówieśnicy próbują dobijać się o role poza Polską. Ciebie nie ciągnie za granicę?
Na razie mam ambicje i marzenia, żeby grać w polskim kinie, bo uważam, że jest świetne.

Nie odpuszczasz także teatru. Choćby współtworzysz niezależną grupę Potem-O-Tem. Co daje ci współpraca z takim offowym zespołem?
Stworzyliśmy ten teatr sami z kolegami od podstaw. To duży plus. Jestem z tymi ludźmi bardzo blisko. Cieszę się też, że mogę grać na innych scenach, bo teatr to zupełnie inny rodzaj pracy. A ja jestem najszczęśliwsza, kiedy mogę dotknąć trochę tego i trochę tamtego. Marzę więc, aby grać w filmie i w teatrze. Bo kiedy nie ma przez jakiś czas planu filmowego, to jest scena teatralna. Nie siedzi się w domu, tylko chodzi regularnie do pracy. Teatr daje więc pewną stabilność w życiu.

Nie chciałabyś być na etacie w teatrze?
Coś tak czuję, że by mnie to paraliżowało. Stresuję się, nie mogąc pogodzić pracy w filmie z pracą w teatrze, nie mając etatu, to co by było gdybym miała taki etat!

Jak wspomniałaś, grasz czasem w filmach, do których autorami zdjęć są twoi bracia. Jak się wtedy czujesz na planie?
Głównie spotykam się z Piotrkiem. Teraz jest dobrze, początek tylko był trudny, bo miałam wrażenie, że muszę udowodnić bratu, iż nadaję się do tego zawodu, bo on mnie ocenia dwa razy ostrzej niż inni. Musiałam więc zagryźć zęby. Potem było już lepiej i teraz to całkiem dobrze działa.

A konsultujesz się czasem z mamą, kiedy pracujesz nad rolą?
Mama nie lubi rozmawiać o moich rolach, bo nie chce znać historii opowiedzianej w filmie przed pójściem do kina. (śmiech)

Wykonujesz zawód, który jest narażony na wścibstwo plotkarskich portali. Jak sobie z tym radzisz?
Nie mam kontroli nad tym, co kto sobie wymyśli i napisze. Najlepiej więc tego nie komentować i żyć dalej. Codziennie jesteśmy narażeni na ocenę i hejt. Trzeba więc wyrobić w sobie odporność na takie sytuacje.

Ty chronisz bardzo swoją prywatność. To dobra taktyka?
Nie wyobrażam sobie innej. Nie potrafiłabym dzielić się swoim życiem prywatnym z mediami.

Pracujesz w zawodzie już prawie 10 lat. Aktorstwo cię nie rozczarowało?
Zdecydowanie nie. Nie lubię tylko momentów, kiedy to aktorstwo nas nie rozpieszcza i są przerwy. Trzeba się jednak na to uodpornić. Wtedy ratuje mnie teatr. A do tego jest rodzina, przyjaciele, życie po prostu. Chciałabym, żeby dane mi było dalej grać, żeby przychodziły do mnie propozycje, bo mimo swoich wad, jest to piękny zawód. Mam oczywiście swoje marzenia – choćby spotkania z niektórymi reżyserami czy aktorami. Mam nadzieję, że się spełnią.

eprasa.pl 88eb43e386

„DO PRZERWY 0:1". PODWÓRKO NICZYM WEMBLEY

Ten serial jak mało który ukazuje atmosferę powojennej Warszawy, w dodatku robiąc to oczami jej najmłodszych mieszkańców. Mieszkańców, którzy mimo swojej niełatwej sytuacji nie przestają gonić za marzeniami i... piłką. Wkrótce minie 57 lat od premiery serialu „Do przerwy 0:1"

Wojciech Obremski

Pod koniec lat 60. Stanisław Jędryka, przyszły „dyżurny" spec od młodzieżowych seriali, miał za sobą zaledwie jedną produkcję skierowaną dla owej grupy - była to „Wyspa złoczyńców" z 1965 roku, czyli filmowa adaptacja jednej z powieści o panu Samochodziku.

Jędryka, wkrótce kojarzony głównie z serialami opartymi o prozę Adama Bahdaja, jeszcze w 1961 roku zainteresował się przeniesieniem na mały ekran powieści „Do przerwy 0:1". Dlaczego akurat ten tytuł? Zapewne nie bez znaczenia był fakt, że reżyser, jako zapalony piłkarz, temat „dzikich" drużyn sportowych znał z własnego doświadczenia. Z kolei książka opowiadała o losach grupy chłopców, których marzeniem było zwycięstwo w piłkarskim turnieju drużyn podwórkowych. Tłem akcji była powojenna Warszawa.

Scenariusz na półkę

Jędryka i Bahdaj napisali scenariusz, który w czerwcu 1961 roku był rozpatrywany podczas posiedzenia Komisji Ocen Scenariuszy, gdzie zdecydowano, że... serial „Do przerwy 0:1" nie powstanie. Reżyser twierdził, że przyczyną takiej decyzji mogło być „mało wizerunkowe i propagandowe" ukazanie stolicy jako miasta zniszczonego i biednego, wypełnionego różnymi patologiami. Jakimi? Przykładowo w książce główny bohater Maniuś Tkaczyk „Paragon" zbiera butelki pozostawione przez okolicznych pijaczków. W scenariuszu scenę tę lekko rozbudowano (najwyraźniej nie we właściwym dla władz kierunku) - otóż chłopiec spotyka robotnika z pobliskiej budowy, który stwierdza: „Przyjdź po wypłacie, to będzie większy asortyment". W dodatku główni bohaterowie borykają się z brakiem sportowych strojów czy obuwia, zaś piłka przypomina dziurawy worek.

„Drugą potencjalnie niebezpieczną pułapką była kwestia drużyny piłkarskiej Polonia Warszawa, powszechnie uwielbianej i wszechobecnej w świadomości bohaterów zarówno powieści Bahdaja, jak i omawianego projektu. Jako marka kojarzona z okresem przedwojennym Polonia była już wówczas stopniowo deprecjonowana przez komunistów na rzecz Legii, która miała stać się najważniejszym stołecznym klubem. Jak wiemy, cel ten został osiągnięty - wystarczy wspomnieć graffiti »zdobiące« warszawskie ulice i budynki" - czytamy na stronie Znienacka.pl. Coś musiało być na rzeczy, bo gdy serial w 1969 roku wreszcie nakręcono, Polonia została z niego całkowicie wymazana. W książce zaś jest to ukochany klub Perełki, Mandżaro i Paragona.

FOT. CC

O rolę zadziornego, obrotnego, choć trochę pechowego Paragona starało się 1,5 tysiąca kandydatów. Wszystkich ich pokonał 13-letni Marian Tchórznicki, którego reżyser wypatrzył na Starym Mieście podczas zabawy

Trzecim możliwym powodem odrzucenia serialu był fakt, że akurat wtedy realizowano inny film o bardzo podobnej tematyce. Była to „Bitwa o Kozi Dwór" w reżyserii Wadima Berestowskiego. Obraz opowiadał o rywalizacji dziecięcych drużyn piłkarskich w przedwojennej Warszawie. Decydenci najpewniej stwierdzili, że powstające w tym samym czasie dwie produkcje o zbliżonej do siebie treści to zbyt wiele. Ba, zaproponowano nawet Jędryce, by ten zamienił piłkę na hokej. Nie był to koniec problemów. W późniejszym etapie wielu osobom nie spodobał się fakt, że Roman Wilhelmi, nieskazitelny Olgierd z „Czterech pancernych i psa", ma zagrać typa spod ciemnej gwiazdy.

Z pięściami na Wilhelmiego

Kiedy siedmioodcinkowy serial udało się w końcu nakręcić, różnił się nieco od książkowego oryginału. Poza wspomnianym usunięciem Polonii Warszawa w niebyt, ulicę Górczewską zastąpiła Chmielna, Paragon, by zarobić pieniądze, nie sprzedaje gazet, tylko kwiaty, a wychowującą go ciotkę w serialu zastępuje samotna matka pracująca jako motornicza tramwaju.

O rolę zadziornego, obrotnego, choć trochę pechowego Paragona starało się 1,5 tysiąca kandydatów. Wszystkich ich pokonał 13-letni Marian Tchórznicki, którego reżyser wypatrzył na Starym Mieście podczas zabawy. Jednak na przesłuchaniu okazało się, że Tchórznicki w ogóle nie radzi sobie z tekstem, a kamera go paraliżuje. - Przepadła gdzieś cała ta swoboda, którą zaobserwowałem u niego na ulicy. A przecież w filmie sytuacje były podobne! - wspominał Jędryka, który postanowił mimo wszystko dać chłopcu szansę. I warto było, bo z dnia na dzień Tchórznicki oswajał się coraz bardziej ze swoją rolą i filmowym otoczeniem.

- Ze zwykłego chłopca, który kopie piłkę na Powiślu, stałem się nagle znanym polskim aktorem i w głowie lekko mi się poprzewracało – opowiadał po latach. Co przeważyło, że to właśnie Tchórznicki został głównym bohaterem? Otóż na castingu miał odegrać scenę z Romanem Wilhelmim, który celowo mocno uderzył chłopca, by wywołać u niego wzburzenie. Udało się. Wściekły Tchórznicki rzucił się na Wilhelmiego, co spodobało się filmowcom.

- Po latach Wilhelmi, a miałem z nim dość dobry kontakt, mówi: „Ja cię specjalnie, Paragon, uderzyłem, bo chciałem z ciebie wydobyć to wszystko" - wspominał Tchórznicki, który niestety nie poradził sobie z nagłą sławą. Jeszcze jako 13-latek sięgnął po alkohol, a poczęstować go miał... sam Wilhelmi. Aktor był winien chłopakowi 300 złotych, a dług spłacił w formie zaproszenia Mariana na ajerkoniak do SPATiF-u.

- Schlałem się jak kot tym ajerkoniakiem. [Wilhelmi - przyp. red.] wziął taksówkę, zawiózł mnie na Bednarską [do mieszkania Tchórznickich - przyp. red.] i powiedział do mamy: „Tereska, oddaję syna, przepraszam" - opowiadał Tchórznicki.

Co ciekawe, młody aktor nie mówi w serialu swoim głosem - zdubbingowała go Krystyna Chimanienko. - To ona sprawiła, że Paragon jest wiarygodny i prawdziwy, a pewne sceny nabrały zupełnie innego wymiaru - twierdził Jędryka.

Prawdziwe mecze i nagrody

Finałowy mecz między drużynami „Huragan" i „Syrenka" kręcono w przerwie prawdziwego spotkania ligowego Legii. - Filmowa drużyna wybiegła na murawę i w ciągu piętnastu minut, przy pełnym stadionie, zrobiliśmy kilka ujęć. Chłopcy wychodzili z tunelu jak prawdziwi piłkarze, a na stadionie było wtedy jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi. Później dokończyłem ten mecz już bez publiczności. Fotografowałem sceny z góry, tak że nie było widać otoczenia, tylko samo boisko - wspominał reżyser.

Za to półfinałowy mecz na stadionie „Warszawianki" filmowano już bez udziału kibiców, w których wcielili się statyści. Jednak sędziował prawdziwy sędzia piłkarski, któremu dano nawet scenę dialogową. W serialu wykorzystano także oryginalne fragmenty meczów Polski z Brazylią i Belgią.

Serial przyniósł Adamowi Bahdajowi i Stanisławowi Jędryce nagrodę zespołową Komitetu ds. Radia i Telewizji w dziedzinie filmowej twórczości telewizyjnej. „Do przerwy 0:1" ciepło przyjęto także za granicą, podobał się zwłaszcza w Szwecji. W 1970 roku zaś na ekrany kin wszedł film „Paragon gola", zmontowany z wybranych odcinków „Do przerwy 0:1".

eprasa.pl 88eb43e386

„ALTERNATYWY 4". SĄSIEDZKI TYGIEL MADE IN PRL

Jak przedstawić zbiorowy portret mieszkańców kraju na Wisłą schyłku PRL-u, ich przywary, słabości, ale i śmieszności? Stanisław Bareja miał na to odpowiedź – wszak można ich na przykład umieścić w jednym bloku i wyposażyć w skrajnie różne cechy, zachowania czy zawody. Wkrótce minie 40 lat od premiery serialu „Alternatywy 4"

Wojciech Obremski

Wydawałoby się, że fabuła serialu nie jest zbyt skomplikowana - oto poznajemy nieznających się wcześniej ludzi (czasami całe wręcz rodziny), które wyczekują od lat dawno upragnionego mieszkania. Traf zrządza, że wszyscy lądują pod tym samym adresem, na warszawskim Ursynowie, konkretnie w nowo wybudowanym bloku przy ulicy Alternatywy 4. W kolejnych odcinkach obserwujemy ich zmagania związane z niedotrzymaniem terminu oddania budynku do użytku, partactwem robotników czy cwaniactwem urzędników. W tle zaś kolejki po mięso, problemy z prądem, historyczne nawiązania (nie zawsze wygodne ówczesnej władzy), a to wszystko podane w sposób, który nie tylko dawał do myślenia, ale i przede wszystkim bawił. Ot, typowy obraz minionej epoki, odpowiednio odbity w krzywym, barejowskim zwierciadle. Tym razem jednak w formie serialu, co dawało reżyserowi większe pole do popisu. Ale i cenzurze, lecz o tym później.

FOT. CC

„Alternatywy 4" tak naprawdę doceniono po przełomie ustrojowym, a serial z czasem zyskał status kultowego

„Nad wszystkim czuwa gospodarz domu"

Sami mieszkańcy? Mamy tu ich cały wachlarz, na tyle różny pod względem charakterów, wykształcenia, a nawet wieku, że nie mogło zabraknąć między nimi okazji do komicznych (ale i dramatycznych) interakcji. Palmę pierwszeństwa dzierżą jednak relacje lokatorów z gospodarzem domu Stanisławem Aniołem, który, przy pomocy sprytnych machinacji, podporządkowuje sobie mieszkańców bloku, sprawując nad nimi realną władzę. Anioł to człowiek, któremu spore ambicje niespecjalnie się spełniły, co próbuje wyładować na sąsiadach i początkowo mu się to nawet udaje. Nie przewidział tylko tego, że jego „podwładni", jak na Polaków przystało, w obliczu tyranii potrafią się zjednoczyć, zostawiając za sobą wszystkie dotychczasowe niesnaski.

Pomysł na „Alternatywy 4" narodził się jesienią 1979 roku, kiedy to przyszły scenarzysta serialu Maciej Rybiński (felietonista i dziennikarz) odbierał klucze do swojego nowego lokum na warszawskim Okęciu. Wiele do życzenia pozostawiała zarówno jakość wykończonych wnętrz, jak i sami sąsiedzi oraz ich wzajemne relacje. Te obserwacje posłużyły Rybińskiemu do stworzenia scenariusza serialu, zaś wspierał go Janusz Płoński, kolega z redakcji czasopisma „ITD" (obaj mieli już na koncie m.in. jeden z odcinków Teatru Sensacji „Kobra").

- Odpowiedź na nasz pomysł dostaliśmy po dwóch latach. Zamówiono scenariusz, dali nam reżysera, żeby nam pomógł ze scenariuszem. Ale po pierwszym spotkaniu wiedzieliśmy, że ten człowiek, którego nazwiska nie pomnę, jest pozbawiony poczucia humoru. Postawiliśmy się w telewizji. Efekt był taki, że dali nam Bareję. Wtedy już wszystko weszło na dobre tory. Bareja nas uczył pisania scenariusza. On rozumiał ideę tej historii. Pisaliśmy u niego w domu. Napisaliśmy sześć odcinków. Serial był kręcony w stanie wojennym, co zapewniło „Alternatywom" świetną reklamę. Pakowaliśmy dużo scen ryzykownych, bo wiedzieliśmy, że nawet jeśli cenzura część wykreśli, to sporo z nich zostanie. Telewizja to łyknęła i na szczęście zapłaciła - wspominał Janusz Płoński.

Początkowo serial miał nosić tytuł „Nasz dom", a jego realizacji podjął się Stanisław Bareja, któremu Telewizja Polska, po sukcesie „Misia", zezwoliła na reżyserię. Reżyser zaczął od przygotowania scenopisu (opierając się o tekst Rybińskiego i Płońskiego), zmienił również tytuł serialu na „Stanisław Anioł". Zamiast zakładanych najpierw sześciu, mniej więcej półgodzinnych odcinków, ostatecznie nakręcono dziewięć, a każdy trwa około godziny. Po raz kolejny, już na dobre, zmodyfikowano tytuł, tym razem na „Alternatywy 4". Skąd ta zmiana? Jak tłumaczył Bareja Rybińskiemu, Polska, jako „kraj na rozstaju dróg", ma cztery alternatywy (lewo - prawo - góra - dół).

Postać dozorcy, ironicznie nazwanego Aniołem, była uosobieniem wszechobecnej kontroli obywateli przez państwo, zresztą nie od dziś wiadomo, że gospodarze domów w owym czasie nierzadko współpracowali z milicją czy Służbą Bezpieczeństwa. A pierwowzorem samego Anioła był niejaki Albin Siwak, komunistyczny aparatczyk, wywodzący się z frakcji moczarowców, pnący się błyskawicznie po szczeblach kariery.

Początkowo Bareja chciał, by w Anioła wcielił się Krzysztof Kowalewski (odmówił, twierdząc, że rola jest... cieniutka), Ludwik Pak (nakręcono z nim już nawet kilka scen) lub Stanisław Tym, lecz drugi reżyser Andrzej Swat optował za obsadzeniem w tej roli Romana Wilhelmiego (Swat podziwiał jego grę w „Karierze Nikodema Dyzmy"). Będąc przy Paku trzeba dodać, że Bareja typował go również do roli Balcerka (ostatecznie został nim Witold Pyrkosz), jednak plan ten pokrzyżowała choroba alkoholowa aktora.

Plejada gwiazd, robot i striptizerka

Blok, który widzimy w serialu, znajduje się przy ulicy Grzegorzewskiej 3 w Warszawie, ale ujęcia jego wnętrz powstawały już w hali zdjęciowej. Jednak nadszedł 13 grudnia 1981 roku i atelier stało się jednostką zmilitaryzowaną. Pracę trzeba było przerwać. Mimo że ekipa powróciła na plan już w 1982 roku (pod ostrą kontrolą władz), to pojawił się kolejny problem - trzeba było ubłagać „Solidarność" o pozwolenie na zwolnienie aktorów z bojkotu telewizji. Udało się. Dzięki temu w „Alternatywach 4" widzimy całą plejadę gwiazd ówczesnego srebrnego (i nie tylko) ekranu; prócz Wilhelmiego mamy tutaj: Bożenę Dykiel, Kazimierza Kaczora, Halinę Kowalską, Jerzego Turka, Mieczysława Voita, Janusza Gajosa, Wiesława Gołasa, Jerzego Kryszaka i wielu innych. W roli czarnoskórego doktoranta Harvardu Lincolna reżyser obsadził pokrytego ciemną substancją Ryszarda Raduszewskiego. Zaś w robota kolejkowego Ewy-1 wcieliła się Wanda Kozera-Hyży, aktorka teatru pantomimy Studia Kineo.

- Słyszałem, że scenarzyści wymyślili motyw z robotem kolejkowym przypadkowo. Przeczytali jakąś informację w prasie o facecie, który na Ursynowie zbudował w czteropokojowym mieszkaniu w bloku samolot, tylko nie był go w stanie stamtąd wynieść. Wpadli na pomysł wprowadzenia do serialu wynalazcy robota stojącego w kolejkach bardziej potrzebnego w ówczesnym codziennym życiu - mówił Jerzy Bończak na łamach „Faktu", czyli serialowy wynalazca Manc. Dodajmy, że jego sympatię Ewę, która była grana przez Hannę Bieniuszewicz, raz zastąpiła dublerka.

- W scenie, kręconej w restauracji Kongresowa w Pałacu Kultury, miałam dublerkę, Mariolkę. Była profesjonalną striptizerką, która opracowywała ze mną ten taniec, a przy okazji się zakumplowałyśmy. W serialu miałam tańczyć do rozchylenia się sukienki, zrobić obrót i od tego momentu miał być widoczny szeroki plan, a w nim - już tylko Mariolka. Niestety, sukienka spadła. Zostałam w samych majteczkach, z nagimi piersiami. Widownia konała ze śmiechu na widok piszczącej, wstydliwej striptizerki - śmiała się aktorka.

Bareja w na swój sposób odwdzięczył się „Solidarności", wplatając sprytnie zawoalowane aluzje i żarty polityczne. Przykład? Mający konszachty z opozycją profesor Dąb-Rozwadowski mówi w pewnym momencie do słuchawki: „Adam, spokojnie, nie jąkaj się, co się stało?".

Kolaudacja serialu nastąpiła jeszcze pod koniec 1982 roku, lecz jej wynikiem była długa lista z rzeczami do poprawki (bądź wyrzucenia).

Cenzura i lewe kasety

Decydentom nie przypadła do gustu scena, w której towarzysz Winnicki opowiada kawał o parówce w d...., nie spodobało się także zakładanie podsłuchu u profesora czy (niesławny) klub lokatora. Cenzorów uwierał też moment, w którym Winnicki daje sąsiadom wykład o sposobach manipulacji przy użyciu mediów, ponadto chciano, by Bareja dodał... zakończenie z morałem.

Co ciekawe, nie doszukano się faktu, że postacie grane przez Wiesława Gołasa i Mieczysława Voita podczas swoich dysput rozmawiają o zbrodni katyńskiej czy niechlubnej roli Armii Czerwonej w powstaniu warszawskim.

Koniec końców batalia z cenzorami trwała aż do jesieni 1986 roku, gdy wyemitowano pierwszy odcinek.

Wcześniej jednak serial krążył w podziemnym obiegu na kasetach VHS, skopiowany po cichu przez pracowników telewizji, co paradoksalnie ponoć przyspieszyło decyzję o oficjalnej emisji.

Po premierze, jak to często bywało z produkcjami Stanisława Barei, na głowę reżysera posypały się gromy. Że słaba konstrukcja fabuły, że chaotyczny montaż, że brak spójności itd. Nie przeszkadzało to w świetnym odbiorze serialu przez widzów - oglądalność sięgała 75 procent.

Niesławną kartą w historii serialu jest... jego kontynuacja, nosząca tytuł „Dylematu 5", której pierwszy odcinek nadano 1 maja 2007 roku. Reżyserem miał być Wojciech Smarzowski, ostatecznie został nim Grzegorz Warchoł (w oryginalnych „Alternatywach 4" grał redaktora). Występuje tu wielu aktorów znanych z oryginału, lecz serial zebrał tak złe recenzje i miał do tego stopnia druzgocący odbiór, że zakończono jego emisję na zaledwie trzech odcinkach.

„Alternatywy 4" tak naprawdę doceniono po przełomie ustrojowym, a serial z czasem zyskał status kultowego. 13 września 2014 roku cykl ponownie zagościł w telewizji, tym razem w wersji zrekonstruowanej cyfrowo i uzupełnionej o usunięte przez cenzurę sceny, które odnaleziono w archiwach Telewizji Polskiej. Dzięki temu produkcja może nadal pełnić rolę swoistej kroniki tamtych, nie tak bardzo przecież szarych, czasów.

eprasa.pl 88eb43e386

OSTATNIE ZIEMSKIE CHWILE ELVISA PRESLEYA

26 czerwca 1977 roku. Król rock and rolla po raz ostatni wystąpił publicznie. Mimo że schorowany i otyły, dał świetny koncert w Indianapolis dla blisko 20 tysięcy fanów

Mariusz Grabowski

Zmarł niebawem - 16 sierpnia 1977 r. w Memphis, w Graceland, w wieku 42 lat. W tym samym dniu, w którym miał rozpocząć nową trasę koncertową po wschodniej części Stanów. Co działo się w ciągu tego czasu?

Dwa miliardy płyt

Dziennikarz Andrew E. Stoner tak, na łamach „Wicked Indianapolis", opisywał wydarzenia towarzyszące występowi Presleya w hali Market Square Arena: „Koncert w Indianapolis był pięćdziesiątym szóstym i ostatnim koncertem, który Elvis zaplanował w 1977 roku. Wyczerpujący harmonogram tras koncertowych i miesięczne występy w Las Vegas dały się we znaki Elvisowi... Trasa koncertowa była kiedyś kołem ratunkowym dla tonącej kariery śpiewaka, teraz stała się wyczerpującym obowiązkiem".

Stoner dodawał: „Za kulisami przed jego występem w MSA przedstawiciele RCA wręczyli Elvisowi tabliczkę upamiętniającą dwumiliardową płytę Presleya wybitą przez Indianapolis, chociaż nie wszystkie recenzje były pozytywne. Elvis dał jeden ze swoich najlepszych występów w ostatnich miesiącach. Niestety, nikt nie wiedział, że będzie to ostatnie".

Ostatni występ

O ówczesnej kondycji Presleya Stoner ledwie napomyka. Wiemy, że muzyk był już bardzo otyły, ważył prawie 150 kilo, miał kłopoty z chodzeniem i nafaszerowany był lekami przeciwbólowymi. Od dłuższego czasu zmagał się z ciężką depresją, chroniczną bezsennością oraz stanami lękowymi.

Kilka miesięcy przed ostatnim koncertem jego stan zdrowia zaczął się nagle pogarszać. Jak twierdziła była żona gwiazdora Priscilla Presley, lekarze wręcz zabronili mu wychodzenia na scenę i występów dla publiczności. „Czasami nie udawało mu się zaśpiewać piosenki do końca..." - wspominała Priscilla.

Od naocznego świadka koncertu - Dana Carpentera z „The Indianapolis Star" - wiemy, że fani czekali całą noc, w mroźną pogodę, „na możliwość zobaczenia człowieka, który przez 24 lata był gwiazdą w branży, której przedstawiciele rzadko utrzymują się na rynku dłużej niż muszki owocówki".

„Wyglądał lepiej..."

Zachowało się wiele świadectw uczestników tamtego koncertu. Wszystkie są zgodne: Elvis, mimo widocznego złego stanu zdrowia, dał z siebie wszystko. Ubrany w charakterystyczny biały kombinezon z motywami meksykańskimi zaśpiewał utwory ze wszystkich etapów swojej kariery: od najwcześniejszych hitów z lat 50., przez piosenki wydane w czasie, gdy skupiał się bardziej na swojej karierze filmowej, aż po późniejsze numery, wydane po pamiętnym powrocie do koncertowania w 1968 r.

Na początek zabrzmiał utwór „See See Rider", następnie „Amen" i cover kultowego utwory Raya Charlesa „I've Got a Woman". Ostatnią piosenką, jaką Elvis zaprezentował przed publicznością, była legendarna „Can't Helph Falling in Love".

Niektórzy z fanów nie chcieli zauważyć, że ich idol ma kłopoty zdrowotne. Michelle Klein, która była wcześniej na 50 koncertach Presleya - m.in. w Michigan, Ohio, Indianie i innych miejscach - wspominała wręcz: „Nie zmienił się ani trochę. Wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. Jak mówią, nie starzał się, a stawał się lepszy".

Presley jest chory?

Trzy tygodnie przed koncertem, 6 czerwca 1977 r., został wydany „Way Down" - ostatni singiel w życiu Presleya. W tym miesiącu stacja CBS nagrała też dwa koncerty do specjalnego programu telewizyjnego „Elvis in Concert", który miał być wyemitowany w październiku.

Na pierwszym, nakręconym w Omaha w dniu 19 czerwca, głos Presleya - jak pisze Peter Guralnick, jego biograf - „jest prawie nie do poznania, jest to mały, dziecięcy instrument, na którym on więcej mówi niż śpiewa. W innych szuka niepewnie melodii i jest praktycznie niezdolny do ich wyrażenia".

FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

W Indianapolis Elvis Presley dał jeden ze swoich najlepszych występów w ostatnich miesiącach życia

Dwa dni później w Rapid City w Południowej Dakocie „wyglądał zdrowiej, wydawało się, że stracił trochę na wadze i brzmiał lepiej", chociaż pod koniec występu jego twarz była „otoczona hełmem niebiesko-czarnych włosów, z których pot spływa po bladych, opuchniętych policzkach".

Wciąż mówił o śmierci

Czas między 26 czerwca a fatalnym 16 sierpnia 1977 r. był dla króla rock and rolla męczarnią. Z jednej strony poddany został ostremu reżimowi lekarzy, z drugiej jego agenci nalegali na dalsze koncerty. Ale nawet oni zdawali sobie sprawę, że Presley nie wytrzyma kolejnego tournée.

Zamknięty w Graceland nie mógł spać, wszczynał awantury, dostawał nagłych ataków histerii. Ostatnia narzeczona Presleya, modelka i aktorka Ginger Alden (zaręczyli się w styczniu 1977 r.), wspominała, że gdy zamiast ulubionych kanapek z masłem orzechowym, pokrojonymi bananami i chrupiącym bekonem król dostawał górę leków, zwykle rzucał nią w pielęgniarki.

Na przełomie czerwca i lipca Presley przestał chodzić. Nawet nie dlatego, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa, po prostu nie chciał. „Był zrezygnowany, wciąż mówił o śmierci" - wspominała Ginger. Gapił się też w telewizor. Godzinami potrafił oglądać ulubione skecze Monty Pythona lub swoje koncerty, a tylko w latach 1969-1977 zagrał ich łącznie 1094.

Martwy w łazience

Rano 16 sierpnia Presley grzecznie zjadł dietetyczne śniadanie i udał się na spacer. Czuł się na tyle dobrze, że konferował z agentami szczegóły trasy koncertowej. Ustalono, że wieczorem poleci do Portland na pierwszy występ. Cieszył się, że album „Moody Blue", który miał premierę w lipcu, sprzedaje się wyjątkowo dobrze - singiel z płyty, wydany na początku 1977 roku, stał się setnym przebojem w karierze Presleya notowanym na liście tzw. Hot 100.

Wydawało się, że powoli wraca do równowagi, zwłaszcza że dzień wcześniej, 15 sierpnia, czuł się dobrze, a nawet żartował. Wieczorem godził się nawet, żeby zawieziono go do dentysty (w drodze powrotnej został sfotografowany pod Graceland i jest to ostatnie zdjęcie, które przedstawia Presleya żywego). Nocą rozegrał partię racquetballa (rodzaj uproszczonego squasha) z kuzynem Billym Smithem, jego żoną oraz z Ginger Alden. Po ostatnim secie zjadł cztery gałki lodów oraz sześć ciasteczek z kawałkami czekolady.

Jednak 16 sierpnia ok. godz. 14.10 Alden znalazła go nieprzytomnego w łazience. Nie powiodły się próby przywrócenia artysty do życia. Karetka z Presleyem o godz. 15 dotarła do Baptist Memories Hospital, gdzie o godz. 15.30 została potwierdzona jego śmierć. Jako oficjalną przyczynę podano zatrzymanie akcji serca.

Ciągle na prochach

Podczas gdy trwała sekcja zwłok muzyka, lekarz sądowy z Memphis, Jerry Francisco, ogłosił, że „narkotyki nie odegrały żadnej roli w śmierci Presleya". Jednak Peter Guralnick potwierdza rzecz oczywistą dla każdego, że „zażywanie narkotyków było w dużym stopniu powiązane" z jego śmiercią. Raporty laboratoryjne złożone dwa miesiące później zdecydowanie sugerowały, że główną przyczyną śmierci Elvisa była polipragmazja, czyli przyjmowanie co najmniej pięciu leków jednocześnie. W analizie stwierdzono „czternaście narkotyków w organizmie Elvisa, dziesięć w znacznych ilościach".

Jeden z lekarzy Presleya, George Nichopoulos, tylko w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 1977 r. przepisał mu ponad 10 tysięcy dawek środków uspokajających, amfetaminy i innych narkotyków. „Wszystko - jak się tłumaczył - dla zdrowia gwiazdora".

Jak rodzą się legendy

Śmierć Presleya stała się wydarzeniem ogólnokrajowym. Przed Graceland koczowały tysiące ludzi, a ówczesny prezydent USA Jimmy Carter wydał oświadczenie, w którym przyznał Presleyowi zasługę „trwałej zmiany oblicza amerykańskiej kultury popularnej".

Pogrzeb Elvisa Presleya odbył się niemal błyskawicznie, bo już 18 sierpnia 1977 r., w jego posiadłości Graceland. Obecnych było blisko 100 tysięcy ludzi i nie obyło się bez incydentów - jeden z samochodów wjechał w grupę fanów, zabijając dwie młode kobiety i ciężko raniąc trzecią.

Wypadki na pogrzebie dopisano do niekończącej się listy spiskowych teorii związanych ze śmiercią króla. Dla wielu fanów Elvis wciąż żyje w Meksyku, a jak nie on, to jego awatar. Ukrywa się, bowiem posiada sekretne informacje na temat mrocznych wydarzeń ze szczytów władzy USA, m.in. na temat śmierci Johna F. Kennedy'ego.

Kto mógł to zrobić?

Jako że wyniki autopsji Presleya zostaną odtajnione dopiero w 2027 r., teorie spiskowe krążą również wśród medyków. W 1994 r. koroner Joseph Davis zakwestionował, jakoby przyczyną śmierci piosenkarza był atak serca bądź przedawkowanie leków. „Pozycja ciała wskazywała, że Elvis Presley chciał usiąść na toalecie, gdy nastąpił atak. Runął do przodu na dywan i był martwy, zanim uderzył o podłogę" - napisał, nie wykluczając „udziału osób trzecich".

Kto mógłby przyczynić się do śmierci króla? Lista jego wrogów jest dość rozległa - począwszy od lekarzy, członkach rodziny, pracownikach, których Elvis wyrzucił z pracy, skończywszy na ochroniarzach. Jedno z czołowych miejsc na tej liście zajmuje Ginger Alden. Jej motywem miałaby być zemsta (po śmierci narzeczonego nie dostała ani centa). Ginger ma dziś 70 lat, rozpoznawalność ex wybranki legendy i niezłe dochody z corocznych wspominek o wydarzeniach sprzed lat. Wszystko się zgadza...

eprasa.pl 88eb43e386

Krzyżówka panoramiczna

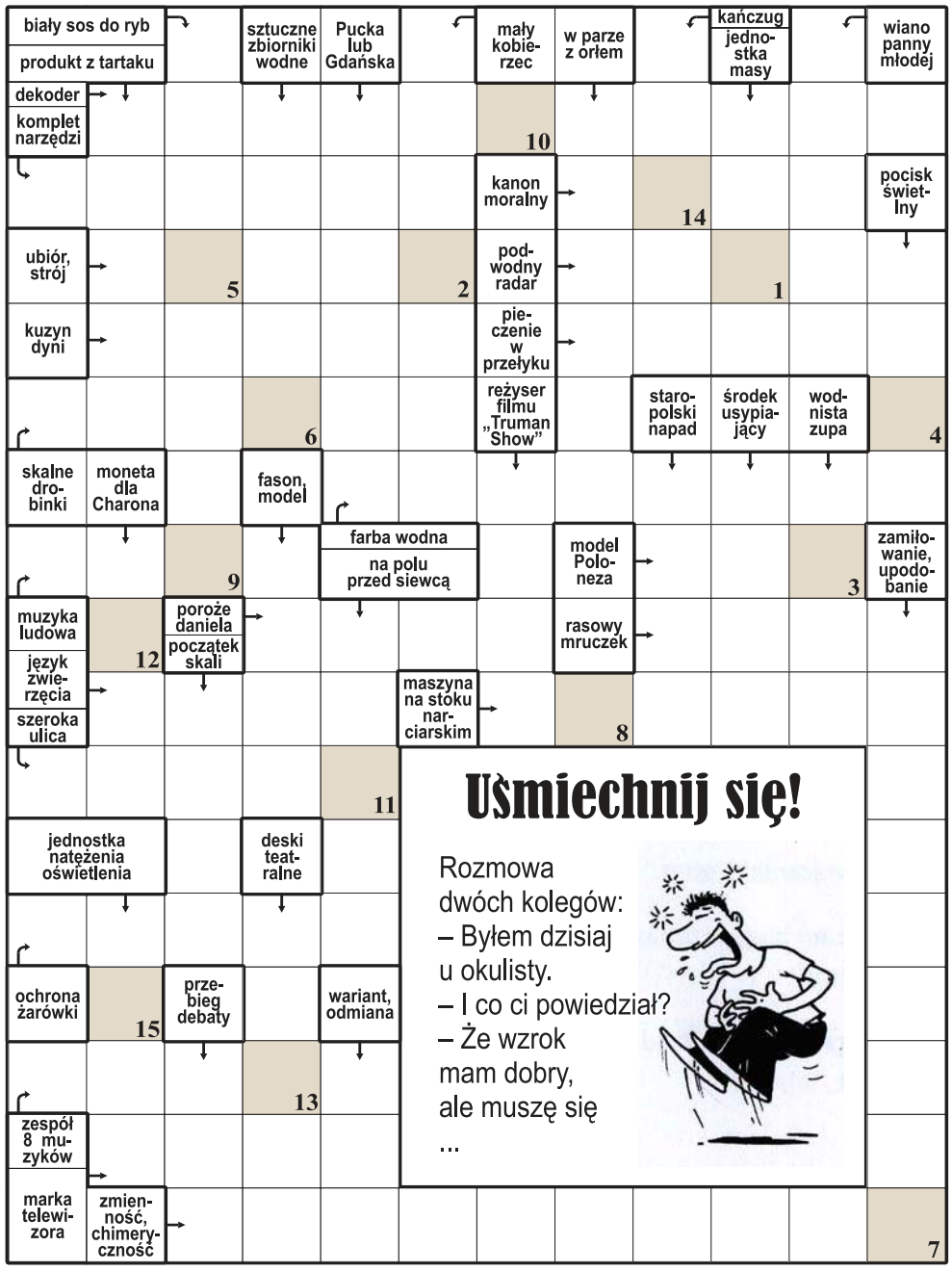

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15, utworzą rozwiązanie: dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

A) imię Monka, filmowego detektywa (6).
B) uchwalany co roku przez sejm (6).
C) warzywo podobne do ogórka (7).
D) aktywny członek organizacji, partii (8).
E) pisze nowele i powieści (4).
F) powiązana z makiem i pasternakiem (4).
G) uroczyste przyjęcie (4).
H) tłum ludzi, mrowie (5).
I) korzenna przyprawa do piwa (5).
J) film akcji z rolą Keanu Reevesa(4,4).
K) kontrolny odcinek biletu (5).
L) człowiek lichy, bezwartościowy (6).
Ł) europejski kraj z Rygą (5).
M) motyl, szkodnik magazynów zbożowych (5).
N) przepływa przez Łomżę i Ostrołękę (5).
O) ukraiński port nad Morzem Czarnym (6).
P) słowa wyrażające krytykę, reprymenda (9).
R) przyjęcie bez tańców (4).
S) szósty dzień tygodnia (6).
T) zmartwienie, zgryzota (6).
U) ... Bolt, rekordzista świata na dystansie 100 i 200 metrów (5).
W) Piotr, aktor z serialu „Złotopolscy” (9).
Z) film w reżyserii Kingi Dębskiej (4,3).
Ż) dawne oddziały piechoty francuskiej w Algierii (5).

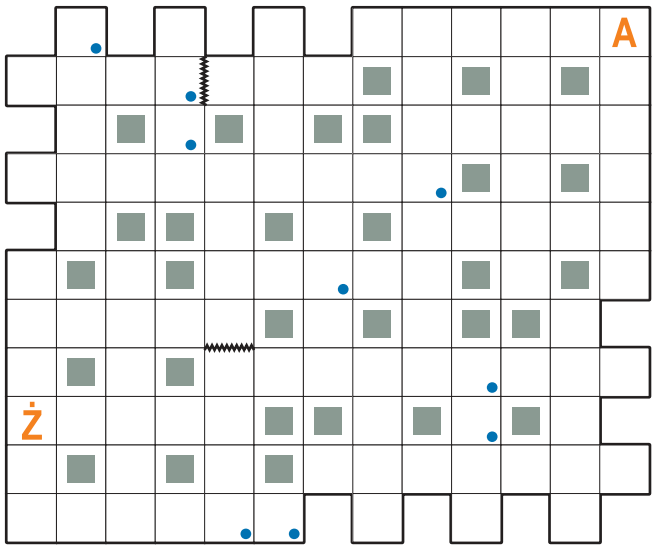

Krzyżówka z hasłem

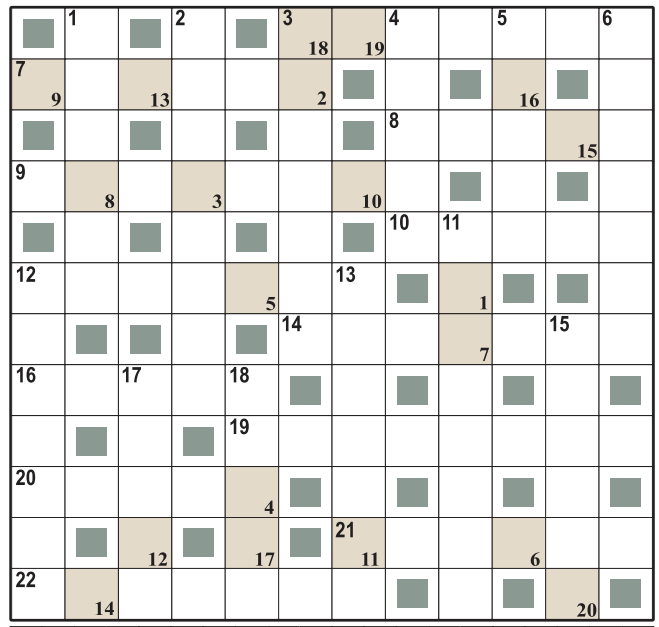

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 20, utworzą rozwiązanie: myśl Wiesława Czermaka-Nowiny.

Poziomo:
3) torba na prowiant,
7) przypadek w deklinacji,
8) egzaminacyjna na uczelni,
9) spadająca gwiazda,
10) motyw dekoracyjny,
12) Sowa lub Żbik,
14) rodzaj sekretarzyka,
16) ptak jak koń,
19) budowla bez kantów,
20) fragment tekstu,
21) kocioł do grzania wody,
22) kraj z Tyrolem.

Pionowo:
1) gliniana podłoga,
2) tańcząca diwa,
3) część robocza koparki,
4) „... Schindlera”,
5) załamanie na giełdzie,
6) zespół 4 muzyków,
11) sprzedaje beletrystykę,
12) ... Dejaniry,
13) usuwanie usterki,
15) polewa na rondlu,
17) nastrój powagi,
18) włoski na działce.

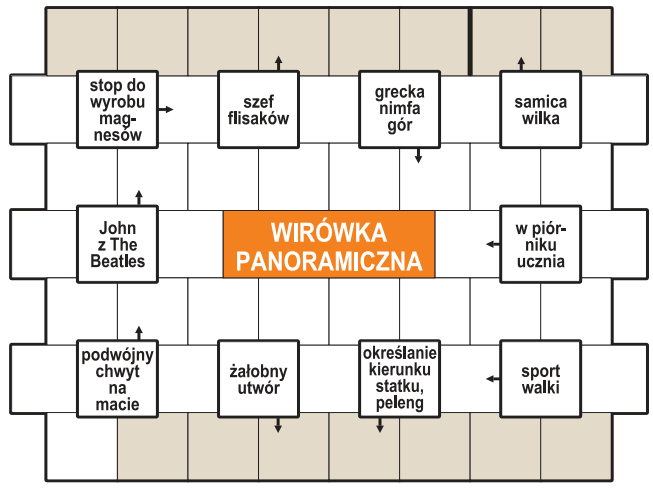

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł dramatu Adama Mickiewicza.

Duet jolek

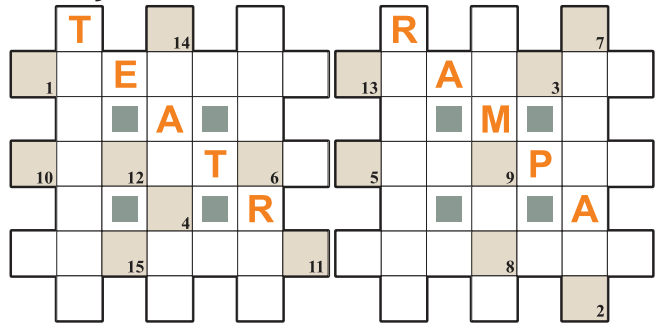

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15, utworzą rozwiązanie: tytuł spektaklu w Teatrze Rampa. W przypadkowej kolejności:

– niejedno w makówce
– pisarz z Lublina
– ptak stepowy, kuzyn dropia
– roślina zielna, amarant
– handluje na bazarze
– kraj Ormian
– wyświetla slajdy
– niewielki komputer
– film Jamesa Camerona
– archipelag z Minorką
– chrust z cukierni
– brylantowy naszyjnik

Logogryf

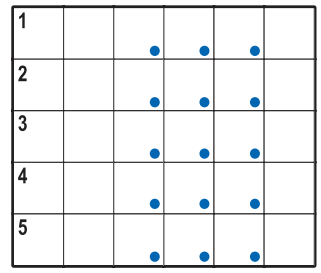

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.
1) starożytne święto ku czci Dionizosa,
2) wszelkie wrażenie słuchowe,
3) dwukołowy wózek z siedzeniem z Dalekiego Wschodu,
4) Jasir, palestyński polityk,
5) taniec kabaretowy.

Szyfr

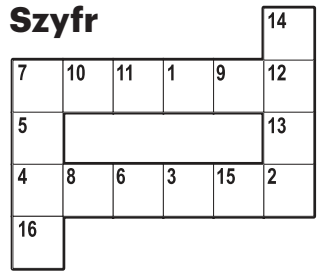

Litery z pól od 1 do 16, utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktorki.
Poziomo:
7) Adolf, aktor o przydomku Dodek,
4) deseczka do krycia dachów.
Pionowo:
14) balowa w pałacu,
7) Jan, autor „Igraszek z diabłem”.

Krzyżówka

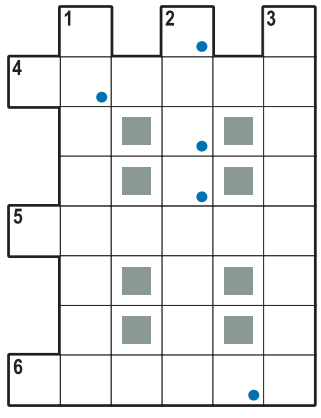

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.
Poziomo:
4, 5, 6) auto z Japonii.
Pionowo:
1) bawełniane T-Shirty,
2) kraj w Ameryce Północnej,
3) ... Ford, filmowy Indiana Jones.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... nauczyć alfabetu; **wirówka panoramiczna:** Konrad Wallenrod; **krzyżówka z hasłem:** Szept nie wywołuje echa; **duet jolek:** „Była sobie Polska”; **logogryf:** “Najwiękcza fanka”; **szyfr:** Sandra Drzymalska; **krzyżówka:** Honda; **krzyżówka A-Ż:** kalarepka.

eprasa.pl 88eb43e386

SĘDZIA MOŻE SIĘ POMYLIĆ – JAK KAŻDY CZŁOWIEK...

Może jest w cieniu Szymona Marciniaka, może nie jest tak rozpoznawalny, choć jako adwokat jest postrachem chuliganów i może to nie na nim ciąży największa presja. To jednak on jedzie, jako jedyny z Poznania, na piłkarski mundial. – To nagroda za lata biegania po boiskach niższych klas – mówi Adam Kupsik

Radosław Patroniak

Przystojny, niespełna 40-letni facet przebiera się na boisku Młodzieżowego Ośrodka Sportowego przy ul. Gdańskiej w Poznaniu w strój sędziowski. Robi to szybko, ale z gracją i pewnością siebie, jak przystało na sędziego asystenta, który za kilkanaście dni wybiegnie na boisko podczas najważniejszego turnieju piłkarskiego na świecie, czyli mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku. W zespole słynnego Szymona Marciniaka jest od trzech lat jego prawą ręką, tak samo jak drugi asystent Tomasz Listkiewicz i sędzia techniczny Tomasz Kwiatkowski.

Szybko złapaliśmy flow

- Osiem lat temu pojechałem jako sędzia techniczny na mecz Ligi Europy BATE Borysów - Arsenal Londyn. Dwa lata później zadebiutowałem już jako sędzia asystent w Lidze Mistrzów, w zespole Pawła Raczkowskiego, podczas meczu na Anfield Road w Liverpoolu. Z kolei trzy lata temu dołączyłem do ekipy Szymona Marciniaka. Najpierw były mecze ligowe, a później przyszły największe spotkania na świecie. Bardzo szybko stworzyliśmy zgrany zespół. To ważne, bo czasami spędzamy ze sobą nawet dwa miesiące, praktycznie 24 godziny na dobę. Trudno byłoby dobrze funkcjonować w takim zespole, gdybyśmy nie nadawali na tych samych falach. Dzisiaj często rozumiemy się już bez słów. Pod tym względem u nas obowiązują bardzo podobne zasady jak w drużynie piłkarskiej - tłumaczy Adam Kupsik, rodowity poznaniak i szef kancelarii adwokackiej w rodzinnym mieście.

Wszystko zaczęło się w Poznaniaku... i Wielkopolskim ZPN

Jak wielu młodych chłopaków marzył o wielkiej karierze piłkarskiej. Całą młodość i początek dorosłego życia spędził w drużynie Poznaniaka.

- Po maturze zacząłem studiować prawo i zobaczyłem ogłoszenie, że Wydział Dyscypliny Wielkopolskiego ZPN szuka stażystów. Ostatecznie jednak tam nie trafiłem, bo już po pierwszej wizycie w siedzibie związku stwierdziłem, że zapiszę się na kurs sędziowski. Chciałem po prostu spróbować czegoś nowego. Krok po kroku awansowałem do wyższych lig - najpierw jako arbiter główny do IV ligi, a później jako sędzia asystent do II ligi. Potem dostałem powołanie od PZPN na kurs CORE. Zbierałem dobre recenzje jako asystent i wtedy uznałem, że właśnie w tym kierunku chcę się rozwijać. W 2014 roku zadebiutowałem w ekstraklasie podczas meczu Zawisza Bydgoszcz - Górnik Zabrze. Czego ja się wtedy nasłuchałem od ówczesnego właściciela Zawiszy Radosława Osucha... Do dziś to pamiętam, ale może dobrze się stało, bo takie sytuacje hartują charakter - wspomina Adam Kupsik.Teraz również zawodowo spotyka się z podobnymi sprawami - reprezentując sędziów i działaczy sportowych w postępowaniach dotyczących znieważenia czy naruszenia nietykalności cielesnej.

- Niech pan napisze, że ten mój wyjazd na mundial to taka nagroda za te wszystkie lata wyjazdów na boiska niższych klas: do Niepruszewa, Czerniejewa, Borui Kościelnej i wielu innych miejsc. Dziś wspominam to z dużym sentymentem, choć nie zawsze były to łatwe momenty. Mundial za oceanem będzie dla mnie pewnym podsumowaniem tej drogi. Piłka nożna to moja wielka pasja z dozą adrenaliny – mówi 39-latek.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Adam Kupsik mocno trzyma chorągiewkę asystenta, tak jak przystało na sędziego, który nigdy nie traci pewności siebie

FOT. IMAGO/MARCO BADER/EAST NEWS

Adam Kupsik (z prawej) podczas ubiegłorocznych Klubowych MŚ przed meczem Inter Miami – Palmeiras

Symulacja prawdziwych meczów pod okiem Pierluigiego Colliny

Na piłkarskie mistrzostwa świata polski zespół sędziowski nie jedzie w nieznane. Rok temu, w tym samym składzie, arbitrzy prowadzili już mecze podczas Klubowych Mistrzostw Świata.

- Lecimy dwa tygodnie przed rozpoczęciem turnieju do hotelu w Miami, gdzie również przed rokiem mieściła się baza sędziowska. Przed południem odbywają się szkolenia prowadzone przez szefa sędziów FIFA Pierluigiego Collinę. Ich celem jest ujednolicenie interpretacji przepisów przez arbitrów z różnych kontynentów.

Po południu przychodzi czas na zajęcia praktyczne z udziałem specjalnie wyselekcjonowanych drużyn. W ciągu kilkunastu minut potrafią oni stworzyć tyle trudnych i nieoczywistych sytuacji boiskowych, że później podczas normalnego meczu człowiek ma wrażenie, że wszystko dzieje się wolniej. Faulują, prowokują, przepychają i robią najmniej oczekiwane rzeczy - opowiada Adam Kupsik.

VAR, testy i ciągłe bycie w rozjazdach

W obecnych czasach decyzje sędziów piłkarskich są nierozerwalnie związane z technologią VAR. Nic dziwnego, że lider zespołu Adama Kupsika, czyli Szymon Marciniak, powiedział kiedyś, że sędzia jest trochę jak saper, bo praktycznie nie ma miejsca na pomyłkę.

- VAR musi być przede wszystkim wykorzystywany właściwie i rozsądnie. FIFA oraz IFAB cały czas rozwijają ten system. Podczas mundialu VAR będzie mógł interweniować również w sytuacjach ewidentnie błędnie pokazanej drugiej żółtej kartki, która w konsekwencji prowadzi do czerwonej kartki - podkreśla Adam Kupsik.

Zapytaliśmy go również o to, czy współcześni arbitrzy nie funkcjonują pod dodatkową presją związaną z nieustanną oceną w mediach i internecie.

- Na boisku pracują trzy pary oczu, a każdy mecz ekstraklasy transmitowany jest z wykorzystaniem około 25 kamer. Podczas mistrzostw świata będzie ich aż 64, trudno więc dziwić się, że decyzje sędziowskie są później szeroko komentowane. Kibice lubią kontrowersje i dyskusje wokół nich - to część piłki nożnej. Dla nas najważniejsza pozostaje jednak ocena obserwatora i analiza konkretnych sytuacji meczowych. Nikt z nas nie jest nieomylny. Istotne jest to, aby ewentualne błędy przeanalizować i wyciągać z nich wnioski na przyszłość. Szymon Marciniak wielokrotnie powtarzał młodszym sędziom, żeby nie bali się korzystać z monitora VAR, jeśli sytuacja tego wymaga - mówi poznański arbiter.

Rozmawialiśmy z nim również o sędziowskich testach kondycyjnych, nawiązując do opinii Jarosława Przybyła, który stwierdził, że arbitrzy momentami muszą być lepiej przygotowani fizycznie niż niektórzy piłkarze.

- Coś w tym jest, ale osobiście nie uważam, żeby te wymagania były przesadzone. W PZPN mamy trenera przygotowania fizycznego i jeśli ktoś sumiennie realizuje plan treningowy, to zdanie czterech testów w ciągu roku nie stanowi większego problemu. Oczywiście patrzę na to z perspektywy niespełna 40-latka. Pewnie za kilka lat spojrzę na to trochę inaczej, ale z wiekiem trzeba też umieć zaakceptować, że przychodzi moment oddania miejsca młodszym - przyznaje nasz eksportowy sędzia.

Na koniec zapytaliśmy go też o to, dlaczego Wielkopolska wciąż ma tak niewielu arbitrów na najwyższym poziomie.

- Nie ma jednej prostej odpowiedzi. Na pewno mamy utalentowanych sędziów, choć być może czasami problemem jest selekcja. Trzeba też pamiętać, że ten zawód wiąże się z ogromnymi wyrzeczeniami i ciągłą obecnością poza domem. Bez wyrozumiałej żony i wsparcia najbliższych trudno w ogóle marzyć o wyjściu na murawę największych stadionów i prowadzeniu meczów oglądanych przez miliony kibiców - kończy z uśmiechem Adam Kupsik.

eprasa.pl 88eb43e386

PIŁKA NOŻNA GŁOGOWSKI KLUB ZACZYNA KOMPLETOWAĆ KADRĘ NA SEZON 2026/2027

Rewolucja w zespole piłkarzy Chrobrego

Piotr Janas
Wrocław/Głogów

Chrobry Głogów pożegnał kilka dni temu kolejnych piłkarzy. Łącznie zespół trenera Łukasza Becelli opuściło już ośmiu zawodników. Wygląda na to, że mamy do czynienia z kadrową rewolucją.

Aż pięciu zawodników na raz pożegnał Chrobry Głogów. To: Sebastian Bonecki, Paweł Lenarcik, Przemysław Szarek, Piotr Janczukowicz oraz Szymon Lewkot. Ten ostatni - podobnie jak wcześniej bramkarz Dawid Arndt - trafił już do Arki Gdynia.

Wcześniej z zespołu trenera Łukasza Becelli odeszli Albert Zarówny (Bruk-Bet Termalica Nieciecza), Myrosław Mazur (Miedź Legnica) i Szymon Bartlewicz (GKS Katowice). Drużyna, która była o krok od awansu do PKO Ekstraklasy w poprzednim sezonie przechodzi sporą rewolucję.

Głogowianie rozpoczęli od przemeblowania swojej bramki. Od teraz o bluzę z numerem 1 rywalizować będą 23-letni Krzysztof Bąkowski i 24-letni Krzysztof Wróblewski.

Bąkowski to 23-letni wychowanek Lecha Poznań. W niedalekiej przeszłości był etatowym młodzieżowym reprezentantem Polski (grał w kadrach od U-15 po U-21) i choć był okres, w którym pełnił rolę pierwszego zmiennika dla podstawowego bramkarza Lecha Bartosza Mrozka, to w pierwszej drużynie nigdy nie zadebiutował.

Doświadczenie zbierał na wypożyczeniach. Młody bramkarz był wypożyczany z Lecha do pierwszoligowych klubów takich jak Stomil Olsztyn, Stal Rzeszów (dwukrotnie) czy Polonia Warszawa. Po drodze spędził jeszcze pół roku w ekstraklasowym Radomiaku Radom, ale tam praktycznie nie grał (1 występ w lidze i 1 w Pucharze Polski). Ostatnie półrocze spędził z kolei w ekstraklasowym norweskim KFUM Oslo (3 występy).

Do Chrobrego trafia już nie na wypożyczenie, a jako transfer definitywny. Na poziomie Betclic 1 ligi uzbierał już ponad 60 występów i wszystko wskazuje na to, że to właśnie on będzie nową „jedynką" w bramce Chrobrego.

FOT.CHROBRY GŁOGÓW SA

Krzysztof Bąkowski zmienia Lecha na Chrobrego na zasadzie transferu definitywnego

Na Bąkowskiego naciskać ma przede wszystkim o rok starszy Krzysztof Wróblewski. Urodzony w Krakowie bramkarz do Głogowa trafił już latem 2024 roku z Puszczy Niepołomice. Zdążył rozegrać 8 spotkań w pierwszej drużynie, ale wówczas nie był jeszcze pierwszym wyborem dla trenera dlatego po pół roku poszedł na krótkie wypożyczenie (jedna runda) do drugoligowej Wisły Puławy, gdzie bronił regularnie.

Następnie wrócił do Głogowa, ale nie był w stanie wygrać rywalizacji o miejsce w kadrze, więc znów poszedł na wypożyczenie, tym razem do innego drugoligowca - Hutnika Kraków. Spędził tam rundę wiosenną ostatniego sezonu i także grał od pierwszej do ostatniej minuty.

Spisywał się na tyle dobrze, że Pomarańczowo-Czarni postanowili skorzystać z zapisu w jego kontrakcie, umożliwiającego automatyczne przedłużenie umowy o kolejny rok.

Wróblewski ma teraz rywalizować o miejsce w składzie z Bąkowskim oraz młodym, 19-letnim wychowankiem klubu Marcelem Gawłowskim.

Pomarańczowo-Czarni wciąż szukają m.in. dwóch obrońców, dwóch pomocników i napastnika. To plan minimum, ale wiele wskazuje na to, że transferów przy Wita Stwosza będzie więcej.

Głogowski lekarz wrócił z zawodów w Chorwacji z 13 medalami, w tym złotym. Imponujący debiut Jakuba Muchy na Medigames

Grażyna Szyszka
Głogów

Trzynaście medali, w tym złoto w skoku wzwyż, przywiózł z międzynarodowych igrzysk medyków Medigames lekarz Jakub Mucha ze Szpitala Głogowskiego.

Ponad tysiąc zawodników z 42 krajów, tydzień sportowych zmagań w trzydziestostopniowym upale, radość, pot i łzy, a na końcu - podium i medale.

Medigames to międzynarodowe święto sportu środowiska medycznego organizowane od 1978 roku. Liczą się tu nie tylko sportowe rekordy, lecz przede wszystkim integracja uczestników z różnych zakątków świata oraz wyjątkowa atmosfera.

Podczas tegorocznej edycji, która odbyła się w dniach 13-20 czerwca w Chorwacji, zadebiutował lekarz z Oddziału Neurologicznego i Leczenia Udarów Mózgu - Jakub Mucha. Do Głogowa wrócił z imponującym dorobkiem 13 medali. Dwanaście krążków zdobył w lekkoatletyce, a jeden w trójboju siłowym.

- Wróciłem spełniony i zadowolony z wyników, które udało mi się osiągnąć. Tym razem obyło się bez kontuzji, jednak był to naprawdę ogromny wysiłek. Pięć dni rywalizacji, po kilka godzin dziennie w pełnym słońcu - takie warunki odstraszyły niektórych zawodników. Każdego dnia startowałem średnio w trzech konkurencjach, a ostatniego dnia wziąłem udział aż w pięciu. Po powrocie bolał mnie dosłownie każdy mięsień. Teraz daję sobie czas na regenerację i odpoczynek - tydzień, może dwa. Zobaczymy, jak długo uda mi się wytrzymać bez siłowni - mówi lek. Jakub Mucha.

Jakub Mucha na zawodach w Chorwacji

Złoty medal

Lekarz zrealizował swój główny cel i zdobył złoty medal w skoku wzwyż. Jak podkreśla, medale cieszą, ale nie są najważniejszą motywacją do startów. - Robię to dla satysfakcji. Lubię odkrywać nowe dyscypliny sportowe. Sport to nieustanne sprawdzanie możliwości własnego ciała i właśnie to najbardziej mi się podoba. Rozwijam się, stopniowo zgłębiam tajniki kolejnych konkurencji i krok po kroku staję się lepszy. Gdy opanuję już określone umiejętności, zwykle zmieniam dyscyplinę i szukam następnego wyzwania. Przede mną jeszcze mnóstwo sportów do odkrycia. Tak jak planuję być aktywny zawodowo do końca życia, tak samo zamierzam pozostać aktywny sportowo - zapewnia.

Świetnie zaprezentował się nie tylko lekarz ze Szpitala Głogowskiego, ale także cała reprezentacja Polski, która zdobyła najwięcej medali spośród wszystkich uczestniczących krajów - aż 151.

Nigdy nie jest za późno

Najstarsza kategoria wiekowa podczas Medigames obejmuje zawodników w wieku od 75 do 85 lat. Jak się okazuje, aktywnych fizycznie seniorów nie brakuje.

- W każdym wieku można rozpocząć przygodę ze sportem i w każdym wieku aktywność fizyczna jest wskazana. Polak startujący w najstarszej kategorii zdobył dziewięć medali, między innymi w skoku wzwyż. Chcieć to móc. Nigdy nie jest za późno, by zacząć, a wręcz warto to zrobić. Trzeba jednak pamiętać, że wysiłek fizyczny powinien być dostosowany do naszych możliwości. Dopiero poznając swoje ciało i jego ograniczenia, możemy stopniowo przesuwać granice i podnosić sobie poprzeczkę. Najlepiej robić to pod okiem osoby posiadającej odpowiednią wiedzę. Niekoniecznie musi to być trener - być może wśród znajomych znajdzie się ktoś aktywny sportowo, kto pomoże zrobić pierwsze kroki. Warto poszukać takiego mentora. Ważne jest również, aby się nie zniechęcać i pozbyć lęku przed oceną czy ośmieszeniem ze strony innych - podkreśla lekarz.

Odpoczynek od wysiłku

Przez najbliższy tydzień, a być może nawet dwa, Jakub Mucha będzie unikał siłowni. Po okresie regeneracji rozpocznie przygotowania do kolejnych zawodów. W planach ma między innymi udział w 23. Igrzyskach Lekarskich w Cetniewie, które odbędą się pod koniec sierpnia.

- Po moim życiowym skoku na Medigames wysłałem nagranie trenerowi. Pogratulował mi zdobycia złotego medalu, ale jednocześnie konstruktywnie skrytykował technikę. Mam więc nad czym pracować. Wciąż przede mną długa droga, jednak małymi krokami osiągam coraz lepsze wyniki. Dążę do tego, aby były one bliższe poziomowi profesjonalnemu niż amatorskiemu - podsumowuje.

eprasa.pl 88eb43e386

REKLAMA 0011545460

MATERNA FERMA

SKUP ZBÓŻ

ROWNIEŻ MOKRA KUKURYDZA
SOJA • SŁONECZNIK

ERGO-ROL Sp.z o.o.

513 675 365

NASZE ELEWATORY:
Kiełpiny 57 k.Wolsztyna
Bojadła ul.Kolejowa 11e
Marianki 8, Konotop

- MOŻLIWOŚĆ ODBIORU WŁASNYM TRANSPORTEM
- USŁUGA ZBIORU MOKREJ KUKURYDZY
- SZYBKI PRZELEW

AKTUALNE CENY: www.fermamaterna.pl

eprasa.pl 88eb43e386